

# Dell Ethel Mary

## Kwiat aloesu

*Akcja tego uroczego romansu z przełomu wieków rozgrywa się na południu Anglii, w małej wiosce Rickaby, w której pastorem jest wielebny William Quintin. Życie toczy się tu spokojnie utartym przez wiekowa tradycje trybem. Aż nagle pojawia się w sąsiedniej nadmorskiej starej posiadłości piękna i — jak się okaże—tajemnicza pani Ewa Rivers wraz z chorowitym Syriern Gaspardem. Wtedy to zawrzało. Pastor, uwielbiany przez miejscowe kobiety... zakochał się bez pamięci w owej tajemniczej nieznajomej...*

## I

— Muszę koniecznie pójść do niej sama — rzekła pani Winch.

— I muszę poradzić proboszczowi, aby uczynił to samo.

— Jestem pewna, że posłucha pani rady — wtrąciła panna Barnet. Pani Winch nie zwracała na nią najmniejszej uwagi — było to

również jej zwyczajem. Rozmowa z panną Barnet była mniej więcej tym, co rozmowa z samą sobą. Nigdy nie przeczyła i prawie zawsze przyznawała jej słusność.

— Tak — powtórzyła w zamyśleniu pani Winch. — Muszę pójść do niej. Teraz zastanawiam się nad tym, który dzień będzie najdogodniejszy. Jutro jestem zaproszona na zebranie Komitetu Pomocy Dzieciom w Village Hall, pojutrze mam szycie wszystkich członkiń w probostwie, a następnego dnia posiedzenie Bractwa. Naprawdę trudno się jakoś z tym wszystkim uporać.

— Pani prowadzi taki czynny żywot! — wyszeptała panna Barnet.

— Może mam pójść z tą wizytą przed szyciem w probostwie

— zastanawiała się pani Winch. — Ale nie! Jeżeli zastanę ją w domu, to gotowam się spóźnić na probostwo, a oni tam tak na mnie liczą.

— Któż by na panią nie liczył? — zawołała z powagą panna Barnet.

— Ach, przypomniało mi się — zaniepokoiła się pani Winch.

— Przyrzekłam przecież tej biednej Henderson, że wstąpię i pokażę jej, jak się robi śnieżny pudding na śniadanie dla proboszcza. Opowiadała mi, że proboszcz je tak mało, więc wytłumaczyłam, że prawdopodobnie z tej przyczyny, iż mu się nie urozmaica jedzenia.

Panna Barnet zachichotała.

— Pani zawsze jest przewidująca, droga pani Winch! Jestem pewna, że proboszcz jadłby wszystko, gdyby pani przyrządzała potrawy. Jakaż to byłaby dla niego przyjemność!

— Biedna pani Henderson nie grzeszy zbyt dużą pomysłowością

— ciągnęła pani Winch, ciągle monologując. — Jest bardzo czysta i bardzo przyzwoita, ale zupełnie nie ma przedsiębiorczości. Te jej pasztety... — wymowna cisza wskazywała, że oburzenie trudno było wyrazić słowami.

— No, oczywiście — przyznała panna Barnet.

— Musi to być bardzo nieprzyjemne dla proboszcza — pani Winch zapalała się coraz bardziej. — Ludzie wiele się spodziewają od człowieka na jego stanowisku, lecz nie zdają sobie sprawy, jak mało przyjemności z życia ma ten biedak. Tak go męczy ta codzienna niewdzięczna praca. Uważam, że naszym obowiązkiem jest dopomagać mu.

— Ach, oczywiście, oczywiście! — przyznała panna Barnet z zapalem.

— Ciekawa jestem, czy pani Rivers zechce objąć klasę w szkole niedzielnej — zastanawiała się dalej pani Winch. — Muszę jej o tym wspomnieć podczas wizyty. Dalibyśmy sobie doskonale radę, mając jakąkolwiek pomocnicę.

— Dalibyśmy sobie radę na pewno — potaknęła panna Barnet.

— A jeżeli jest muzykalna, to mogłaby prawdopodobnie śpiewać w chórze.

Niestety, wszystkie uwagi panny Barnet były ignorowane przez panią Winch.

— Wie pani przecież, Miss Barnet — odezwała się surowo — że moim najgorętszym życzeniem jest utworzenie chóru w kościele Rickaby i że pragniemy nade wszystko pozbyć się niewieściego elementu, który wprowadza tyle zamieszania.

— Naturalnie! Naturalnie! — głucho zgodziła się panna Barnet.

— Zupełnie o tym zapomniałam. Jakże głupio z mojej strony!

Pani Winch milczeniem pełnym taktu niejako przyznała słuszność tej ostatniej uwadze. Panna Barnet znana była z głupoty od najwcześniejszych lat swego życia, a teraz w rozkwicie średniego wieku, trudno było spodziewać się po niej rozsądku. To, że dzieci ją lubiły, nie miało nic

wspólnego z poziomem jej intelektu. Tylko proboszcz powiedział raz

o niej dobrodusznie:

— Nie moglibyśmy prowadzić szkoły bez panny Barnet. Ona jedna potrafi to wszystko utczywać w karbach.

Uwaga .ta do dzisiaj pozostała w pamięci biednej panny Barnet.

W gruncie rzeczy proboszcz był ideałem panny Ellen Barnet, a gdy ktoś ośmielił się znaleźć w nim jakąś wadę — nazwać go zbyt swobodnym czy lekkomyślnym — panna Ellen wpadała w furję, o ile to przy jej usposobieniu było możliwe.

Pani Winch była zupełnie inna. Z odwagą wypowiadała swe zdanie, które często zresztą się zmieniało. Lubiała przekomarzać się z proboszczem, jak sama o tym mówiła, na rozmaite tematy; czy to osobiste, czy parafialne, na tematy, co do których niezupełnie się z nim zgadzała. Darzyła go zresztą serdecznym sentymentem, lecz często wynajdywała w nim najrozmaitsze wady, które surowo ganiła.

Pani Winch nie posuwała się w swym sentymencie dla proboszcza aż tak daleko jak głupia panna Barnet. Był on dla niej mimo wszystko tylko zwykłym śmiertelnikiem, a pani Winch pod względem znajomości ludzi miała duże doświadczenie. Zdawała sobie sprawę z tego, że istniało wiele rzeczy wykraczających poza granice możliwości proboszcza, mimo to jednak starała się zachowywać względem "niego" zupełną lojalność, patrząc nań jednocześnie dość krytycznie. Szanowała go bardzo, jak zresztą szanowała całą parafię, lecz nie była w stosunku do proboszcza bezkrytyczna.

Jako wdowa po poprzednim pastarze, uważała się niejako za matkę

i opiekunkę całej wsi. Pod jej protektoratem pozostawało Towarzystwo Przyjaciół Kobiet i sprawowała ten urząd jeszcze o wiele wcześniej, nim obecny proboszcz ujrzał światło dzienne. Nic więc dziwnego, że proboszcz nigdy się jej nie sprzeciwiał i starał się nie słuchać plotek, które mu donoszono na temat pani Winch. Za tę lojalność pani Winch szanowała go jeszcze bardziej, przeświadczona w głębi duszy, że do tych spraw mężczyzna wtrącać się nie powinien.

Zasadniczo pani Winch z proboszczem zgadzali się prawie we wszystkich sprawach i chyba nikt nie mógłby zarzucić, że parafia Rickaby nie rozwija się pod ich rządami. Stary generał Farjeon twierdził nawet, iż parafia Rickaby jest najsympatyczniejszym zakąt-

kiem hrabstwa, a wielebnego Billa Quentina uważał za najlepszego ze wszystkich proboszczów w okolicy.

— Oby więcej było takich księży, jak ty, mój chłopcze! — mawiał zazwyczaj.

A wielebny Bill, jak go parafianie między sobą nazywali, przyjmował to uznanie z uśmiechem.

Twierdzono ogólnie, że obrał swój zawód ze względu na swą chorą matkę. Istotnie do Rickaby przybył na jej życzenie, lecz matka już pięć lat temu odeszła na wieczny spoczynek, a on nadal prowadził swój skromny żywot, gotów zawsze pomóc każdemu z parafian, lecz nie wtrącał się nigdy tam, gdzie nie był chętnie widziany. Przyznać trzeba, że cieszył się ogólną sympatią.

Jego kazania miały zazwyczaj formę prostych przemówień, w których nie było nigdy żadnych gróźb. Wiele ludzi uważało go za człowieka zbyt swobodnego, lecz bardzo niewielu ośmielało się krytykować go w oczy. Należał do tych, którzy umieli zachować swój prestige bez argumentowania. Prawdopodobnie to właśnie przyczyniło się do jego wielkiej popularności wśród innych pastorów. Jednocześnie był człowiekiem, który nie potępiał odszczepieńców, toteż wszystkie zbłąkane owieczki z jego stada w głębi duszy darzyły go szacunkiem. Wielebny Bill posiadał umiejętność przebaczenia, co wprowadzało odszczepieńców w zażenowanie i niejednokrotnie nawracało ich. Mężczyźni mówili, że wielebny Bill ma zły charakter i na ogół usiłovali unikać wszelkiego z nim kontaktu.

Żadna z kobiet jednak nie zgadzała się z tą opinią. Gospodyni proboszcza, pani Henderson, twierdziła, że jest najlepszym z ludzi i że zawsze ze wszystkiego jest zadowolony. Pani Henderson była zbyt łagodna, aby upierać się wobec pani Winch, która postanowiła nauczyć ją przyrządzania śnieżnego puddingu, choć w głębi duszy uważała to za stratę czasu.

— Ależ droga pani, on i tak nigdy nie widzi, co mu się podaje do jedzenia — zapewniała panią Winch. To tak, jakby się perły rzucało przed wieprze, jeśli mi się tak wolno wyrazić. Nigdy jeszcze nie widziałam podobnie zgodnego człowieka. Często śmieję się, że nie odróżnia śledzia od ryby, a zjada wszystko z jednakowym apetytem.

— Powinna się pani starać, aby odróżniał — zawołała pani Winch.

— Powinna pani wymyślać jakieś nowe potrawy, którymi zaostrzałaby pani jego apetyt. Na przykład...

— Ach, droga panif on ma i tak doskonały apetyt! — pośpieszyła zapewnić ją pani Henderson. — Wątpię, czy można mieć Mepszy. Jedzenie jest dla niego koniecznością, przyjemności w nim nie znajduje. Często myślę o tym, że to wszystko wynika z braku towarzystwa. Mężczyzna nie powinien w samotności iść przez życie. Zresztą Biblia tak samo twierdzi.

Pani Winch nieoczekiwanie spojrzała znad przyrządzanego puddingu.

— Jeżeli ma pani na myśli małżeństwo, pani Henderson — rzekła

— to wątpię, czyja albo pani mamy prawo doradzać coś proboszczowi. Ja osobiście uważam, że byłoby bardzo niedobrze, gdyby się zdobył na taki krok. I tak stanowczo jest zanadto rozrzutny.

— Rozrzutny! — o, tak! — przyznała pani Henderson. — Zawarcie małżeństwa połączone jest dla każdego z wielkimi kosztami, ale małżeństwo ma jednocześnie swoje dobre strony. Czasami sędzę, że lepiej byłoby, gdybyśmy mieli panią domu.

— Wątpię, czy byłaby pani taka zadowolona — zauważyła pani Winch z naciskiem.

— Tak bym chciała go widzieć szczęśliwym — westchnęła sentymentalnie pani Henderson. — Stanowczo potrzeba mu jakiejś ładnej, dobrej dziewczyny.

— Tutaj takiej nie znajdzie — zauważyła pani Winch z ironią.

— Dużo jest pięknych dziewcząt w Hatchstead — oświadczyła pani Henderson. — Świeże i rumiane jak jabłuszka na drzewie. W samym Rektoracie jest aż pięć młodych panien.

— Wszystkie nieodpowiednie — oburzyła się pani Winch. — Absolutnie nieodpowiednie. Jedyłą możliwie przystojną jest najmłodsza Molly, ale uważana jest za tak lekkomyślną, że żaden szanujący się mężczyzna nie będzie chciał na nią spojrzeć.

— A druga, panna Lottie — wtrąciła pani Henderson. — To bardzo przystojna panienka i podobno bardzo czynna w parafii, jak mówią.

Pani Winch syknęła dziwnie.

— W naszej parafii do pomocy nie potrzeba nam nikogo — rzekła

— a jednocześnie nie wyobrażam sobie, aby ktoś mógł zainteresować się Lottie Morton. Teraz, pani Henderson, sama pani już ten pudding wykończy; tylko zechce pani łaskawie stosować się do moich poleceń. W żadnym wypadku nie wolno zamykać drzwiczek piecyka, a jak pudding zacznie się rumienić... Czy pani słucha, pani Henderson?

Najwidoczniej pani Henderson nie słuchała. Coś ciekawszego zwróciło jej uwagę i wyciągnęła szyję, wyglądając z zainteresowaniem przez okno.

— Proszę spojrzeć — szepnęła. — Ta młoda wdowa z Beech Mount

— pani Rivers, jak ją nazywają. Jest Francuzką czy na pół Francuzką, słyszałam. Ten jej syn wygląda bardzo z cudzoziemska i można by pomyśleć, że jest trochę głupi. Niech Bóg broni, żeby proboszcz miał ją tutaj przyprowadzić! Sądzi pani, że zostanie na drugim śniadaniu? Jeśli tak, to śnieżny pudding bardzo się przyda.

— O tym nie ma mowy! — zawołała ostro pani Winch. — Przecież śnieżny pudding nie był przygotowany dla wdowy z Beech Mount. Nie chciała również, aby ta kobieta dostrzegła ją w kuchni proboszcza. Opanowało ją na chwilę zmieszanie. Gdyby nie pani Henderson, z pewnością ukryłaby się w jakimś kącie.

Ogarnięta niepokojem, zapomniawszy zupełnie o puddingu stojącym na stole, spoglądała, jak proboszcz ze swym gościem wchodzili do ogrodu.

Śmieli się obydwójce wesoło, a w głosie kobiety dźwięczała słodycz, która wywołała uśmiech na twarzy pani Henderson.

— Cóż za czarująca dama, naprawdę! — rzekła.

Pani Winch nie słuchała. Postanowiła ukazać się proboszczowi w całej okazałości. Zebrawszy całą godność swych sześćdziesięciu pięciu lat, przeszła przez hall i wyszła do ogrodu, gdzie wielebny Bill Quentin rozmawiał z panią Rivers.

Proboszcz dostrzegł panią Winch od razu i zawołał wesoło:

— Halo, pani Winch! Dzień dobry! Czy pani mnie szuka? Jeżeli tak, to jestem do pani dyspozycji.

— Dzień dobry! — odparła pani Winch, ściskając dłoń proboszcza z konwencjonalnym uśmiechem. — Właściwie nie szukam pana. Przyszłam tylko do pani Henderson, aby jej przynieść przepis na

pudding, który powinien panu smakować. Pokazałam jej przy okazji, jak się ten pudding robi.

— Jakże to miło z pani strony! — zawołał proboszcz z chłopcą naiwnością. — Z pewnością będzie mi smakował. Czy nie moglibyśmy wszyscy troje teraz tego puddingu spróbować?

— Jeszcze nie jest upieczony — odparła pani Winch. — Przeznaczony został dla pana na drugie śniadanie, więc z pewnością pani Henderson o oznaczonej porze poda go panu.

— Dziękuję pani tysiącrotnie! — uśmiechnął się proboszcz. — Pozwoli pani przedstawić sobie panią Rivers! Nie wiem, czy się panie znają.

Pani Rivers stała w niedalekiej odległości, szczupła, pełna gracji niewiasta z bladą twarzą i z włosami lśniącymi niby miedź w blasku słonecznym.

Uczyniła nieznaczny ruch w stronę pani Winch, uśmiechnąwszy się, a uśmiech ten nieoczekiwanie ją przeobraził, dodając młodości i czaru i rozjaśniając bladą skupioną twarzyczkę. Ta zmiana twarzy gościa zbudziła podejrzenia pani Winch. Nie lubiła takich nagłych zmian.

Skłoniła się więc sztywno, nie wyciągając ręki.

— Zamierzałam w tych dniach panią odwiedzić — rzekła ceremonialnie. ,

— Bardzo miło! — wyszeptała pani Rivers.

Głos jej miał takie samo melodyjne, miękkie brzmienie jak śmiech. W oczach czaiły się figlarne ogniki, lecz jakiego koloru były jej oczy? Pani Winch nie mogła się zorientować i tym większą poczuła do gościa niechęć.

— Przypomina kota — pomyślała w chwilę później — albo tygrysicę. W każdym razie nie jest kobietą godną zaufania!

Myśli jej przerwał proboszcz.

— Pani Rivers jest bardzo muzykalna — rzekł. — Obiecała akompaniować na następnym koncercie i mam nadzieję, że zgodzi się śpiewać w chórze.

Pani Winch całkiem widocznie zeszywniała przy ostatniej uwadze, a pani Rivers roześmiała się serdecznie.

— Wątpię, czy zdołam to wszystko urzeczywistnić — rzekła z powagą. — Jestem zbyt zajęta, aby przyjmować udział w tych wszystkich uroczystościach. Muszę myśleć o moim chłopcu, Gaspar-



dzie. Ze względu na słabe zdrowie nie może uczyć do kolegium, więc studiujemy razem i zazwyczaj dotrzymuję mu towarzystwa. Kiedyś, gdy już będzie silniejszy, zamierzamy wyjechać do Paryża, aby mógł całkiem poważnie studiować sztukę. Lękam się jednak, że nieprędko to nastąpi.

Zakończyła swe słowa tonem, który pani Winch uznała za „minorowy”, a proboszcz spojrział na nią z sympatią.

— Z pewnością tutaj wkrótce wróci do zdrowia — zapewnił.

— Przecież pani mieszka w Beech Mount, nad samym morzem.

— Tak, to powinno na niego dobrze wpłynąć — odrzekła pani Rivers, przesyłając proboszczowi spojrzenie pełne wdzięczności. — Ale teraz muszę jeszcze bardzo dbać o niego. Ach, to jest ten aloes, o którym mi pan opowiadał!

Podobno zakwita raz na pięćdziesiąt lat i zwiastuje szczęście. Czy sądzi pan, że istotnie w tym roku zakwitnie?

Wobec tego powinniśmy oczekiwać jakiegoś ważnego zdarzenia.

Zwróciła się do oryginalnej rośliny, rosnącej pod jednym z okien gabinetu proboszcza.

— Jest to bardzo niewdzięczna roślina — odezwał się wielebny Bill.

— Człowiek nastraja się pesymistycznie, gdy pomyśli, że taki krzak zakwita tylko raz jeden w życiu. Gdybym miał więcej cywilnej odwagi, wykopałbym ten chwast i wyrzucił.

— Ale coś, co zdarza się tylko raz w życiu, warto jest oczekiwać!

— zauważyła pani Rivers. — Niech pan pozwoli, aby ten aloes zakwitł, nim go pan stąd wykopie!

Pani Winch zaczęła się wyraźnie niecierpliwić. Jej zdaniem była już najwyższa pora, aby nieproszony gość wreszcie wyniósł się z probostwa.

— Grzechem jesi — rzekła z naciskiem — mówić nawet o pozbyciu się czegoś tak starożytnego. Wyrosła sobie ta roślina, więc nie należy jej stąd usuwać.

— Stosownie do prawa starożytnych Persów, którzy nie ośmielali się przeprowadzać żadnych zmian — zauważył Bill Quentin żartobliwie.

— Wszyscy jesteśmy tacy w Rickaby, nieprawdaż, pani Winch? Nasze grzechy stają się po latach cenionymi zwyczajami. Ale to jest tylko żart

— dodał, usiłując udobruchać panią Winch. — Oczywiście, nie mam zamiaru ruszać stąd tego starego aloesu. Z pewnością sprowadziłoby to na mnie klątwę.

— A gdy pozwoli mu pan zakwitnąć, gotów przynieść szczęście — wtrąciła pani Rivers. — Przecież jedno pociąga za sobą drugie, nieprawdaż?

— Możliwe — odparł proboszcz trochę sceptycznie. — W każdym razie miejmy nadzieję. Jeżeli szczęścia nie przyniesie, damy mu dymisję, co, pani Winch?

— Będę musiała już pójść — oznajmiła pani Winch wymownie.

— Ach, nie! Musi pani zostać na śniadaniu. Pani Rivers zostanie

Słowa te wywarły na pani Winch piorunujące wrażenie. Wydała okrzyk pełen zadowolenia. Lecz dźwięczny śmiech pani Rivers, mający tak figlarne brzmienie, uspokoił ją nieco.

— Och, niestety to niemożliwe! — zawołała młoda kobieta. — Serdeczne dzięki za zaproszenie. Wpadłam tylko na chwilę, aby zobaczyć aloe. Syn mój czeka na mnie i muszę jak najspieszniej do niego wracać.

— Chętnie poszedłbym z panią, żeby odwiedzić pani syna — rzekł proboszcz. — Pozwoli pani któregoś wieczoru? Nastąpiła chwila ciszy, a pani Winch obrzuciła gościa surowym spojrzeniem. Co się działo z tą kobietą? Czy istotnie tchnęła jakąś atmosferą tajemnicy, czy też było to wszystko udane?

W chwili, gdy pani Winch zastanawiała się nad tym, pani Rivers odpowiedziała spokojnie:

— Obecnie syn mój nie czuje się zbyt dobrze, ale byłabym ogromnie zadowolona, gdyby pan go odwiedził. Czy mogę pana zawiadomić, jak będzie nieco zdrowszy?

— O, niech się pani nie trudzi! Któregoś dnia wpadnę przy okazji

— odparł proboszcz.

— Będzie nam ogromnie miło! — zapewniła pani Rivers.

Było to widocznie zdawkowe jej powiedzenie i pani Winch od tej chwili orzekła w duchu, że ta kobieta nie posiada ani odrobiny powagi. Zwróciła się ostentacyjnie do proboszcza:

— Teraz, skoro jestem tutaj, panie Quentin, będę chciała przy okazji porozmawiać z panem o sprawach bractwa kościelnego. Zajmie nam to niewiele czasu, a przypuszczam, że kilka chwil zechce mi pan poświęcić.

— Ach, oczywiście — odparł proboszcz z rezygnacją.

— Do widzenia i serdeczne dzięki — zawołała pani Rivers. Skłoniła się z uśmiechem i poprzez gęsty trawnik skierowała się ku bramie.

W ostatniej chwili proboszcz dogonił ją i otworzył furtkę ogrodową. Uczynił to z odruchem rycerskości, a na jego twarzy ukazał się rumieniec.

— Nie powinna pani w ten sposób odchodzić — rzekł. Uśmiechnęła się znowu tym swoim dziwnym, czarującym uśmiechem.

— W jaki sposób? — zapytała i skłoniwszy się raz jeszcze, wyszła, nie czekając odpowiedzi.

\*

\* \*

— Nie podoba mi się ta dama — oświadczyła pani Winch.

— Bardzo mi przykro — rzekł proboszcz.

— Istotnie? — w głosie jej było zdziwienie.

Spojrzał ponad jej głowę na słoneczny ogród i na aloes rosnący po,d oknem.

— To nie moja wina, pani Winch — rzekł wreszcie. — Zapomina pani, że ja jestem tylko sługą bożym.

Udobruchało to nawet groźną panią Winch. Postanowiła natychmiast zmienić temat rozmowy.

— Sądziłam, że pan' przyjdzie. Panna Mason opowiadała nam o piętrzących się trudnościach w jej dzielnicy, co uważałam za nierozsądne, ale pan może mieć inny pogląd na to.

Proboszcz nie przewidywał tej możliwości. Uśmiechnął się tylko. Miał sympatyczną opaloną twarz, a w uśmiechu pokazywał dwa rzędy białych zębów, które dodawały mu jeszcze więcej uroku.

Pani Winch ciągnęła dalej z pewną surowością, jak gdyby nie licząc na wiele sympatii z jego strony:

— Narzekała, że pani Phipps jest bardzo niesympatyczna i że żadne z dzieci nie przychodzi do szkoły niedzielnej.

Skarżyła się również, że stary Pemberlon nie wyjmuje papierosa z ust, gdy ona zwraca się do niego. Słowem, twierdzi, że postanowiła podać się do dymisji. Uważam

*11*

to za niesłuszne z jej strony, bo przecież nie istniejemy po to na świecie, aby mieć same przyjemności. Nie pragnę jej przekonywać, ale chciałabym wiedzieć, co pan o tym wszystkim myśli.

Po tych słowach zaległa w pokoju cisza. Bill wciąż spoglądał przez okno na aloes, jakby nic innego nie mogło go w tej chwili zaciekawić. Wreszcie jednak, gdy cierpliwość pani Winch zaczęła się wyczerpywać, rzekł:

— Rozumiem dobrze pannę Mason, jeżeli chodzi o panią Phipps. Ta kobieta jest niemożliwa. Niech pani powie pani Mason, aby więcej tam nie chodziła!

— Więc zamierza pan skarcić panią Phipps? — zaprotestowała z przerażeniem pani Winch. Bill Ouentin zaśmiał się.

— Muszę się jeszcze zastanowić. Mówmy lepiej o czymś innym. A propos, czy słyszała pani ostatnie wiadomości? Podobno Lottie Morton zaręczyła się!

— Coś takiego! — zdziwiła się pani Winch. — Lottie! To całkiem nieoczekiwana wiadomość! A z kim się zaręczyła, jeśli wolno wiedzieć?

— Niech pani zgadnie! — uśmiechnął się proboszcz.

Pani Winch spojrzała nań badawczym wzrokiem. W jego błękitnych oczach pojawiły się figlarne błyski, jakby ubawiony był ogromnie jej zdziwieniem. Lecz ona, zawsze pomna swego taktu nie chciała zgadywać.

— Nie wyobrażam sobie mężczyzny, który by pragnął poślubić Lottie Morton — rzekła.

— A ja sobie wyobrażam — odparł proboszcz.

— Czy pan przypadkiem nie myśli o Molly? — zapytała.

— Ach, skąd! — zaśmiał się znowu. — Molly przecież nie jest jeszcze w odpowiednim wieku do małżeństwa.

— To jest rzecz względna — zauważyła pani Winch. — Więc któż jest tym nieszczęśliwym człowiekiem, którego Lottie Morton wybrała za męża?

— Niech pani zgadnie! — przekomarzał się proboszcz. Obruszyła się niechętnie.

— Z pewnością nie pan!

— Dlaczegoż by nie? — uśmiechnął się.

Spojrzała nań podejrzliwie.

— Czyżby?

Odparował to nagłe zapytanie:

— Nie sądzi pani, że Lottie byłaby wymarzoną żoną dla pastora?

— Więc pan? — nastawała pani Winch.

— Dlaczegoż by nie? — powtórzył znowu proboszcz.

— Rzeczywiście — oddech jej był teraz przyśpieszony.

— Sądzę, że pani nie ma nic przeciwko temu? — szepnął pokornie. Raptownie zeszywniała.

— Cóż tutaj ja? Jaką mi to może sprawić różnicę? <sup>1</sup>

— Lottie jest bardzo przyzwoitą dziewczyną — dorzucił błagalnie.

— Ludziom zawsze tak się zdaje — rzekła pani Winch z okrucieństwem.

— Więc nawet nie chce mi pani powinszować? — zapytał.

— Jest nawet czego winszować, istotnie — odparła z powagą. Wybuchnął głośnym śmiechem.

— Niech się pani uspokoi. Lottie wychodzi za mąż za małego Birda, wikariusza.

Twarz pani Winch rozpogodziła się. Odetchnęła z ulgą. Lecz nie podzielała jego wesołości. Jak już zaznaczyła, nie był to żart w jej stylu.

— Miejmy nadzieję, że będą ze sobą szczęśliwi — zauważyła.

— Z pewnością — odparł Bill Quentin. — Szczęśliwi jak dwa gołąbki! Zamierzam złożyć im dzisiaj po południu życzenia. Pójdzie pani ze mną?

Pani Winch odmówiła z pewną dumą. W danej chwili nie była zbytnio zadowolona z wielebnego Billa. Doszła do wniosku, że ten jego żart był nieco wulgarny.

— Wybieramy się z panną Barnet na herbatę do pani Brace — oświadczyła.

— Ach, istotnie? — zawołał proboszcz bez odrobiny żalu. — Niech ją pani serdecznie pozdrowi — doktora Brace również, jeśli go pani zobaczy! Jeżeli któreś z nich zechce przyjść na wista jutro wieczorem do klubu, to będzie to z ich strony dobrym uczynkiem, który zostanie nagrodzony. Proszę im to ode mnie powiedzieć! Musi pani już iść, naprawdę? Nie zostanie pani na śniadaniu? A zatem, do widzenia

i serdeczne dzięki za pudding! Proszę pozdrowić ode mnie serdecznie pannę Barnet. Będę u niej w tych dniach, aby zasięgnąć rady w sprawie chóru chłopięcego. Dó widzenia i bardzo dziękuję!

— Do widzenia — rzekła pani Winch i wyszła pośpiesznie. Proboszcz wrócił do swego gabinetu i z wyrazem zadowolenia

usadowił się na starej kanapie, stojącej w rogu. Całe umeblowanie plebanii odkupił od wdowy po poprzednim proboszczu, a większa część mebli była istotnie antyczna i nosiła na sobie ślady należenia do zamożnych niegdyś rodzin. Wielebny Bill nie należał do ludzi, którzy dbają o stan tego, co ich otacza, lecz opanowało nim nagle dziwne uczucie i z wyraźną niechęcią rozejrzał się dokoła. Potem, złożony ręce pod głowę, począł błędzić spojrzeniem po suficie.

— Przysłużę się jej, gdy się ożenię z tą starą Barnet — rzekł. — Nie przypuszczam, aby była ode mnie starsza więcej niż o pięć lat. Chciałaby mnie chyba i byłaby wierną żoną, biedactwo.

Westchnął głęboko i sięgnął po papierośnicę. Zauważył, że jest pusta, więc cisnął ją w przeciwległy kąt kanapy.

— Co za życie! — rzekł, przymykając oczy.

W kilka minut później podniósł się, otrząsnął i podszedł do staroświeckiego biurka, stojącego pod oknem. Sięgnął po arkusz papieru i pisał pośpiesznie przez kilka minut. Potem nagle energia opuściła go. Spojrzał w górę i spojrzenie jego spoczęło na aloesie, okrytym kilkunastu pączkami pełnymi obietnic.

Począł zawzięcie gryźć trzymane w ręku pióro.

— Ty głupcze! — wyszeptał. — Ty niepoprawny głupcze.

I nagle wewnątrz domu odezwał się dźwięk gongu, wzywający go na drugie śniadanie.

Porwał się z krzesła.

— Dzięki Bogu! — zawołał. — To zupełnie zmienia stan rzeczy! Gwiżdżąc, wsunął zapisany arkusz papieru do szuflady, napełnił

pusztą papierośnicę, wsunął ją do kieszeni i wyszedł.

Pani Henderson oczekiwała już w skromnej jadalni z włosami gładko zaczesanymi od czoła. Prowadziła mu gospodarstwo przy pomocy młodej wiejskiej dziewczyny, której nigdy nie wolno było usługiwać proboszczowi ani też wyřęcać pani Henderson.

— Bardzo przepraszam, sir — rzekła gospodyni. — Miałam rano

dużo pracy i dlatego śniadanie spóźniło się trochę, ale mam nadzieję, że pan to zrozumie.

Południowe jedzenie zwane było zawsze przez panią Henderson drugim śniadaniem, aczkolwiek kolacja zazwyczaj bywała zimna. Proboszcz zatem nigdy nie jadał obiadu, chyba, że przebywał w gościnie u generała Farjeona.

Usprawiedliwienie pani Henderson przyjął wesołym śmiechem.

— Wiem, wiem — zawołał. — Wszystko w porządku, pani Henderson. Proszę się nie martwić!

Pani Henderson aż się zachłysnęła z radości.

— Pan jest niezwykle dobrym człowiekiem — wyszeptała.

— Jak pani śmie nazywać mnie dobrym? — zawołał proboszcz, marszcząc brwi.

Zachłysnęła się znowu, lecz nie powtórzyła komplementu. Istniało między nimi zupełne zrozumienie.

— Czyż to panią Rivers z Beech Mount widziałam dzisiaj rano?

— zapytała, podając mu kartofle.

— Istotnie — odparł proboszcz.

— Bardzo przystojna i elegancka dama — odrzekła pani Henderson. — W śmiechu jej jest tyle prawdziwej melodii.

— Możliwe — rzekł proboszcz, nakładając sobie niezgrabnie na talerz sałatę.

— A jej syn? — indagowała dalej pani Henderson. — Czy był także tutaj?

— Nie — odparł proboszcz.

— Słowo daję, że jest zupełnie nienormalny! — zapalała się coraz bardziej. — Czy pan go widział, sir? Prawie zupełnie dorosły chłopiec, o czarnych włosach i wielkich przepaścistych oczach, niczym duch. Odczuwam strach, gdy go spotykam. Stanowczo jest jakiś dziwny.

— Nie widziałem go — rzekł proboszcz.

— Ale z pewnością odniesie pan to samo wrażenie, gdy go pan zobaczy — przekonywała pani Henderson, składając uważnie serwetki.

— Za to pani Rivers to bardzo elegancka dama, trzeba przyznać. Mam nadzieję, że wstąpi kiedyś do nas.

— I ja mam nadzieję — rzekł proboszcz.

Drzwi się zamknęły i proboszcz zabrał się do samotnego spożywania smakowitych potraw.

Od lat siadywał tak sam w tym obszernym pokoju, który niegdyś rozbrzmiewał głosami gwarnej rodziny. Rząd skromnych krzesel, stojących pod ścianą, sprawiał wrażenie pustki i zapomnienia. Krzesła te zdawały się zapraszać bez słów niewidzialnych gości.

— Ciekaw jestem, czy byłoby tu weselej, gdybym je inaczej ustawił? — pomyślał proboszcz.

Naprzeciw niego, po przeciwległej stronie stołu stało krzesło, które niejako było towarzyszem tego, na którym siedział proboszcz. Prosty, prymitywny mebel, mniej zniszczony od reszty krzesel, znajdujących się w pokoju. Proboszcz spojrział na krzesło z żartobliwym uśmiechem.

— Nie będę mógł dłużej spoglądać ci w twarz — rzekł.

A potem jakby pragnąc urzeczywistnić swą fantazję, odsunął na bok talerz, wsparł się na łokciach i począł przyglądać się krzesłu spod zmarszczonych brwi.

Czyż krzesło to przybierało jakieś inne kształty pod wpływem jego wzroku? Widocznie musiał coś widzieć, bo spojrzenie jego stawało się coraz baczniejsze, a uśmiech zamierał na ustach. Z natury nie był marzycielem. Niektórzy ludzie uważali go za zbytniego realistę. Złośliwa Molly Morton z Rektoratu w Hatchstead powiedziałaaby z pewnością, że miał więcej grzechów niż przeciętny śmiertelnik. Słowem wielebny Bill cieszył się dziwną opinią. Lecz tego majowego poranka było coś czarodziejskiego w powietrzu, bo siedział w zupełnym milczeniu, spoglądając błędnym wzrokiem na puste krzesło.

Czyż to słońce czyniło ten pokój takim skromnym i opuszczonym? Z tej pustki zdawał sobie sprawę już przedtem, lecz nigdy nie absorbowwała ona do tego stopnia jego uwagi. A to krzesło nigdy nie wyglądało tak podejrzliwie pusto. Prawdopodobnie popołudnie będzie miał wypełnione zebraniem pań szyjących, zapewne Ellen Barnet, chuda i nerwowa zajmie to krzesło, jeżeli pani Winch jej na to pozwoli. Zazwyczaj sam unikał tych zebrań, zadowolając się tylko serdecznym ściskaniem dłoni tych wszystkich pań, które przychodziły i wychodziły. Nieszczery śmiech wydarł się z jego krtani. Śmieszne byłoby, gdyby okoliczności tak się zmieniły, że



Ellen Barnet, ta osoba pogardzana przez wszystkich, zajęłaby tu honorowe miejsce! Śmieszne, tak, bardzo śmieszne; gdyby to się stało raz albo dwa razy, ale zawsze?

Śmiech jego zamarł. Uczynił niechętny grymas i odegnał od siebie marzenia w chwili, gdy pani Henderson otworzyła drzwi i wkroczyła dumnie, niosąc na półmisku śnieżny pudding.

— Trochę się przyrumienił na wierzchu — zauważyła stawiając go na stole — ale jestem pewna, że w smaku będzie doskonały. Wszystko przez ten piec, sir. Musi go pan kazać naprawić.

— Straszny piec, istotnie — przyznał proboszcz. — Pamiętam, że uszkodzony był już dawno, pani Henderson. Nic nie szkodzi! Nie wątpię, jak pani sama twierdzi, że w smaku będzie dobry, a może nawet lepszy.

— Będzie pan na herbacie, sir? — zapytała pani Henderson, trzymając już rękę na klamce. — Bo mąż mojej siostrzenicy wrócił właśnie z Antypodów i chciałam się dowiedzieć, czy będę mogła zobaczyć się z nimi, to znaczy, czy pana nie będzie w domu, sir.

— Ach, w każdym razie może pani iść — odparł proboszcz.

— Również chętnie bym go zobaczył. Ale teraz wybieram się do Hatchstead, aby powinszować panu Birdowi, że zdobył serce panny Lottie Morton.

— Niemożliwe! — zawołała pani Henderson. — Więc panna Lottie wychodzi za mąż?

— Za Mr Birda — odparł.

— I kto by się tego spodziewał? — dziwiła się pani Henderson.

— Przypuszczam, że pani nic nie ma przeciwko temu? — uśmiechnął się pastor.

— Ach, absolutnie, sir, absolutnie! — pośpieszyła go zapewnić.

— Zresztą nie ośmieliłabym się nic takiego powiedzieć, gdybym miała nawet jakieś sprzeciwy. Miejmy nadzieję, że będą ze sobą szczęśliwi. Proszę im serdecznie pogratulować.

— Dobrze! Powtórzę wszystko — rzekł proboszcz. Pani Henderson wciąż stała jeszcze z ręką na klamce.

— Przyjemnie jest wreszcie znaleźć kogoś bliskiego, sir — zauważyła wymownie.

Proboszcz odwrócił się na krześle.

— To znaczy, że pani chciałaby znowu wyjść za męża, pani Henderson! — zawołał z rozpaczą. — A cóż ja bym bez pani robił?

Pani Henderson uśmiechnęła się doń przyjaźnie.

— Nie o mnie chodzi^sir — odparła z powagą. — Nigdy bym po raz drugi tego nie uczyniła. Miałam pana na myśli; proszę mi wybaczyć tę śmiałość. Niejednokrotnie zastanawiałam się nad tym, że panna Lottie byłaby bardzo odpowiednią żoną dla pastora z Rickaby.

— Za późno! — uśmiechnął się proboszcz.

— Tak, sir, tak. Ale jeszcze trzy panny tam pozostały oprócz panny Molly, która jak twierdzą ludzie, jest zbyt roztrzepana. Jest na przykład panna Fanny.

— Niech Bóg broni! — oburzył się pastor.

— Tak, rozumiem, sir. Jest troszkę za stara dla pana. Ale są przecież dwie młodsze, panna Berta i panna Maude. Bardzo sympatyczne młode damy — pani Henderson powoli wpadała w zachwyty.

Proboszcz mruknął coś niewyraźnie, a po chwili wybuchnął głośnym śmiechem.

— Przecież one zawsze chodzą razem, a nie mógłbym poślubić obydwu naraz? Tego się nie praktykuje. Zresztą nie jestem pewny, czy by mnie chciały. Tej ewentualności nie wzięła pani pod uwagę.

— Co! Nie będą pana chciały? — oburzyła się pani Henderson. — Tego byłoby już za wiele, sir! Z pewnością przyjdzie czas, kiedy znajdzie pan dla siebie odpowiednią żonę.

— Nic nie wiadomo — westchnął proboszcz, zabierając się do puddingu. — Ale przyrzekam pani, że nieprędko, pani Henderson. Niech pani powie Joemu, aby osiodłał starego Paddy, jak tylko wróci z obiadu. Jeżeli nie zostanę na herbacie w Hatchstead, to wypiję gdzie indziej.

— Ale wypije pan na pewno, prawda, sir? — niepokoila się pani Henderson.

— O, tak, może pani być spokojna! — proboszcz jadł pudding z coraz większym pośpiechem. — Muszę jeszcze dzisiaj odwiedzić kilka domów. Z pewnością nie do jednej herbaty mnie zmuszą.

— Byle nie za wiele, sir! — zaprotestowała pani Henderson. Wzruszył ramionami.

— Nie rozchoruję się, niech pani będzie spokojna — rzekł. — Są

sprawy, o których nikt oprócz pani nie wie, więc przypuszczam, że mi pani pozwoli wyjechać.

Pani Henderson uśmiechnęła się radośnie i otworzyła drzwi.

— Pan zawsze ma słuszość, sir! — zawołała. — W każdym razie lepiej, że o niektórych sprawach nikt, oprócz mnie, nie ma pojęcia.'

— W tym wypadku skłonny jestem przyznać pani rację — uśmiechnął się proboszcz.

\*

\* \*

Z Rickaby do Hatchstead było trzy mile i przez całą odległość biegł równiutki gościniec, porośnięty po obydwu stronach trawą. Dzień był ciepły i słoneczny, a wielebny Bill gwizdał wesoło, jadąc wolno przed siebie.

Wierzchowiec Paddy był poczciwym stworzeniem, rzadko kiedy zwawym, lecz zawsze pełnym dobrych chęci. Znał on swego pana pod każdym względem i stanowili parę serdecznych przyjaciół. Wystarczyło, żeby proboszcz podniósł w górę pejcz, a Paddy przyśpieszał kroku. Paddy znów ze swej strony często przechodził w leniwego stępa, lecz jeździec nigdy nie miał doń o to pretensji. Dzisiaj była zbyt piękna pogoda, aby się śpieszyć. Szata zieleni okryła drzewa i cały świat budził się do życia pod dotknięciem pierwszych zwiastunów wiosny. Dziecięta stukały w kory, a od czasu do czasu z jakichś zarośli słychać było rzewną pieśń słowika. Czyż można się dziwić wierzchowcowi Paddy, że pragnął tego śpiewu słuchać, czyż można się dziwić proboszczowi, że upojony pięknem przyrody, zapalił z zadowoleniem papierosa?

Zboczyli z głównego gościńca i stali teraz na wąskiej ścieżce, po obu stronach której ciągnęły się dość głębokie rowy, porośnięte pierwiosnkami. Nad ich głowami rozbrzmiewała muzyka świata przyrody.

Paddy pochylił łeb i uszczknął trawy. Potem nagle skoczył przerażony, a uczynił to tak niezręcznie, że omal nie zrzucił jeźdźca z siodła do rowu.

Takie zachowanie wierzchowca było czymś całkiem nowym dla proboszcza, lecz po chwili już zorientował się, co było przyczyną przerażenia Paddy. Małeńki dwuosobowy samochód zawarczał, zatoczył się na nierównym zakręcie i poślizgnął się tuż nad rowem.

Siła hamowania była dość raptowna i cudem tylko samochód nie wywrócił się do góry kołami. Przednie jego koła zaryły w błocie i zatrzymał się o kilka kroków od drżącego na całym ciele Paddy.

Proboszcz uspokajał wierzchowca słowami i głaskaniem, lecz upłynęło kilka chwil, zanim zdołał wyswobodzić nogi ze strzemion. Gdy wreszcie mu się to udało, ujrzał stojącego przy samochodzie kierowcę, usiłującego cofnąć nieco auto i wydostać je z błota. Paddy, będąc już trochę spokojniejszy, pozwolił się przywiązać do gałęzi drzewa, proboszcz zaś ruszył na pomoc kierowcy.

Ku swemu wielkiemu zdumieniu dostrzegł, że kierowca odwraca ku niemu twarz płonąca gniewem.

— Dureń! Idiota! — zawołał. — Jak można przystawać w takim miejscu!

Był to chłopiec najwyżej lat osiemnastu, lecz złość opanowała go w tej chwili tak wielka, że wyglądał prawie jak niezrównoważone dziecko. Pięści miał zaciśnięte, jakby miał zamiar rzucić się na wroga.

Dziecięcy wyraz jego twarzy powstrzymał wielbnego Billa od odpowiedniego zareagowania na obelgi. Gdyby chłopak teraz nawet rzucił się na niego, proboszcz byłby bardziej tym ubawiony niż rozgniewany. Z trudnością powstrzymał głośny śmiech.

— Jest nas takich aż dwóch — zawołał żartobliwie. — Nie przypuszczam, abym ja był większym idiotą.

Wyciągnijmy to auto! Sądzi pan, że się uszkodziło?

— Na pewno tak! — Młodzieniec po prostu dławił się odpowiedzią. Twarz jego była blada i drgała nerwowo. — Pan chyba oszalał, żeby przystawać na takiej wąskiej drodze!

— Całe szczęście, że nie stało się nic gorszego! — zauważył filozoficznie Bill Quentin. — Może na przyszłość nie będzie pan brał zakrętu w tak szybkim tempie i nie będzie pan jeździł jak lunatyk.

— Więc pan uważa, że to moja wina? — wybuchnął chłopak.

— Nie powiedziałem tego, ale mogę powiedzieć, jeśli pan sobie życzy. — Wyraźna wesołość brzmiała teraz w głosie proboszcza. — Chętnie również dałbym panu pięścią w głowę, gdyby to mogło pana nauczyć ostrożniejszej jazdy na przyszłość.

— Mon Dieu! — zawołał chłopak.

— O, teraz wiem, kim pan jest! — ucieszył się proboszcz. Jest pan synem pani Rivers, nieprawdaż? Ja nazywam się Quentin, Bill Quentin, jestem pastorem w Rickaby. Wobec tego nie dam panu pięścią w głowę, ale wcale nie dlatego, że pan na to nie zasłużył. Chodźmy, wyciągniemy ten samochód z powrotem na gościniec!

Odwrócił się wesoło i pochylił nad samochodem. Młodzieniec spoglądał nań przez chwilę, po czym również wziął się do pomocy.

Wreszcie udało im się wyciągnąć samochód na równą drogę, a po obejrzeniu doszli do wniosku, że uszkodzony był tylko błotnik i zbity reflektor.

— Całe szczęście! — rzekł wielebny Bill. — A jak pan się czuje? Niezbyt dobrze?

Zadał to pytanie, widząc zdenerwowanie chłopca, który za wszelką cenę pragnął je ukryć. Indagację wielebnego Billa przyjął z wyraźną niechęcią.

— Powiadam panu, że nic mi nie jest. Nie zechciałby pan pójść sobie i zostawić mnie samego?

— Owszem, mogę — odparł proboszcz — jeżeli uważa pan, że tak będzie dobrze. Ale jeśli pan ma zamiar zemdleć, czy uczynić coś w,-tym rodzaju, to przypuszczam, że lepiej będzie, jak zostanę.

— Zemdleć! — zawołał chłopak z pasją. — Ja mam zemdleć! Ach, niech pan nie będzie śmieszny! Powiadam panu, może pan wrócić do swego wierzchowca i odjechać!

Chociaż mówił z taką pasją, twarz jego stawała się coraz bardziej blada i szczął zębami.

Bill Quentin spoglądał nań bacznie przez chwilę, po czym postanowił zostać. Odwrócił się tylko i z udaną obojętnością dobył z kieszeni drugiego papierosa.

Gdy już zapalił i obejrzał się przez ramię, dostrzegł, że jego młody przyjaciel oparł się bezsilnie o auto, jakby za chwilę miał upaść. Wielebnemu Billowi wystarczyło to zupełnie. Odrzucił papierosa i podbiegł do chłopca.

— Przyjacielu drogi! Tak nie można — zawołał dobrotliwie, otaczając chłopca ramieniem. — Musiał się pan bardzo zdenerwować. Niech pan siada!

Zmusił go do zajęcia miejsca na stopniu samochodu.

— *Cóż to? Słabo panu?*

— Nie, nie! Wcale mi nie jest słabo. — Odpowiadał z widocznym wysiłkiem. — To tylko takie... chwilowe. Czuję się zupełnie dobrze.

— Niech się pan uspokoi! — doradzał proboszcz. — Nie ma się co śpieszyć. Niech się pan oprze na mnie, mój chłopcze! Za chwilę dojdzie pan zupełnie dp siebie. Teraz już lepiej. — Chłopak mimo woli wsparł się na ramieniu proboszcza. — To tylko nerwy. Wiem. Doskonale rozumiem. Jak panu na imię? Gaspard, prawda? Matka pańska opowiadała mi o panu dzisiaj rano.

— Co, o mnie? — zdziwił się Gaspard, błędząc wzrokiem dokoła.

— Ach, niezbyt wiele. Zorientowałem się tylko, że bardzo dba o pana. Miałem nawet zamiar przyjechać kiedyś, żeby pana poznać.

— Po co? — Chłopak spojrzał znów niechętnie, drżąc jeszcze na całym ciele.

— Odwiedzanie ludzi jest moim obowiązkiem — wyjaśnił proboszcz. — Nie czynię tego częściej, jak raz do roku. Do niektórych tylko wpadam od czasu do czasu. Jak się pan czuje? Lepiej teraz?

— Tak, tak. Zupełnie dobrze. Ale dlaczego odwiedza pan ludzi? Prawi im pan kazania? — pytanie to zadane zostało z gorączkową ciekawością.

Bill zaśmiał się.

— Nieęh Pan Bóg broni! Nienawidzę kazań.

— Więc cóż? Chce pan się wszystkiego o tych ludziach dowiedzieć?

— Także nie! — odparł Bill. — Nigdy nie wtrącam się do spraw innych. Nigdy nie staram się niczego dowiedzieć, o czym mi sami nie mówią.

— Więc po cóż pan to robi? — zawołał chłopak, lokując się wygodnie na stopniu i wspierając podbródek na dłoni.

— Właściwie sam nie wiem — wesoło odparł proboszcz. — Uważam to za swój obowiązek i dlatego odwiedzam ludzi.

— Więc jest pan dobrym człowiekiem?

— Nie jestem dobry, ale staram się być takim. To znaczy, o ile mogę.

— I to wszystko? A ja myślałem, że pan tę swoją dobroć rozdaje już od dawna.

— Od kilku lat —\_ przyznał pastor.  
— Do tej pory mógł pan już zostać świętym — zaśmiał się sarkastycznie Gaspard.  
— Nie wszyscy ludzie od razu zostają świętymi — odciął się proboszcz, zapalając trzeciego papierosa.  
— Ale pan ma wciąż nadzieję, że pan tam kiedyś zostanie? — dorzucił chłopak.  
— Jak to tam? — zdziwił się proboszcz.  
— No tam, dokąd pan pójdzie po śmierci, w niebie, czy jak tam to nazywacie.  
— Ach, tak! To całkiem inna sprawa, nieprawdaż? Zapali pan?  
— Nie, dziękuję. Widzi pan, bo ja jestem agnostykiem. Myśli pan, że to szkodzi?  
— Bardziej panu samemu niż komukolwiek — uśmiechnął się proboszcz.  
— Dlaczego? — w zapytaniu tym było coś z niepewności. Wielebny Bill zaciągnął się dymem papierosa.  
— Jest już tak, że jeżeli pan jest ślepy, to oznacza to raczej pański pogrzeb niż kogokolwiek innego.  
— Hm! — chłopak zaśmiał się nieszczercze. — Mam wrażenie, że ci wszyscy cnotliwi i dobrzy ludzie w ten sposób na to się zapatrują.  
— Na co?  
— Na tę ślepotę.  
— A jak pan to nazwie?  
— Ja bym to nazwał zdrowym rozsądkiem. To, co nazywacie religią, jest tylko prostą legendą, niczym więcej, prostym nonsensem, snem podczas dnia. Nie macie żadnych dowodów. Żyjemy, umieramy i to wszystko, czego jesteśmy pewni. Są między nami tak uczciwe jednostki, że swobodnie do tego się przyznają. Większość wprawdzie tej uczciwości nie posiada.  
Podniósł się energicznym ruchem i rozejrzał się dokoła wzrokiem pełnym niechęci.  
— Zależy, jak kto na to patrzy — rzekł proboszcz.  
— A jakież istnieje inny punkt widzenia? — indagował Gaspard.  
— Widzi pan — uśmiechnął się blado proboszcz — jeżeli jeden człowiek widzi dalej od drugiego, to nazwałby pan tego człowieka

nieuczciwym choćby dlatego, że dostrzega rzeczy, które dla jego bliźnich zasłonięte są mgłą.

Chłopiec poruszył się niespokojnie.

— Ale wy wszyscy jesteście tacy głupcy. Wszyscy twierdzicie, że widzicie coś, co nie istnieje.

— Więc pan wierzy tylko w te rzeczy, które pan może zobaczyć?

— zapytał Bill Ouentin.

\_W to tylko wierzę, na co mam dowody — sprostował Gaspard.

— Rozumiem. — Dłoń proboszcza spoczęła przyjaźnie na ramieniu chłopaka. — Wątpię, czy pan będzie agnostykiem przez całe swoje życie

— zauważył. — Jest pan zbyt ludzki. Jak się pan teraz czuje? Serce w porządku?

Gaspard spojrzał nań.

— A skąd pan wie o moim sercu?

— Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam — zaśmiał się ksiądz.

— Na głupiego to pan nie wygląda — zaprotestował Gaspard — ale musi pan być głupi, bo inaczej nie zostałby pan pastorem.

— O, dziękuję serdecznie! — wybuchnął Bill pełnym szczerości śmiechem. — Musi pan mieć słuszność, ale z zupełnie innych powodów. Niech pan siada do auta, a ja zakręcę motor!

Gaspard zawahał się, dręczony nagłymi wyrzutami.

— Zgoda? — nastawał Bill.

Chłopak uczynił jakiś impulsywny ruch w jego stronę.

— Czy byłem bardzo niegrzeczny względem pana?

Nim jeszcze zdążył odpowiedzieć, uścisnął gorąco rękę młodzieńca.

— Naprawdę nie pamiętam — odparł. Twarz Gasparda spłonęła rumieńcem.

— Może pan mnie kiedyś odwiedzi — wyszeptał. — Postaram się być uprzejmiejszy.

— Doskonale! — zawołał proboszcz.

Gaspard wyswobodził pośpiesznie rękę z jego uścisku i wsiadł do auta.

— Ale niech się pan nie zmusza do tej wizyty — zawołał, kładąc rękę na kierownicy.

— O, z pewnością nie — odparł wielebny Bill, .usiłując zapalić motor.



Wielebny Bill zastał już licznie zebranych gości w Rektoracie w Hatchstead, gdy przygalopował tam na swym wierzchowcu Paddy. Dopiero wczoraj okolica została zawiadomiona o zaręczynach Lottie Morton z wikarym, a już całe Hatchstead przybyło, aby złożyć życzenia.

Szczęśliwa para znajdowała się w ogrodzie wraz z resztą rodziny i kilkunastu przyjaciółmi, otoczona atmosferą wielkiej uroczystości, którą zresztą tchnęło wszystko dokoła.

— Bardzo to miło, że się tak z tej okazji przejmują — pomyślał proboszcz. — Ale z czego będą żyć biedacy?

Mógłbym przysiąc, że ten biedny Bird nie ma ani szelaga.

Biedny Bird istotnie nie sprawiał wrażenia człowieka ząsobnego. Był niski, barczysty, bardzo powolny w ruchach, dokładny i do przesady konwencjonalny. Molly, posiadająca ostry język, twierdziła zawsze, że lękał się śmiać z jakiegokolwiek dowcipu, bo mogło się potem okazać, że dowcip ten był niemoralny. Bird przyjął powinszowanie wielebnego Billa z wielkim przejęciem.

— Tak, jestem naprawdę szczęśliwy — rzekł głosem pełnym powagi. — Jeszcze teraz nie mogę uwierzyć w swoje szczęście. Wszystko to wydaje mi się tylko snem.

— Głupi osioł! — odezwał się jakiś głos w duszy Billa Ouentina, uśmiechnął się jednak tylko i zawołał wesoło: — To uszczypnij się, drogi kolego i zdaj sobie sprawę, że to wszystko przeżywasz na jawie! Żeniaczka jest ciężkim obowiązkiem. Nie będziesz miał teraz czasu na spanie! Musisz się odzwyczaić.

— Ach, ale tak przyjemnie oddawać się marzeniom — zaprotestował wikariusz. — Pan, mój drogi Quentin, pan jesteś kawalerem; w życiu nie przeżywałeś żadnej miłości. Nic więc dziwnego, że nie potrafisz pan zdać sobie sprawy z tak poważnego kroku.

— Miłości! O Boże! — odezwał się znowu ów wewnętrzny głos w duszy Billa Ouentina. Proboszcz zorientował się od razu, że musi coś odpowiedzieć, bo zostałby potępiony przez potulnego Birda.

— Oczywiście — odparł uprzejmie. — Zupełnie o tym zapom-

niałem. Życzę panu szczęścia. Chciałbym teraz powinszować pannie Lottie!

Zastał ją otoczoną gośćmi, z podniesioną wysoko głową tak, jakby pragnęła dumnie oznajmić każdemu, o swym bliskim małżeństwie.

Lottie Morton nie była już młoda, miała szczupłą i dość zgrabną figurę, lecz we włosach jej ukazywały się gdzieś niegdzie srebrne nitki. Była niestrudzoną pracownicą w parafii swego ojca i Bill Quentin znalazł ją tylko z tej strony. Lubił ją bardziej niż Fanny, starszą siostrę, która była wprawdzie energiczniejsza, ale jednocześnie zbyt obcesowa i należało jej za wszelką cenę unikać. Lottie jednak również nigdy nie wydawała mu się zbyt interesująca. Wywieriała nań zazwyczaj mniejsze wrażenie niż którakolwiek ze znajomych kobiet. Mówiąc szczerze, zawsze go nudziła.

Dzisiaj po raz pierwszy przypatrywał jej się z pewną uwagą. Co ten wikariusz w niej widział? Co tam właściwie było ciekawego? Stanowiła po prostu typ bezbarwnej kobiety, obok której przechodzi się jak obok sprzętu. Nigdy nie grzeszyła zbyt dużą mądrością, była wprawdzie dobra, ale przy takiej głupocie trudno nią nie być.

Podszedł do niej i przez chwilę trzymał jej pulchną rękę w swej dłoni, składając serdeczne życzenia. Zawisła na chwilę wyblakłymi oczami na jego twarzy z uśmiechem dziwnego zażenowania. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że musiała go nie lubić. Ale właściwie dlaczego? Przecież nigdy nic złego jej nie uczynił...

Cofnął się nieco i mimo woli natknął się na Fanny. Serce zabiło mu mocniej, gdy się zorientował, że w pobliżu nie było nikogo, kto by go mógł z jej towarzystwa wyswobodzić. Fanny była zawsze taka narzucająca się. Nigdy się nie obrażała, choćby jej ktoś powiedział dużo przykrych rzeczy.

— Jak miło, że pan przyszedł, Mr Quentin! Oczywiście nie sprawiliśmy chyba panu niespodzianki. Spodziewał się pan tego, bo ja już wiedziałam od dawna. Gdy ludzie szukają się nawzajem, to kiedyś muszą się połączyć, prawda?

— wybuchnęła głośnym śmiechem. — Usiądźmy gdzieś w cieniu! Taki cudowny mamy dzień! Pan przyjechał konno? To niech mi pan pokaże swego Paddy! Gdzie go pan zostawił? W stajni?

Nie, Paddy był przywiązany u bramy i ten fakt uratował Billa Quentina, bo gdy wyszli z ogrodu, natknęli się na starego generała

Farjeona wysiadającego z auta. Fanny najwidoczniej była rozczarowana widokiem generała i chętnie skryłaby się wraz z Billem do ogrodu on jednak udawał, że nie zauważył tego jej manewru. Podeszedł do starca z serdecznym powitaniem.

— Hallo, sir! Bardzo się cieszę, że pana znowu widzę. Co słyhać? Dobrze się pan czuje?

— Ach, diabelnie dobrze! — odparł generał, podając mu rękę — Widzę, że nie bardzo troszczy się pan o to! Od tygodnia ani razu pana nie widziałem.

— Zamierzałem wpaść dzisiaj — rzekł Bill.

— Istotnie? Musi pan to koniecznie uczynić. Wie pan, jakie jest przysłowie na temat dobrych chęci? I cóż, Fanny, siostra cię wyprzedziła! Przyjmij moje kondolencje...

— Ach, generale! — zaprotestowała Fanny. — Cóż za nieprzyjemne żarty! Ja się znowu tak nie palę do małżeństwa. Proszę, niech pan wejdzie do ogrodu! Zastanie pan tam mego ojca.

— Poda mi pan ramię, Bill? — zapytał generał Farjeon. — Gdzie moja laska, głupcze! — zwrócił się do szofera. — No, nareszcie! Wiec idziemy!

Biedna Fanny westchnęła z rozczarowaniem i poszła pierwsza w stronę ogrodu.

Skierowali się w stronę obszernego trawnika, a Rektor Hatchstead wstał i wyszedł im naprzeciw. Generał Farjeon był najbogatszym w jego parafii, toteż Rektor okazywał mu dużo uprzejmości. Zaniepokoił się tylko meco, widząc generała wspartego na ramieniu Billa Ouentina Ukrył jednak starannie swoją niechęć i począł witać generała radośnie Nigdy me przypuszczał, że generał raczy przyjechać, aby złożyć powinszowania jego córce.

— A gdzie jest Molly? — zapytał generał, złożywszy już gratulacje młodej parze.

Z całej rodziny najbardziej lubił najmłodszą córkę Rektora, rozkapryszoną Molly. Zawsze twierdził, że Molly posiada najwięcej rozumu co zresztą było prawdą. Zastali Molly leżącą na ławce w pobliżu placu tenisowego, zajęta drażnieniem młodego foxteriera. Była to osiemnastoletnia dziewczyna, sprawiająca raczej wrażenie chłopca, dzięki swym niedbałym ruchom i swobodnemu zachowaniu.

Psiak w pewnej chwili stracił cierpliwość i zanurzył ostre zęby w nagim ramieniu Molly. Dziewczyna z głośnym krzykiem odepchnęła go i zerwała się na równe nogi. Do twarzy nabiegła krew. Chwyła raketę tenisową i rzuciła ją za psem, który począł głośno skomleć. Potem odwróciła się i dostrzegłszy kilka osób zebranych na trawniku, z głośnym śmiechem podbiegła do nich.

Bill zbliżył się do Molly, podając jej czystą chustkę.

— Powinna pani zaraz to obmyć — rzekł.

— Po co? — «zagadnęła, patrząc w ziemię. — Ach, to głupstwo. On często mnie tak gryzie. Przyszedł pan, aby powinszować Lottie? Jakże pięknie z pańskiej strony! Zadowolona była?

— Naprawdę sam nie wiem, — Pytanie to zaskoczyło go nieco, jak również złośliwe błyski w jasnych oczach dziewczyny. Co oni wszyscy mieli na myśli? Co im takiego złego uczynił? Chyba tylko to, że unikał Fanny. Ale każdy inny mężczyzna na jego miejscu postępowałby tak samo.

— Zamierza pan pomóc przy ślubnej ceremonii? — zapytała Molly po chwili. — To byłoby naprawdę poświęcenie. Później wyczytalibyśmy w gazecie: „Ślub dawał ojciec panny młodej, Rektor parafii, przy asyście wielebnego Williama Quentina, proboszcza parafii w Rickaby, który jest najserdeczniejszym przyjacielem młodej-pary”.

— Hm! — mruknął Bill, nie mając na to innej odpowiedzi.

— Co to znaczy? Myśli pan, że żartuję? — zaśmiała się Molly obojętnie. — A propos, jak się panu podoba ta piękna pani Rivers? Jadąc na rowerze, widziałam ją dzisiaj rano w pańskim ogrodzie. Cóż pan o niej myśli? Niektórzy powiadają, że okazuje zbyt dużo dobroci, więc wątpliwe, czy ta dobroć jest szczerą.

Fala nagłej niechęci ogarnęła wielebnego Billa.

— Jeżeli pani chce, to mogę powiedzieć, co o pani myślę, Molly — rzekł.

— Ach, proszę! — zaśmiała się dziewczyna. — Każdy to uczyni, prędzej czy później. Ale czy nie byłoby zabawniejsze, gdybym ja panu coś powiedziała? — Zwróciła się do gromadki, wśród której znajdował się generał Farjeon. — Słuchajcie wszyscy! Nasz wielebny sąsiad myśli, że jestem źle wychowana. Czyż to nie bezczelność z jego strony?

— Wyraziłbym to inaczej, gdyby mi było wolno — rzekł Bill

Quentin, zapalając się coraz bardziej. — Myślę, że przemawia przez panią tylko nieopanowana młodość. Jest to choroba, którą jedynie czas może wyleczyć.

— Słuchajcie, słuchajcie! — zaśmiał się generał Farjeon. — I cóż ty na to, moja piękna Molly? Ponieważ jesteś kobietą, możesz się zdobyć na wszelką bezczelność, więc szykuj broń!

— Dziękuję — odparła Molly, podnosząc w górę głowę. — Ten pan nie wart jest tego. Czy pan już widział piękną panią Rivers, generale?

— Kogo? — zapytał generał Farjeon. — Nic nie słyszałem o niej. Któż to taki?

Molly uśmiechnęła się wymownie.

— Proszę zapytać Mr Quentina! Ta dama jest bardzo romantyczną osobką, o włosach koloru platynowego i subtelnym oczach, które wszystko widzą. Bardzo interesująca kobieta, nieprawdaż, Mr Quentin? Ach, zapomniałam jeszcze dodać, że jej śmiech jest bardziej sztuczny niż kolor włosów. Mr Quentin, jako mężczyzna, z pewnością tego nie zauważył.

— Molly! Molly! — strofował ją ojciec. — Za dużo mówisz, moje dziecko.

— Nie, nie! Proszę jej nie bronić! — zaprotestował generał. — Bawi mnie ta dziewczyna. — Opowiedz mi coś jeszcze o tej powabnej damie, Molly! Muszę ją koniecznie zobaczyć. Gdzie ona mieszka?

— Niestety, nie będzie pan jej mógł odwiedzić — odparła Molly. — Pani Rivers nie ma męża. Tylko duchowni mogą odwiedzać samotne kobiety. Chyba, że pan poprosi Mr Quentina, żeby pana przedstawił. Ta pani mieszka w Beech Mount ze swym synem, który rozbija się po okolicy samochodem, usiłując niby przypadkiem przejechać kogoś. Poza tym pani Rivers ma służącego imieniem Benedykt, który wygląda jak bandyta. Pilnuje chłopca, auta i drzwi, mówiąc wszystkim, że pani nie ma w domu. Mr Quentin oczywiście, będąc pastorem, nie jest narażony na takie nieprzyjemności. Po prostu zawarł znajomość na drodze. Księżom wszystko wypada, nieprawdaż ojcze? Wciskają się tam, gdzie nawet aniołowie nie mogą i przed aniołami zdobywają nagrody.

— Czy ty się też uważasz za anioła, jeśli wolno zapytać? — zagadnęła generał Farejon, pociągając dziewczynę za ucho.

— Ale skądże! — oburzyła się Molly. — Ja tam takich rzeczy nie lubię. Każdy to panu powie. Jestem jednak szczerą. Wszyscy wiecie, jaka jestem.

— Tak, masz słusność — uśmiechnął się generał. — Najbardziej roztrzepany urwis, jakiego w życiu widziałem! Kiedy mnie znowu odwiedzisz? Mój siostrzeniec Stafford przyjedzie na niedzielę, więc będzie pewna atrakcja.

— Mniejsza o to — zawołała Molly. — Wybieram się na łódki w sobotę. Może będę mogła wstąpić w niedzielę wieczorem, jak mi czas pozwoli. Ale przyrzec nie mogę.

— Molly! Molly! — gromiła ją matka. Molly wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Zagra ktoś w tenisa? Przecież nie możemy stać tak ciągle i patrzeć na Lottie i jej ukochanego A.B.

— Dlaczego tak go nazywasz? — zapytał generał.

— Po prostu skrót od Alfred Bird. Nie znoszę imienia Alfred, a pan? Dlaczego do licha nie nazwano go Ryszardem? Ryszard Bird brzmiałoby jakoś przyzwoiciej. Ruszmy się stąd wreszcie! Pan oczywiście zagra? — zwróciła się do Billa.

Pośpieszył wytłumaczyć się.

— Nie w tej chwili, dziękuję pani, Molly. Muszę już uciekać. Mam jeszcze kilka wizyt w mieście.

— Ach, wiem — zawołała Molly. — Takie wizyty bywają bardzo pożyteczne, nieprawdaż? A jak się miewa pani Winch? I biedna stara Ellen Barnet? Zawsze tak zażenowana?

— Zaczekaj pan! — zwrócił się do Billa generał Farjeon. — Ja także już pojadę. Muszę tylko pożegnać pannę Lottie i zapewnić ją, że dzisiaj wypiję za jej zdrowie. Może mi pan pomoże, Bill, jeżeli pan nie ma nic lepszego do roboty.

— Dziękuję panu, sir — odparł Bill Quentin.

— Ha, ha! — zaśmiał się generał. — Oczywiście! Śmieszny z pana chłopak, Bill.

Zapadał już wieczór, gdy Bill Quentin wracał ze swych wizyt, aby się przebrać i pojechać znów na obiad do Hatchstead. Ostatnie promienie słońca złociły ścieżkę, porośniętą z obu stron pierwiosnkami i pod wpływem tych promieni kwiaty nabierały precudownej barwy. Zapach ich mieszał się ze świeżą wonią ziemi, a Bill czuł wiosnę w szybciej krążącej krwi.

Nagle z daleka dostrzegł postać kobiecą w skromnym płaszczu zbierającą pierwiosniki. Zwrócił od razu na nią uwagę i na jego twarzy ukazał się uśmiech pełen zadowolenia.

— Ach, poczciwa panna Barnet! — rzekł półgłosem, przynaglając Paddy do szybszego kroku.

Odwróciła się, gdy podjechał do niej i jej bezbarwna twarz spłonęła rumieńcem przy powitaniu. Musiał więc istnieć jakiś węzeł sympatii między Ellen Barnet i proboszczem.

— Ogromnie się cieszę! — rzekł pastor, zeskakując z siodła.

— Zbiera pani pierwiosniki? Pomogę pani!

— Ach, właśnie skończyłam — odparła, pokazując mu pełny koszyk. — Pani Winch łaskawie zwolniła mnie na godzinę, więc przyszedłam tutaj. Taka cudowna pogoda!

— Gdy przejeżdżałem przedtem, słyszałem śpiewające słowiki

— wtrącił proboszcz.

— Ja także słyszałam, bosko śpiewają — odparła przyciszonym głosem. — Przestały dopiero śpiewać, gdy pan ukazał się na ścieżce. Ogromnie lubię słowiki.

— Najprawdopodobniej stworzone zostały dla takich ludzi jak pani

— rzekł proboszcz, biorąc z jej rąk koszyk. Zarumieniła się znowu.

— Ach, Mr Quentin, nie to miałam na myśli. Przecież jestem takim nieważnym członkiem społeczeństwa. Nigdy bym się nie ośmieliła...

— Jest pani bardzo wyrozumiała — rzekł. — Nie każdemu jest to dane. Na miłość boską, ale się pani napracowała! Co zamierza pani zrobić z tymi kwiatami?

Uśmiechnęła się raczej nerwowo.

— Część ich przeznaczyłam na stół pani Winch, resztę miałam zamiar zanieść pani Henderson, aby przystroiła nimi plebanię. Sama biedaczka nie ma czasu zbierać kwiatów.

— Jest pani naprawdę zbyt dobra. — A ja bym się nigdy nie domyślił, skąd te kwiaty pochodzą. Dobroć pani jest wyjątkowa.

— Ach, proszę, proszę! — protestowała nieśmiało panna BarnW. — Zbieranie kwiatów sprawia mi dużo przyjemności. Niech pan nie podejrzewa, że jest to dla mnie ciężką pracą! Pierwiosnki są takie piękne.

— Pani zawsze myśli o wszystkich — zauważył proboszcz. Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nie! Jestem bardzo głupia i rzadko kiedy pamięć mi dopisuje. Jestem pewna, że pani Winch często się na mnie za to gniewa.

— Jeżeli tak jest — oburzył się Bill Quentin — to stanowczo pani Winch nie ma racji.

— Ach, istotnie, istotnie! — zawołała z przerażeniem panna Barnet. Proboszcz nie chciał słuchać dalszych tłumaczeń.

— Pani sama nie zna swojej wartości i to najgorsze. Gdyby więcej takich ludzi było, z pewnością świat byłby lepszy.

— Dostrzegłszy jej zażenowanie, pośpiesznie zmienił temat. — Byłem właśnie, aby powinszować Birdowi i Lottie Morton. Słyszała pani chyba, że zamierzają się pobrać?

— Tak, oczywiście. Taka byłam uradowana tą wiadomością. Czy są szczęśliwi? Chyba tak. Zamierzałam nawet napisać kilka słów do Lottie, jeżeli mi pani Winch pozwoli. Widział ją pan? I jak wygląda?

Bill zamyślił się przez chwilę.

— Sam nie wiem. Chyba tak jak zwykle. — Umilkł znowu, a potem coś skłoniło go do wynurzeń. Zaufanie jego do Ellen Barnet było czymś raczej instynktownym, takim samym zresztą zaufaniem darzyły ją niemal wszystkie dzieci w szkole niedzielnej. — Chciałem pani coś powiedzieć. Można?

Spojrzała zdziwiona i zawstydzona jednocześnie.

— Jak pan może pytać? — bąknęła. Zniżył głos nieznacznie.

— Nikomu innemu nie powiedziałbym o tym, tylko pani. Pojechałem tam powinszować i zastałem wszystkich z wyjątkiem Fanny usposobionych buntowniczo względem mnie. Szczególnie Molly, która



zawsze mówi to, co myśli. Pani to na pewno rozumie. Czy sądzi pani, że Lottie ma jakąś przyczynę do obrazy? Nigdy nie oświadczałem się jej, przysięgam. Nigdy nawet nie myślałem o tym.

Mówił z tą chłopięcą powagą, która była jego charakterystyczną cechą. Panna Barnet odwróciła się i spojrzała mu szczerze w oczy.

— Sama tego nie przeżywałam nigdy, mr Quentin — rzekła łagodnie — ale przypuszczam, że dobrze to rozumiem. Bardzo mi żal Lottie. Już dawno zdawałam sobie sprawę, że tylko pan może ją uszczęśliwić. Lecz widocznie Bóg chciał inaczej, a ona prawdopodobnie słusznie postąpiła, zwracając się w inną stronę. Pan zresztą absolutnie nie zawinił i miejmy nadzieję, że Bóg zesła Lottie prawdziwe szczęście w małżeństwie.

— Więc pani tak przypuszcza? — zdziwił się Bill. Skinęła głową potakująco.

— Nie miałem pojęcia o tym — rzekł po chwili. — Nie pojmuję tego nawet teraz. Znam Mortonów od dawna. Nigdy Lottie nie traktowałem inaczej od reszty jej siostr.

— To nie była pańska wina — rzekła Ellen Barnet. — Takie rzeczy przychodzą same i nikogo nie należy za nie winić. Przypuszczam, że Pan Bóg własnymi rękami kształtuje nasze dusze, jeżeli mi wolno tak się wyrazić.

— Ale skąd pani to przyszło na myśl? — zapytał Bill.

— Pan zna się na tych sprawach lepiej ode mnie — odparła szeptem. — Dziwię się nawet, że odważyłam się mówić o tym z panem.

— Na miłość boską! — zaśmiał się głośno. — Tego się pani nie powinna nigdy lękać, miss Barnet. Ma pani większe prawo do wypowiedzania swoich myśli niż ktokolwiek inny spośród moich znajomych.

— Ja? — panna Barnet przeraziła się. — Nie pojmuję, dlaczego pan tak myśli. Jestem przecież w gruncie rzeczy taką ignorantką i tak nic nie znaczę...

— Jest pani najmilszą niewiastą z tych wszystkich, które w życiu spotkałem — odparł Bill ż prostotą. — Nie, niech się pani nie obraża. To jest najzupełniejsza prawda. Powiem pani jeszcze jedno, że czyni pani na świecie więcej dobrego, niż pani przypuszcza.

— Ach, Mr Quentin, niech pan przestanie! — mówiła z zapartym

oddechem. — Pan mnie nie zna. Zapewniam pana... zapewniam, że wcale taka nie jestem. To tylko pańska dobroć...

— Co takiego? — zapytał Bill Quentin prawie niegrzecznie. Spojrzała nań przerażona swoją wypowiedzią.

— Może zmienimy temat? — zaproponowała z niepokojem. — Pod tym względem z pewnością nigdy się nie zgodzimy.

— Ja też mam takie wrażenie — przyznał Bill z uśmiechem.

— Jestem dzisiaj w marnym humorze. Uśmiechnęła się blado.

— Czy nie lepiej byłoby, gdyby pan pojechał do domu?

— Chyba, że pani nie życzy sobie mego towarzystwa — zaśmiał się wesoło.

— Skąd takie podejrzenia? — wyszeptała błagalnie panna Barnet.

— Myślałam tylko, że nie sprawia panu zbyt przyjemności brodzenie w błocie i dźwiganie koszyka. Stanowczo nie dla pana to zajęcie.

— Nawet wówczas, gdy mi to sprawia przyjemność? — zapytał.

— Ależ to jest niemożliwe — zawołała panna Barnet z zupełnym przeświadczeniem.

— To pani jest w błędzie — oświadczył Bill. — Właśnie, że mi to sprawia ogromną przyjemność. Lubię rozmawiać z panią i dzielić się wrażeniami. Jest pani inna niż wszyscy ludzie i zawsze lepsza.

— Ależ to łatwo takiemu głupiemu stworzeniu jak ja być dobrą

— rzekła.

— Nie zgadzam się. Nie zawsze łatwo okazać dobroć. Niech mi pani powie, co pani myśli o mieszkańcach Beech Mount! Widziała ich już pani?

— Panią Rivers i jej syna? Ach, tak, widziałam ich, lecz nie mówiłam z nimi. Pani Rivers wywarła na mnie duże wrażenie. Ma taki cudowny uśmiech.

— O! — zawołał Bill Quentin. — Więc pani też to zauważyła? Naturalnie — odparła panna Barnet z zapalem. — Spotkałam ją

na poczcie. Pani Brook wydała jej źle resztę, a ona wcale się tym nie zdenerwowała.

— Ja mówiłem z nią dzisiaj po raz pierwszy — rzekł Bill. — Szła do wsi i zaczęłam ją. Czułem, że muszę z nią pomówić.

— Ależ oczywiście! — ucieszyła się panna Barnet. — Musiała być z tego ogromnie zadowolona.

— Zaprosiłem ją do mego ogrodu, aby zobaczyła aloes, który zakwita w tym roku. Ogromnie się nim zaciekawiała i orzekła, że kwiat aloesu oznacza szczęście.

— Ja także w to wierzę — rzekła panna Barnet. Zaśmiał się nieszczerze.

— A potem pani Winch nam przeszkodziła. I to było wszystko.

— Pani Winch zamierza odwiedzić panią Rivers, o ile mi wiadomo — rzekła panna Barnet. — Dopiero dzisiaj mi o tym mówiła, przypuszczam, że i pan zechce złożyć wizytę.

— Bardzo miło ze strony pani Winch — zauważył Bill sucho. — Ja także się tam wybieram. Dziś po południu spotkałem jej syna. Rozmawiałem z nim dość długo i dał mi do zrozumienia, że chętnie powitają mnie u siebie.

— Przypuszczam, że będą ogromnie radzi — wtrąciła panna Barnet. — Słyszałam, że chłopak ciągle choruje. Prawdopodobnie ze względu na jego zdrowie zamieszkali tutaj.

— To muszą być nerwy — odparł Bill. — Sprawia wrażenie bardzo zdenerwowanego. Może tutejszy klimat dobrze mu zrobi, a spokój też leczy niektóre choroby.

— Miejmy nadzieję. Chyba zostaną tu dłużej — zaciekawiała się panna Barnet.

Bill Quentin przesłał jej figlarne spojrzenie.

— Wyratują nas z codziennej nudy, nieprawdaż?

— O, ja się nigdy nie nudzę — odrzekła z powagą. — Trudno się nudzić mieszkając w tak pięknej okolicy!

— A ja jestem pewien, że wiele ludzi umiera tu z nudów — zaśmiał się proboszcz.

Zwróciła się doń prawie z wyrzutem:

— Mr Quentin, chyba pan tego nie mówi poważnie? Uśmiechnął się do niej.

— I ja się zaczynam nudzić, zapewniam panią. Ale od czasu do czasu lubię żartować. Następnym razem powiem pani, w którym miejscu śmiać się należy.

Po raz trzeci spłonęła rumieńcem.

— Wiem, że jestem bardzo głupia — szepnęła, jakby pragnęła się usprawiedliwić.

— Ma pani słuszość — przyznał wesoło. — Ale niech pani nigdy nie będzie inna, bo nie rapgłbym zwierzać się pani ze swych zmartwień.

Dotarli do miejsca, gdzie ścieżka skręcała, biegnąc przez pole. Wyciągnęła rękę po koszyk.

— Dziękuję panu serdecznie, Mr Quentin. Muszę pana teraz pożegnać. Późno się robi, więc muszę wracać do wsi, bo pani Winch będzie niezadowolona.

Mówiła to z powagą, która nie mogła ulegać żadnej wątpliwości, zresztą panna Barnet zawsze była poważna. Oddał jej koszyk bez protestu.

— Ogromnie się cieszę, że panią widziałem — rzekł wsiadając na konia. — Do widzenia! Jeszcze raz serdeczne dzięki za pierwiosnki!

Uśmiechnęła się i odeszła.

\* \*

Obiad w Hatchstead Place, nawet wówczas, gdy był tylko jeden gość, podawano z ceremonią i odbywał się w asyście lokaja ze wspaniałością godną tradycji szlacheckiego domu. Generał Farjeon siedział na głównym miejscu, na którym zasiadali jego przodkowie przed wiekami i pił wino nalewane z bezcennych staroświeckich dzbanów, które należały do zabytków rodzinnych.

Sam generał był już bardzo stary, lecz w głębi duszy posiadał dużo zapału, który kontrastował z jego podeszłym wiekiem. Jeszcze teraz wybierał się na codzienne ranne przejażdżki konno, gdy pozwalał mu na to jego reumatyzm, a podczas zimy polował z psami. Generał Farjeon nie ożenił się i cynicznie wyrażał się o kobietach, co najbardziej bawiło i radowało Molly Morton. Kiedyś generał powiedział jej, że dopóki jest dzieckiem, jego dom jest dla niej otwarty, lecz z chwilą, gdy stanie się dojrzałą kobietą, wolałby, aby go nie odwiedzała. Siostrzeniec jego, Stafford Kenyon, był jego spadkobiercą i jedynym krewnym, synem siostry, która dawno umarła i z którą niemal przez całe życie generał był poróżniony. Stafforda też nie darzył specjalnym sentymentem. Stafford

był majorem Gwardii, a wuj tolerował go tylko ze względu na rodzinny obowiązek i starał się widywać go jak najrzadziej.

Generał Farjeon nigdy dla nikogo nie był specjalnie uprzejmy, a jedyny wyjątek pod tym względem stanowił Bill Quentin, gdy ten został proboszczem parafii Rickaby. Poglądy generała na temat kościoła były dość sceptyczne, mimo to, co niedzielę przyjeżdżał na mszę i zasiadał w swej rodowej ławce ku wielkiemu zażenowaniu mr Mortona, który podczas kazania mieszał się dziwnie pod wpływem badawczego Wzroku generała.

Tylko do Billa stosunek generała był całkiem inny. Bill był człowiekiem godnym zaufania. Nie mówił wciąż o religii, nie wyglądał też religijnie, tylko spełniał swe obowiązki, a poza tym był nieocenionym towarzyszem. Po prostu, gdy się patrzyło nań, trudno było uwierzyć, że Bill Quentin należy do grona sług bożych. W gruncie rzeczy jednak generał Farjeon nie znał dokładnie Billa, choć niejednokrotnie zastanawiał się nad jego duchowymi zaletami i wadami, pragnąc go przejrzeć na wylot.

Na ten właśnie temat indagował Billa prawie przy każdym spot' kaniu, lecz bez specjalnych rezultatów. Bill nigdy nie służył w wojsku, bp się do tego absolutnie nie nadawał. A szkoda! Szkoda z wielu powodów, chociaż sam Bill nigdy tego specjalnie nie żałował. Powołaniem jego był spokojny żywot i praca. W tym ostatnim punkcie generał zawsze wybuchał. Praca? Co Bill wiedział o pracy? Czy był kiedyś oficerem, czy znajdował się kiedyś na polu ćwiczeń? Czy kiedykolwiek budził go alarm nocny, czy maszerował kilka mil podczas upału? Nie, Bill niczego takiego nie doświadczył. Dlatego też nie pojmował znaczenia wyrazu „praca” i nie powinien był dyskutować na ten temat. Bill zresztą nie dyskutował tylko uśmiechał się. Wszelka dyskusja przecież na nic by się nie zdała, bo ich poglądy pod tym względem absolutnie się zgodzić ze sobą nie mogły i to wszystko.

Bill uważał generała Farjeona za człowieka, który posiadał umiejętność współżycia z ludźmi. Bolesną nieraz krytyką starca Bill wcale się nie przejmował. Byli przyjaciółmi. Siedzą teraz w obszernej jadalni w Hatchstead Place, oświetlonej ostatnimi promieniami słońca, wnikającymi przez wysokie okna od strony zachodu, Bill Quentin czuł się doskonale. Ta staroświecka jadalnia tchnęła atmosferą wypoczynku,

aczkolwiek gospodarz był człowiekiem nerwowym i nie wiadomo kiedy mógł wybuchnąć.

— Dałbym dużo, żebym wiedział o czym pan teraz myśli! — oznajmił ostro generał.

Bill spojrział poprzez ocienione świeczniki z uśmiechem.

— Bardzo mi przykro, sir! Lękam się jednak, że o niczym w tej chwili nie myślałem.

— To myśl pan! — rozkazał gospodarz. — Kim jest ta kobieta, o której wspominała dziś po południu Molly? Zna ją pan? Podoba się panu?

— Owszem, poznałem ją. — Bill wypowiedział te słowa całkiem obojętnym tonem. — Ale dokładnie jej jeszcze nie znam.

— Dajmy na to! Dajmy na to! — zawołał generał niecierpliwie. — Jakie wywarła na panu wrażenie? Stateczna?

— O, najzupełniej — odparł Bill.

— Taka sobie przeciętna osóbką? — indagował generał tonem prawie rozkazującym.

— Nieodpowiednia do Rickaby — zauważył Bill.

— Nieodpowiednia do Rickaby! Mów pan dalej! Mów pan! Co pan ma na myśli?

Bill uśmiechnął się.

— Pan przecież dobrze zna Rickaby — rzekł.

— O tak, znam dobrze. Mieszkańcy są bezdennie głupi. A ona, ta nowa postać, jest inna? Trochę Francuzka, więc bardzo interesująca!

— Mówiłem z nią tylko raz jeden.

— Ale zamierza pan mówić z nią jeszcze przy pierwszej okazji! Znam pana, spryciarzu! Nie mów pan lepiej! —

Generał Farjeon zaśmiał się głośno. — Bądź pan ostrożny! Czasami można poparzyć sobie palce! Ta kobieta właśnie może być drugą panią Verlines.

— Nie wyobrażam sobie tego, sir. — Ton Billa był jeszcze ciągle obojętny, a nawet odrobinę znudzony. Sięgnął po orzech i obierał go z uwagą. — Wątpię, czy tego rodzaju niewiasta przyjechałaby do takiego zaścianka jak Rickaby. Generał mruknął z niezadowoleniem.

— Właśnie mogła specjalnie takie miejsce wybrać, głuptasie. Wszys-

tkie mężobójczynie łakną potem odpoczynku. Mam dużo zaufania do sądu Molly, a ta kobieta wydaje mi się poszukiwaczką przygód.

— Molly! — dziwna niechęć zabrzmiała w głosie Billa. — Molly dziś po południu była usposobiona bardzo krwiożerczo. Dzisiejszych jej słów nie można brać na serio.

— Do diabła! Czemu nie! Ta mała jest dość sprytna. Docięła panu, prawda? — Generał zarechotał. — Cenię ogromnie Molly za jej umysł. Za ostry języczek także! Boże, gdybym ją spotkał na swej drodze przed pięćdziesięciu laty, życie moje ułożyłoby się całkiem inaczej.

Bill zajął orzechy w skupieniu. Nie podnosząc nawet głowy sponad stołu.

— Jeszcze teraz gotowa pana usidlić, sir, jeśli pan nie będzie ostrożny — zauważył.

Generał Farjeon wybuchnął głośnym śmiechem.

— Czarownica! Zaledwie przed kilku laty, gdy mnie odwiedziła, ulokowała się na kolanach, wyjęła mi zegarek z kieszeni, twierdząc, że chce zobaczyć, która godzina, a w pewnej chwili uderzyła nim o poręcz krzesła, rozbijając szkiełko na drobny mak. Miała wówczas sześć lat. Fanny chciała jej sprawić porządne lanie, ale nie pozwoliłem na *to*. Uczyniła to z takim sprytem i wyglądała tak uroczo...

— Niesforne stworzenie! — wtrącił Bill.

— Lubię okrutne dzieci — oznajmił generał. — Jest chociaż co obserwować. Nie lubię mazgajów. Gdyby pan ożenił się z Molly, zostałby pan za pięć lat biskupem.

— Gdybym ożenił się z Molly — rzekł Bill z dziwnym błyskiem w oczach — musiałbym ją ciągle karać, jak na to zasługuje.

Generał zaśmiał się znowu.

— Z nią by się panu nie udało! To diablątko jest za zwinne dla pana, Bill. Nikt jeszcze nie zdołał jej pokonać i mam nadzieję, że nikt nie pokona.

Bill nic nie odrzekł. Nie pochwalał zachowania Molly i nie pochwalał jej wystąpienia podczas dzisiejszego popołudnia. Był raczej zmęczony tą niedawną wizytą u Mortonów.

Generał miał na ten temat inne zdanie. Jakby złośliwie nie zmieniał tematu, który najwidoczniej jego gościa denerwował.

— Czym to ona panu tak dopiekła, Bill? Pamięta pan?

— Nie mam pojęcia — odparł pastor.

— Owszem, pamięta pan dobrze, łajdaku! Niech mi pan nie mówi! Spryciarz z pana i to najgorsze. Trudno, żeby młode kobiety znały pana i nie zakochały się w panu od pierwszego wejrzenia. Powinien się pan ożenić, mój chłopcze. Jest to jedyna rada dla człowieka na pańskim stanowisku, Lottie obrzydło już to czekanie? ale pozostała jeszcze urocza Fanny, która cierpliwie czeka.

Bill uporał się już ze swym orzechem i podniósł głowę. Na jego twarzy błądził posepny uśmiech.

— Gdy Fanny się zdecyduje — rzekł po namyśle — to mnie już tu nie będzie.

— Całe szczęście! — zaśmiał się generał. — Radzę jednak być ostrożnym. Fanny to bardzo przedsiębiorcza dziewczyna, a dzisiaj po prostu wpadła w rozpacz.

W tej chwili Bill stracił zupełnie cierpliwość.

— O, mam już tego wszystkiego dosyć! — oświadczył. — Dlaczego, na litość boską, ludzie nie mogą pozostawić nikogo w spokoju, nie mogą ścierpieć, gdy ktoś idzie własną drogą? Dlaczego wszystkie stare panny mają mnie napastować i nudzić? Nie znoszę ich wszystkich z wyjątkiem jednej. Co te baby ode mnie chcą? Przecież niczego nie mogą się po mnie spodziewać. Takie życie jest po prostu wegetacją. Nie zdobyłbym się na to, aby zaproponować jakiejś kobiecie małżeństwo. Powiadam panu, sir, że mam już tego wszystkiego dosyć. Prawdopodobnie jest w tym dużo mojej winy, ale nie mam na to rady! Pan oczywiście tego nie, zrozumie, jednak...

— Dlaczego miałbym nie rozumieć? — przerwał mu generał. — Myśli pan, że jestem za mało inteligentny, co? Doskonale rozumiem i widzę, że w tym jest dużo pańskiej winy. Nie potrafi się pan z tego otrząsnąć i był pan głupcem, sądząc, że nie ma pan nic z tym wspólnego.

— Z czego otrząsnąć? — zawołał nagle Bill, spoglądając na generała. — O czym pan mówi, sir? Czy chodzi panu o mój zawód?

— O pański zawód, naturalnie! — odparł generał. — Jest pan stworzony do całkiem czegoś innego, a nie do modlitwy i wygłaszania kazań. Robi pan z siebie osła. Teraz to wszystko zaczyna się mścić na panu, Bill i wcale się temu nie dziwię. Zupełnie słuszne, że ma pan tego



dosyć. Jest pan stworzony do czegoś lepszego. Skąd panu przyszło na myśli zostać pastorem! Po prostu nie mieści się to w głowie. Ale teraz jeszcze nie jest za późno i można się wziąć do uczciwej pracy! Niech pan coś postanowi! Niech pan bodaj wstąpi do Parlamentu! Wszystko będzie lepsze od tego pańskiego dotychczasowego zawodu. Przecież pan zupełnie zatracił swą męskość. Otrząśnij się pan i weź się do czegoś, póki jeszcze nie jest za późno! Umilkł, aby napić się wina. Bill siedział w zupełnym milczeniu, przyglądając mu się coraz bardziej uważnie. Dotychczasowy błysk przygasł w jego oczach. Te oczy, błękitne i dobrotliwe miały jakiś nieokreślony wyraz. Sprawiały wrażenie oczu myśliwego, któremu nagle zwierzyna wymknęła się z ręki. Stary generał odstawił szklanę i odchrząknął, jakby się przygotowywał do dalszej tyrady. Lecz nagle, nim jeszcze zdążył coś powiedzieć Bill odsunął krzesło i wstał.

— Wiedziałem, że pan będzie się w ten sposób na to zapatrywał — rzekł. — Tak, sir, jest to moja wina, jak pan słusznie zauważył, ale nie jest to wina mej pracy.

Przeszedł przez pokój w stronę okna i stanął zwrócony plecami do generała. W zachowaniu jego było coś tak niezwykłego, co wytrąciło na chwilę generała Farjeona z równowagi i przygasiło jego wrodzoną ciekawość. Przez kilka minut Bill nic nie mówił, stojąc przy oknie i obserwując z uwagą zachód słońca. Wreszcie odwrócił się i podszedł do stołu.

— Jestem wstrętnym brutalem — rzekł. — Proszę mi wybaczyć. Generał spoglądał nań z bladym uśmiechem.

— Istnieje tylko jedna rzecz, której bym nigdy panu nie wybaczył, Bill — rzekł — a mianowicie tego, gdyby pan czynił sobie ze mną jakieś ceremonie. Co się panu dzisiaj stało? Tchórzy pan?

— Nie, sir — Bill potrząsnął głową. — Mam tylko wszystkiego dosyć. Owładnęło mną jakieś dziwne zniechęcenie. Wstydę się ogromnie się Wstydę. Gdy ktoś, taki, jak pan, twierdzi, że moja praca nie jest pracą odpowiednią dla mężczyzny, to czuję się, jak człowiek, który nie ma nic do pokazania swemu zwierzchnikowi, gdy ten zjawia się na inspekcję.

— Boże święty! — zawołał generał, wpatrując się w twarz Billa

przenikliwym wzrokiem. — Więc tak się sprawa przedstawia? Pan istotnie ma wrażenie, że pan coś robi?

— Przynajmniej staram się — odparł Bill.

— Biedaczysko! - westchnął generał, a potem dodał uspokajająco. — Mniejsza o to, jaki jest mój sąd na ten temat, ale powiem panu całkiem szczerze, że jeżeli nie ma pan nic do zademonstrowania, to nie powinien pan odczuwać wstydu. Chociaż jest pan pastorem, to uważam pana za najbardziej przyzwoitego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Tylko proszę tego wszystkiego nie brać zbyt poważnie! Niech licho wszystko porwie!

Przy tych słowach wstał i poklepał Billa po ramieniu.

— Wyjdźmy trochę. Usiądźmy przed domem. Strasznie tutaj gorąco. Głowa do góry, mój chłopcze! Znam pańską chorobę, bo sam na nią kiedyś cierpiałem, nie mogąc znaleźć żadnego lekarstwa. — Urwał z przyciszonym chichotem. — Dziwne, że mówię o tym w moim wieku, ale człowiek na wszystko patrzy inaczej, gdy się starzeje. Ożeń się pan! Ożeń się pan i zapomnij o przykrościach. Może wówczas bogowie ześlą ci szczęście!

\* \*

Pastor właśnie tędy przeszedł — zauważył stary Sammy Cross ze swej ławki na ganku, gdzie siadywał zazwyczaj w słoneczne dni podczas, gdy córka jego, Bessie, sprzątała kuchnię.

Sammy był najstarszym mieszkańcem Rickaby i przejmowało go to wielką dumą. Mieszkał naprzeciw kościoła od lat najdawniejszych i chociaż był już w bardzo podeszłym wieku, uśmiechał się zawsze z triumfem, gdy któregoś z młodszych mieszkańców wsi przenoszono na wieczny spoczynek za bramy cmentarza, znajdującego się tuż przy kościele.

Sammy widział każdego, kto tędy przechodził i uważany był za człowieka wszechwiedzącego, jeżeli chodziło o zdarzenia miejscowe. Owego majowego dnia widok idącego ulicą proboszcza sprawił staremu specjalną przyjemność, pocieszał się bowiem nadzieją, że proboszcz wkrótce tą samą drogą będzie wracał i wówczas z pewnością chwilę

z nim porozmawia. Sammy lubił proboszcza na swój sposób, a rozmowy z pastorem były wielkimi wydarzeniami w jego monotonnym życiu szczególnie ostatnio, kiedy nie wychodził zupełnie z domu i trudniej znajdował towarzystwo ludzi. Bessie uważała, że samotność ojca wychodzi mu na dobre, lecz Bessie zawsze miała jakieś przywidzenia i często mówiła ludziom prawdę w oczy zbyt surowo. Uważała siebie za chodzący ideał, otoczony samymi głupcami.

Stary Cross był również ojcem męża siostrzenicy pani Henderson i w głębi duszy liczył na to, że właśnie dzisiaj po południu syn odwiedzi go i poczęstuje dobrym papierosem. Rzadko kiedy odwiedzał ktoś starego Crossa, nic więc dziwnego, że z pełnym rezygnacji spokojem, zazwyczaj trochę senny, oczekiwał nieprzewidzianych zdarzeń.

Dzień dzisiejszy był dość ciepły i stanowił pierwszy dzień prawdziwego lata. Wszystkie krzaki w ogródku i klomby kwitnących hiacyntów pokryte były brzęczącymi pszczołami. Szmery dochodzące z kuchni nie przerywały spokoju tej popołudniowej godziny i wyraźnie było słychać ćwierkające ptaszęta wśród gałęzi drzew na cmentarzu. Stary Sammy począł drzemać, wsparty na sękatym kiju. Głowa opadała mu coraz niżej i niżej, aż wreszcie spoczęła na skrzyżowanych rękach i Sammy zasnął.

W pół godziny potem maleńka furtka ogrodowa skrzypnęła w zawiasach i ktoś wszedł do wnętrza. Bluszcz oplatający ganek osłaniał zupełnie starca siedzącego na ławce, więc przybyszka nie zdawała sobie sprawy z jego obecności, spoglądając z zachwytem na kwitnące wokół rośliny. Szła wolnym krokiem przed siebie, upojona panującą dokoła ciszą. Jej blada twarz, w obramowaniu szerokiego ronda czarnego kapelusza, miała wyraz uduchowiony.

Zbliżyła się do ganku i przeraziła widokiem starca. W tej samej chwili Sammy Cross chrapnął głośno i obudził się. Przeraził się również, upuszczając na ziemię swą sękatą laskę.

— Diabli by nadali! — mruknął, pochylając się na próżno, aby podnieść laskę.

— O, niech pan pozwoli! — rzekła dama tak melodyjnym głosem, że Sammy mimo woli podniósł ze zdziwieniem głowę i przyjrzał się gościowi uważnie.

Dama podała mu laskę.

— Proszę bardzo! — rzekła, wciskając mu ją w zeszywniałą dłoń.

— Bardzo mi przykro, że przeraziłam pana. Byłam tak zajęta podziwianiem pańskich kwiatów, że nie przyszło mi na myśl, iż tutaj ktoś się znajduje.

— Dziękuję — zawołał stary Cross — dziękuję serdecznie, panienko. Proszę, niech pani siada. Bardzo proszę!

Usiadła na wąskiej ławeczce, spoglądając na starca z zaciekawieniem. Był uradowany niespodziewaną wizytą, bo tak rzadko miał możliwość pogawędzenia z kimś obcym.

— Co za piękna pogoda! — rzekła dama. — I jaki tu nadzwyczajny panuje spokój.

— Tak, panienko, spokojnie jest tutaj —' rzekł Sammy. Spoglądał wciąż na nią, zastanawiając się nad tym, czy to jej głos stwarzał taki blask wokoło, czy też blask ten pochodził od jakiejś czarodziejskiej siły.

— Nigdy dotychczas nie znałam takiej ciszy — rzekła. — Wydaje mi się to raczej snem. Czy pan zawsze mieszkał w Rickaby? Co tutejsi ludzie robią?

— Co robią! — stary Sammy zaśmiał się z zadowoleniem. — Przeważnie nic nie robią.

— A z czego żyją? — zapytała dama.

— Z czego żyją? Żyją jeden z drugiego. Przeważnie są pasożytami.

— Starzec sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął staroświecką fajkę.

— Nie będzie to przeszkadzało panience, jak zapalę? — zapytał z niezwykłą rycerskością.

— O nie, absolutnie. Bardzo proszę — odparła z wyniosłą łaskawością. — Więc pan zawsze tutaj mieszkał? I nic pan nie robił?

—/Naturalnie, że robiłem! — mruknął Sammy, a potem dodał śpiesznie, jakby się lękał, że milczenie jego może ją nagle spłoszyć:

— tak, panienko, robiłem. Byłem majstrem od słomianych dachów. Teraz nikt już słomą domu nie kryje. Moje rzemiosło nikomu się na nic nie przyda. Ale nic tak jak słoma nie chroni w lecie od upału, a w zimie od mrozu. Pamiętam dawne czasy. Jestem najstarszym z mieszkańców Rickaby.

— Istotnie? — w głosie jej zabrzmiała gorąca sympatia. — Ciekawa jestem, ile pan lat sobie liczy?

Stary Cross potrząsnął głową, jakby pytała go o rzecz wymagającą wyższej inteligencji.

- Tego nie mogę panience powiedzieć. Musiałaby panienka zapytać naszego pastora. On wie. Mógłby panience dużo o mnie opowiedzieć. Wie o wszystkim, co się w jego parafii dzieje. — Począł się śmiać nagle. — Nie każdy pastor tak się swoimi parafianami zajmuje. Ja także wiem o nim wiele, bo moja synowa jest siostrzenicą jego gospodyni.

— Rozumiem — uśmiechnęła się dama. — Słowem, wiecie państwo wzajemnie o sobie.

— W ogóle w naszej wsi nic prawie się nie dzieje, żebym o tym nie wiedział. — rzekł Sammy. — Powiadają, że widz potrafi zaobserwować więcej od samych uczestników, a ja właśnie jestem takim widzem. Czy zna pani tego zatraconego chłopaka z Beech Mount, który jeździ swym autem po okolicy, jakby go diabeł opętał?

— Ma pan na myśli młodego Riversa? — zapytała z bladym uśmiechem.

— Właśnie, właśnie — zawołał Sammy Cross. — Mam ja na niego oko, niech się tylko ośmieli wejść mi w drogę, to popamięta!

— Ach, jak mi przykro — szepnęła. Spojrzał na nią znowu badawczo.

— Dlaczego pani ma być przykro? — zdziwił się. Wyjaśniła z łagodnym uśmiechem:

— Bo ja jestem Riversowa, jego matka.

— Co takiego? — zawołał Sammy z lękiem w oczach. — Pani! Pani! — zdziwienie jego było tak wielkie, że wyjął fajkę z ust. — Nigdy bym w to nie, uwierzył.

Zaśmiała się.

— A jednak to jest prawda. To mój syn. Bardzo mi przykro, że jeździ tak nieuważnie. Po prostu jest bardzo roztrzepany.

— Roztrzepany! — mruknął Sammy. — W końcu sam na siebie sprowadzi jakieś nieszczęście. Ale jakim cudem może pani mieć syna w tym wieku? Przecież on nie jest o wiele młodszy od pani?

— Jednak jestem jego matką — nuta czułości zabrzmiała w jej głosie. — Jest moim jedynym synem i wszystkim, co na świecie posiadam.

Sammy wydał jakiś pomruk, który miał oznaczać jego najwyższy podziw i natychmiast zmienił temat rozmowy.  
— Więc pani jest ową mieszkanką Beech Mount! Znam dobrze to miejsce. Pokrywałem słomą dachy jeszcze za czasów admirała Thesigera, musiało to być czterdzieści lat temu. Ładnie tam, ale dziwnie obco. To admirał urządził ten włoski ogród na brzegu skały.

— Ach, i tę grootę z fontanną, którą tak bardzo lubię? — ucieszyła się pani Rivers.

Stary Sammy mruknął coś znowu.

— Tak, przyznam, że dobre to dla obcych, aleja tam takich cudów nie lubię. Wolę rzeczy proste i zwyczajne.

— Nie jestem obca — usprawiedliwiła się pani Rivers. — Ale lubię rzeczy piękne, choćby nie były one nawet w stylu angielskim. Według mnie Beech jest czarującym zakątkiem. Musi pan kiedyś przyjść do nas i obejrzeć tę posiadłość raz jeszcze.

- Ja? - zdziwił się Sammy. — Przecież nigdy bym tam nie doszedł. Jestem już za stary.

— Powiem memu synowi Gaspardowi, żeby przyjechał po pana autem — odparła. — Przyda się panu taka przejażdżka, jeżeli Gaspard będzie jechał wolno.

Zamglone oczy starego Sammy rozblęły.

— Bardzo chętnie do pani przyjadę — oznajmił. — Ale niech mu pani nie każe zbyt wolno jechać. Niech i ja raz w życiu przejadę się po kawalersku.

Wybuchnął chrapliwym chichotem, a w tej samej chwili jego córka, Bessie ukazała się na progu, aby się przekonać, z kim ojciec tak wesoło gawędzi.

— Wracaj do roboty! — rzekł starzec niechętnie. — Niepotrzebna nam tu jesteś.

Pani Rivers jednak wstała z uśmiechem.

— Właściwie — oznajmiła — mam interes do pańskiej córki. Dzień dobry, panno Cross! Jestem Riversowa z Beech Mount. Słyszałam, że pani ma jajka na sprzedaż i chciałam zapytać, czy mogłabym je u pani nabyć.

Bessie Cross spoglądała przez chwilę z niepewnością, jakby zastanawiając się nad tym, jaką ma dać nieznajomej odpowiedź. Wreszcie uśmiechnęła się.

— Zależy, ile pani potrzeba — rzekła. — Mam niewiele jajek, najwyżej dwanaście.  
— Idź i przynieś je zaraz, tylko prędko! — zawołał Sammy.  
— Przecież jajka są pani potrzebne, a nie twoje towarzystwo. Idź i przynieś, a wybierz największe, słyszysz?  
Bessie obdarzyła niechętnym spojrzeniem ojca, które on raczej odczuł niż dostrzegł.  
— Może pani wejdzie do izby, a ja zobaczę, ile tych jajek będzie  
— zaproponowała.  
— Bardzo pani dziękuję — rzekła pani Rivers. — Nie chciałabym przeszkadzać pani w robocie.  
— Nie jestem aż tak zajęta, żeby nie móc załatwić interesu  
— mruknęła Bessie wprowadzając panią Rivers do wnętrza domu. — Są takie kobiety, które cały dzień potrafią przemarnować, ja do nich jednak nie należę. Pójdę zaraz po jajka. Posiedzi pani tutaj, czy pójdzie ze mną?  
— Chętnie pójdę, jeżeli pani pozwoli — odparła pani Rivers, nie orientując się, że tą swoją decyzją zdobyła od razu zimne na ogół serce Bessie.

Wyszły do dobrze utrzymanego ogródka, znajdującego się od strony podwórza i skierowały do kurnika. Gdy po kilku minutach wróciły, były już na stopie prawie przyjacielskiej. Na zawarcie przyjaźni nie straciły dużo czasu. W każdym razie zapanowało między tymi dwiema kobietami zupełne zrozumienie. Pani Rivers oddaliła się wkrótce, nie śpiesząc się zbytnio i nie przystając po drodze.

Nawet stary Sammy był przez chwilę rozradowany, gdyż pani Rivers przyrzekła, że odwiedzi go znowu.

\*

\* \*

Pewnego popołudnia Bill Quentin wybrał się w odwiedzinę do swych nowych parafian, mieszkających w Beech Mount, lecz po drodze zatrzymała go pani Winch przed bramą swego ogrodu, gdzie musiał wysłuchać spokojnie „jak ten okropny Jim Ward upił się znowu, jak podbił oko swej biednej żonie, chociaż ona sama do tego się nie

przyznaje i czy pastor nie uważa, że należałoby jakoś temu wszystkiemu zapobiec?

Bill wysłuchał cierpliwie, przyznał, że należało coś przedsięwziąć, lecz się nie przejął zbyt tym wszystkim.

Po pożegnaniu z panią Winch, szybszym krokiem począł się wspinać pod górę. Wreszcie dotarł do Beech Mount i wysadzaną lipami alejką skierował się do domu mieszkalnego. Słusznie zaznaczył stary Sammy Cross, że posiadłość ta dziwnie wyglądała od chwili, gdy ją opuścił ostatni właściciel. Dom mieszkalny był niskim podłużnym budynkiem, otynkowanym na biało, pokrytym dachówką, nie słomą, z białymi okiennicami przy każdym oknie. Okna wychodziły na zatokę Rickaby i na wysokie skały, u podnóża których szumiały fale morskie. Przy końcu alei wznosiły się dwie wysokie jodły, jakby stojące na straży przed domem, a od strony południa znajdował się tak zwany wiszący ogród. Ogród ten urządzony był na osłoniętym tarasie nad zatoką i otoczony wysoką ścianą, przy tym sprawiał wrażenie raczej zakątka w jakimś kraju południowym niż w Anglii. Ogród poprzecinany był mnóstwem ścieżek i wąskich stopni, otoczonych balustradami, a tu i tam znajdowały się cieniste ustronia, opadające wąskimi dróżkami ku wybrzeżu. Nad brzegiem wznosiła się szopa, w której przechowywano łodzie, poniżej jeszcze kabina kąpielowa, a za nią obszerny basen, otoczony z jednej strony skalistą ścianą.

Bill znał dokładnie to wszystko, bo niejednokrotnie kąpał się w tym basenie podczas ostatnich lat, gdy Beech Mount było niezamieszkane. Przez cały czas jego pobytu w Rickaby, w Beech Mount nie było żywej duszy. Po śmierci admirała Thesigera posiadłość tę odziedziczyli dalecy jego krewni, którzy natychmiast wystawili ją na sprzedaż, toteż nowi mieszkańcy tego zakątka byli dla całej wsi prawdziwą sensacją.

Ludzie nie śpieszyli się, aby odwiedzić nowych sąsiadów, bo jak twierdziła pani Winch, właściwie nikt nic nie wiedział o przybyszach. Panowała więc tutaj atmosfera jakiejś obcości, której na ogół stali mieszkańcy wsi nie lubili. Ponieważ pani Winch uważana była za wyrocznię całego Rickaby, większość tutejszych obywateli liczyła się z jej zdaniem.

Idąc teraz w stronę mieszkalnego domu, proboszcz zapytywał samego siebie, czemu to dla niego pani Winch nie była wyrocznią?



Wprawdzie pani Rivers podczas ostatnich tygodni swego pobytu w Beech Mount ani razu nie była na nabożeństwie w miejscowym kościele, jednak nie upoważniało to nikogo do powzięcia o niej złego zdania, a z tego, co sam proboszcz zdążył zauważyć podczas krótkiej z nią rozmowy w swoim ogrodzie przed trzema dniami, doszedł do wniosku, że należała ona do ludzi, którzy mało uwagi zwracają na wszelkie formy i ceremonie. Jego zdaniem była to kobieta nieprzeciętna. Stanowczo przerastała umysłem wszystkie stałe mieszkanki parafii Rickaby.

A jej syn? Chłopak ten znajdował się właśnie w fazie przejściowej i nie miał jeszcze ugruntowanych zasad. Matka przywiozła go tutaj ze względu na stan zdrowia i pragnęła dlań zarówno kuracji duchowej, jak i cielesnej. O tym właśnie myślał proboszcz, zbliżając się do białego domu, ozłoconego promieniami majowego słońca.

Wbrew zwyczajom, panującym w Rickaby, drzwi wejściowe były zamknięte i upłynęło kilka sekund, zanim dźwięk dzwonka wywołał jakąś reakcję. Proboszcz usłyszał wewnątrz kroki, drzwi się uchyliły i ogorzała twarz o przyszczyżonych wąsikach ukazała się w niewielkiej szparze.

Proboszczowi przyszło na myśl to, co Molly Morton opowiadała o służącym pani Rivers. Więc to był ów Benedykt. Proboszcz zapytał o panią domu, a odpowiedź wyczytał na twarzy służącego, nim ją jeszcze zdążył usłyszeć.

— Pani nie ma w domu — rzekł sługa, usiłując zamknąć drzwi przed intruzem.

Lecz Bill Quentin nie był człowiekiem nieśmiałym. Słyszając niechętne słowa służącego, wyciągnął rękę.

— Proszę zaczekać chwilę! — rzekł. — Nie tylko panią chciałem zobaczyć, ale i jej syna, który mnie sam tutaj zaprosił. Gdzie go mogę znaleźć? Może jest w ogrodzie?

Błysk niechęci zamigotał znowu w badawczych oczach służącego.

— Panicza również nie ma w domu — oświadczył stanowczo. Bill instynktownie wyczuł, że to wszystko było kłamstwem. Sięgnął ręką do kieszeni.

— Zostawię swoją wizytówkę — rzekł.

Lecz nim zdążył podać wizytówkę służącemu, drzwi się zatrzasnęły.

— Pani nie lubi wizyt — rzekł Benedykt.

Potem dobiegł jego uszu zgrzyt przekręcanego klucza i Bill rad nie rad zawrócił. Na cóż by się zdały dalsze dyskusje ze służącym, tym bardziej, że nie był on Anglikiem? Prawdopodobnie taki miał rozkaz i nic go nie zdoła przekonać. Może pani Rivers żałowała już dzisiaj swego zaproszenia, które wypowiedziała przed trzema dniami, a zaproszenia chłopaka nie można było przecież brać na serio.

Bill począł iść z powrotem lipową aleją; przystanąwszy na chwilę zapalił papierosa.

— Chyba lepiej będzie pójść i wygłosić perorę Jimowi Wardowi — wyszeptał z niechęcią. '

Szedł dalej wolno, lecz nagle w pewnej chwili przystanął. Dosłyszał jakieś wołanie. Stał bez ruchu, nasłuchując, niepewny skąd dochodziło wołanie. Usłyszał je jednak znowu; było rozpaczliwe, lecz jeszcze pełne nadziei. Bill, nie zastanawiając się długo, ruszył pędem przez wiszący ogród do wąskiej ścieżki, zbiegającej ku wybrzeżu.

Pędził jak wichra, bo coś w tym wołaniu ostrzegało go, że nie należało tracić ani chwili. Skakał po sześć stopni na raz, poślizgując się chwilami na gliniastej dróżce, która była dość stroma. Wreszcie znalazł się na cyplu skalnym, który zbiegał ku zatoce w kształcie białych wyrąbanych stopni. Od tego miejsca do basenu kąpielowego, dzieliła go odległość zaledwie kilku jardów; należało tylko przeskoczyć na inny występ skalny. Nadchodził przypyływ i basen musiał być w tej chwili wypełniony po brzegi wodą. Bill bez namysłu zdecydowanym ruchem skoczył i znalazł się na niskiej kamiennej powierzchni, okalającej basen.

Tutaj przystanął na krótką chwilę, aby pośpiesznie zerwać z siebie marynarkę, po czym z ramionami wzniesionymi w górę, wskoczył do głębokiej wody. W samym środku basenu ze wzburzonymi falami walczył ostatnim wysiłkiem młody Rivers.

Gdy Bill ujrzał go przez chwilę na powierzchni, począł głośno wołać, pragnąc przekrzyczeć zdradliwy szum przypyłwu:

— Odwagi! Trzymać się! Zaraz się zbliżę!

I nie zwlekając ani chwili, wyteżył wszystkie siły, płynąc z nadludzką szybkością. Wiedział, że chłopak niebawem ulegnie przemocy żywiołu. Fale płynęły przeciwko niemu, lecz Bill był doskonałym pływakiem

i utrzymywał się jakoś na powierzchni. Zdawał sobie sprawę, że w tej chwili każda sekunda jest droga. Dotarłszy do samego środka basenu, obejrzał się za siebie jakby pragnąc przekonać się, czy powrót będzie możliwy. I nagle dostrzegł, że Gaspard znikł mu z oczu. Dopiero po chwili ujrzał nad powierzchnią bladą jakby martwą twarz chłopca. Zaraz fale na nowo pochłonęły Gasparda, Bill jednak w ostatniej chwili chwycił go za ramiona. Przyszło mu na myśl, że chłopak ciężarem swego ciała pociągnie go na dno, więc wyteżył ostatek sił, aby oprzeć się falom. Uczuł ramię, chłopaka opasujące jego szyję i zdał sobie sprawę, że niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejsze.

— Gaspard! — zawołał. — Słuchaj mnie, chłopcze! Słyszysz? Wyratuję cię, ale nie trzymaj mnie tak mocno, bo mnie za sobą pociągniesz. Słyszysz, co mówię? Puść mnie! Puść!

Chwycił tonącego za rękę i przekonał się, że uścisk ramienia dokoła jego szyi słabnie. Gaspard wydał okrzyk rozpaczny. Bill objął go wpół.

— Spokojnie! Trzymaj ręce ku dołowi! Nie bój się. Nie dam ci utonąć. Odchyl głowę! O tak! Teraz ufaj mi! Widocznie odwaga Billa Quentina udzielała się w części Gaspar: dowi. Chłopak zdał się na łaskę i niełaskę pastora. I Bill wyratował go, wprawdzie z wielkim wysiłkiem, narażając własne życie. Gonił już resztkami sił, gdy dopłynął do skalistego wybrzeża, w czym dopomogły mu fale przyływu. Woda wzbierała coraz bardziej. Udało mu się jednak wyciągnąć Gasparda na brzeg, gdzie uwolnił się od ciężaru ciała tonącego i odetchnął z ulgą. Tutaj jednak sam padł na skalistą powierzchnię i przez chwilę leżał bez ruchu.

\*

\* \*

Jakaś tajemnicza siła zbudziła Billa z chwilowego omdlenia. Natychmiast pomyślał o Gaspardzie, lecz jednocześnie wyczuł czyjąś obecność w pobliżu. Uniósł się na łokciach, potem uklęknął i rozejrzał się dokoła.

Gaspard leżał tuż przy nim, drżąc na całym ciele. W czarnym kąpielowym trykocie chłopak sprawiał wrażenie szkieletu. Głowę miał opartą na ramieniu, a twarz bladą jak marmur. Gdyby nie to drżenie,

można byłoby pomyśleć, że nie żył. Bill zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i pochylił się nad Gaspardem.

— Zbudź się, chłopcze! Już wszystko w porządku — zawołał, lecz Gaspard nie odpowiadał.

Ujął go łagodnie za ramiona i unióś w górę. Głowa Gasparda opadła. Zęby szczękały, a każdy niemal mięsień dygotał. Oczy jego utkwione były w twarzy Billa z niemą prośbą, której nie potrafił wypowiedzieć słowami.

— W porządku! — rzekł Bill. — W porządku! Uspokój się! Wszystko będzie dobrze.

Podsunał ramię pod bezwładne ciało i unióś je w górę. Nie przyszło mu to łatwo sam bowiem był ogromnie wyczerpany, lecz zdobył się jeszcze na ten ostatni wysiłek. Dźwigając Gasparda, począł iść wolno skalistym wybrzeżem i nagle stanął twarzą w twarz z matką chłopca.

— Ach! — zawołała. — Ach! To pan!

Stała z szeroko rozwartymi oczami, z dłońmi przyciśniętymi do piersi, blada i drżąca. Bill zorientował się, że jest pewna, iż syn jej nie żyje.

— Zaraz mu będzie lepiej — pośpieszył z wyjaśnieniem, czując jej przenikliwe spojrzenie aż na dnie własnego serca.

— Niech mi pani wskaże najbliższą drogę na wybrzeże, wówczas doprowadzę go do przytomności.

— Ach! — wyszeptała, odetchnąwszy z ulgą: — Pan go wyratował! Potem odwróciła się i zaczęła iść skalistą dróżką, torując mu drogę.

Twarz jej była już zupełnie spokojna. Pomogła mu złożyć ciężar na kamiennej płaszczyźnie i uniosła na drżącym ramieniu głowę Gasparda, podczas gdy Bill klęczał, trąc zawzięcie bezwładne ręce i nogi chłopca.

— Musimy włożyć mu ubranie — rzekł w pewnej chwili. — Gdzież je mógł zostawić?

— Przypuszczam, że przyszedł tu tylko w trykocie. Niech pan tu zostanie chwilę, a ja pobiegnę po Benedykta — wyszeptała pani Rivers.

Zgodził się na tę propozycję.

— Ale proszę nie biec zbyt szybko! — ostrzegł. Uśmiechnęła się tylko i był pewny, że nie zastosuje się do jego prośby.

Gdy się oddaliła i gdy Bill zajął jej miejsce, Gaspard jęknął boleśnie.

— Pan jest naprawdę dobry — wyszeptał drżącymi, posiniałymi wargami.

— Nie ma o tym mowy! — zawołał Bill wesoło. — Chciałbym bardzo, abyś podniósł się przed powrotem matki. Spróbujemy?

Gaspard odpowiedział dygotaniem całego ciała. Lecz, gdy drzenie minęło, usiłował pokonać bezwład.

Przy pomocy Billa, chciał się podnieść, lecz był tak osłabiony, że Bill zaniechał dalszych prób.

— Nie wiem, dlaczego jestem taki słaby — wyszeptał. — Nigdy jeszcze tego nie miałem.

— Prawdopodobnie nigdy dotychczas nie byłeś tak lekkomyślny, aby w maju kapać się w zimnej wodzie — rzekł Bill. — Ja osobiście nigdy bym tego nie czynił, gdybym był na twoim miejscu, a przynajmniej do czasu, dopóki nie będziesz zupełnie zdrow i silny. ,

— Jestem silny — upierał się Gaspard. — Jestem zawsze silny. Dlaczego nie miałbym" się kapać, skoro to tak lubię?

— Z bardzo wielu powodów — odparł Bill. — Jak tam skurcz? Trochę lepiej? Potrzemy jeszcze trochę! To każdemu dobrze robi.

Znowu zabrał się energicznie do rozcierania ciała chłopaka, az wreszcie Gaspard wymownym spojrzeniem powstrzymał go od tego.

— Niech pan da spokój! Niech pan da spokój, powiadam! Czuję się o wiele lepiej. Chciałem panu coś powiedzieć.

— Jeszcze chwilę! — odparł Bill. — Tutaj gdzieś leży mój płaszcz. Okryję cię nim.

— Nie, chwileczkę! Chwileczkę! Muszę to powiedzieć! — domagał się Gaspard. — Niech pan słucha! Przecież pan mi życie uratował i omal sam nie utonął. Nie wiem, jak to mam powiedzieć. Ale, ale... — Coś go poczęło dławić w gardle, więc umilkł, wyciągając tylko rękę do Billa.

— Głupstwo, głupstwo! — odparł Bill dobrotliwie. — Uczyniłem tylko to, co było moim obowiązkiem. Każdy by tak uczynił. Niewiele zdziałałem sam, bo właściwie była to zasługa Boga. Uratowałby cię, gdyby mnie nawet tu nie było.

Wypowiedział te słowa z absolutną prostotą. Ręka Gasparda spoczywała drżąca w jego dłoni. Zdrętwiałe palce zaciskały się coraz mocniej, lecz głowa chłopaka opadała bezwładnie.

— Pan naprawdę w to wierzy? — zapytał z wysiłkiem.

— Wierzę święcie — odrzekł Bill.

Czekał przez chwilę, lecz Gaspard nie rzekł nic więcej. Potem począł drzeć znowu. Bill wstał^pokoјnie, udając się na poszukiwanie swego płaszcza. Po chwili wrócił, okrył płaszczem chłopaka i usiadł w milczeniu, czekając.

Wiedział, że nie będzie czekał długo, a jednak nasłuchiwał z niecierpliwością wszelkich szmerów z oddali, bo widok bladej twarzy Gasparda niepokoił go coraz bardziej.

Wreszcie usłyszał głosy na skalistej dróżyce, odetchnął z ulgą i wyszedł na spotkanie przybywających.

— Niech pan nie odchodzi! — szepnął Gaspard.

— Uspokój się, chłopcze. Idzie twoja matka! — odpowiedział. — Chcę jej tylko powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

Podszedł do niej, gdy wyszła na światło słoneczne. Benedykt kroczył tuż za nią, niosąc koce, z twarzą jak zwykle spokojną i nieprzyjemną.

Pani Rivers podbiegła do pastora.

— Lepiej się czuje?

— Zaraz będzie zupełnie dobrze — odparł Bill. — Czy to koniak? Doskonale! Lękałem się, że pani nie pomyśli o tym.

Wziął z jej rąk butelkę i pochylił się nad Gaspardem.

— Trzeba się tego napić, mój chłopcze! To cię wzmocni! Zaraz będziesz się czuł lepiej.

Ukląkł, unosząc głowę chłopaka, a pani Rivers uklękła po drugiej stronie, otaczając syna ramieniem i spoglądając w jego twarz z gorącą czułością. Patrząc na nią, Bill miał tak dziwne uczucie, że graniczyło ono prawie z grzechem.

Wydało mu się to uczucie czymś o wiele potężniejszym, niż upoważniała do tego krótką ich znajomość. Znowu uświadomił sobie bardzo silnie, że ta kobieta posiadała piękną duszę.

Gaspard przełknął trochę koniaku, a pani Rivers złożyła głowę syna na swych kolanach, nie mówiąc ani słowa. Bill skinął na Benedykta, aby przykrył chłopca kocem, po czym zapanowało milczenie, pełne niespokojnego oczekiwania.

Nad ich głowami rozdzwoniły się w zgodnym trelu ptaszęta, z wybrzeża poniżej dochodził cichy szum spokojnych fal. Lecz tutaj

na skalistej płaszczyźnie nikt nie mówił, nikt nie śmiał się nawet poruszyć. Zdawało się, że czar jakiś omotał tych czworo zebranych ludzi.

Upłynęło kilka minut. Pani Rivers ze spuszczonego wzrokiem trzymała wciąż jeszcze przyciśniętą do piersi głowę chłopca. Gaspard leżał spokojnie w jej ramionach, z oczami zamkniętymi jakby odpoczywał w słodkim śnie. Służący Francuz stał, niby posąg, z twarzą bez wyrazu, z czarnymi oczami utkwionymi w klęczącej matce. A Bill, czując się z każdą chwilą bardziej niepotrzebny, stał w pobliżu, zdając sobie dopiero teraz sprawę, że drży w swym mokrym ubraniu, lecz usiłował zachować spokój i być w pogotowiu w razie potrzeby.

I nagle zorientował się, że pani Rivers nań patrzy. Zatonął wzrokiem w jej oczach i przyznał w tej chwili słusność pani Winch, która przed kilku dniami orzekła, że w oczach tej dziwnej osóbkki czaiło się coś tajemniczego. Istotnie, oczy pani Rivers płonęły niesamowitym blaskiem. Pastor, jeszcze Teraz nie umiałby powiedzieć, jaką te oczy miały barwę. Tylko wyraz ich zaskoczył go, przywiódł na myśl najdawniejsze wspomnienia.

Nie wyrzekła ani słowa, uśmiechnęła się tylko, wskazując butelkę, którą trzymała jeszcze ciągle w ręku. Zorientował się, że pomyślała

o nim samym i nagle fala krwi napłynęła mu do twarzy, odpływając potem aż do serca. Jakaż ona była niezwykła!

W milczeniu, odpowiadając jej także tylko uśmiechem, usłuchał

i pociągnął kilka łyków z butelki. Później, gdy przyjemne ciepło rozpląnęło się po jego ciele, pochylił się i rzekł:

— Sądzę, że możemy go teraz stąd zabrać. Ja go zaniosę. Nie jest taki ciężki, a służący też mi pomoże.

— Sądzi pan, że pan podoła? — zapytała.

— Na pewno — odparł Bill.

— A może będzie mógł pójść o własnych siłach — szepnęła z powątpiewaniem.

— Lepiej nie próbujmy! — odparł pastor. Gaspard poruszył się i z wolna uniósł głowę.

— Nie chcę, żeby mnie ktoś dźwigał — rzekł. — Mogę swobodnie iść.

— O tym nie ma mowy — zakończył dyskusję Bill.

Oczy Gasparda zabłysły wewnętrznym buntem, lecz po chwili już uśmiechał się.

— Dobrze, ojcie! — wyszeptał. — Niech się tak stanie, jak sobie życzysz. Masz diabelską siłę woli!

— Gaspard! — zgromiła go matka. Zwrócił się do niej.

— Nie gniewaj się, kochanie. Przecież to nasz przyjaciel. Nie powiedziałbym tak nikomu, kogo bym nie lubił.

Zresztą on nie tylko jest pastorem, jest również człowiekiem.

— Dziękuję — uśmiechnął się Bill. — Uwagę tę zapamiętam. Cieszę się, żeś wreszcie doszedł do wniosku, iż będąc pastorem, można być jednocześnie człowiekiem.

— Pan jest jedynym wyjątkiem, jaki w życiu spotkałem — zauważył Gaspard.

— Niezbyt dawno żyjesz na świecie, prawda? — zaśmiał się Bill. Gaspard przesłał mu badawcze, pełne wyrazu spojrzenie.

— Dłużej, niż większość chłopców w moim wieku — zaznaczył.

— A w gruncie rzeczy bardzo krótko — odparł proboszcz.

— W gruncie rzeczy bardzo długo — sprostował Gaspard i skłonił znów głowę na kolana matki, wdychając głęboko.

\*

\* \*

Był już późny wieczór, gdy Bill wyszedł przez oszklone drzwi swego gabinetu do oświetlonego księżycem ogrodu, aby wypalić ostatniego papierosa. Był wprawdzie zmęczony, lecz nie odczuwał niezadowolenia po dzisiejszym uciążliwym dniu. Przypuszczał, że nawet srogi Benedykt nie zamknie mu już więcej przed nosem drzwi białego domu w Beech Mount.

Beech Mount opuścił po południu, gdy tylko Gaspard ulokowany został w swoim pokoju. Chłopak, aczkolwiek wyczerpany, przychodził powoli do siebie, przy czym pastor wiedział, że pani Rivers telefonowała po doktora. Ponieważ orientował się, że jego obecność nie jest konieczna, pożegnał się śpiesznie i wrócił do domu, aby się przebrać.



Po drodze spotkał pannę Barnet, która na widok przemoczonego ubrania pastora zasypała go mnóstwem zaniepokojonych pytań. Bill zastanawiał się tylko nad tym, czy panna Barnet okaże się do tego stopnia dyskretną, aby nie podzielić się swymi spostrzeżeniami z panią Winch, bo gdyby pani Winch dowiedziała się o wszystkim, musiałby natychmiast położyć się do łóżka i przeleżeć resztę dnia. Panna Barnet po dłuższym namyśle zdecydowała nikomu nic o tym nie wspominać, wzięła jednak od pastora obietnicę, że natychmiast po powrocie na plebanie, zdejmie z siebie mokre ubranie i weźmie gorącą kąpiel. Po złożeniu przyrzeczenia, Bill pożegnał pannę Barnet i szybko pobiegł do domu.

— Ciekawy jestem, jak Barnetówna tłumaczy sobie to wszystko — myślał, spacerując teraz po ogrodzie. — Mimo swej prostoty, nie jest głupia. Jakaż byłaby z niej nieoceniona opiekunka! Po prostu urodziła się na pielęgniarce! Myślał o niej jeszcze przez chwilę, po czym wrócił wspomnieniami do zdarzeń ostatnich godzin. Do tej pory nie mógł się nawet nad tym wszystkim zastanowić, cały bowiem wieczór miał zajęty, najprzód zebraniem opiekunów kościoła, potem piątkowym wieczornym nabożeństwem, które zawsze odprawiał dla komunikantów, wreszcie postanowił pójść do mieszkania Jima Warda, gdzie zresztą zastał drzwi zamknięte. Jakiś sąsiad poinformował go, że żona Jima poszła do swej matki mieszkającej w Hatchstead, zabrawszy dwoje dzieci. Jima oczywiście zastał pastor w gospodzie „Pod niebieskim niedźwiedziem” w stanie tak nieprzytomnym, że z trudnością zdołał odprowadzić go do domu.

Zorientowawszy się, że wszelkie perswazje nie zdadzą się na nic, pozostawił Warda, sam zaś wrócił na spóźnioną już kolację.

Teraz, kiedy uporał się już z całodzienną pracą/wyszedł do ogrodu i zatonał w rozmyślaniach. Gdy przypomniał sobie ową rozpaczliwą scenę w basenie, zadrżał na samą myśl, co by się stać mogło, gdyby nie zjawił się w porę.

Wyobrażał sobie wyraz twarzy pani Rivers, gdyby przekonała się, że jej syn nie żyje.

Powziął nagle dziwne przekonanie, że pani Rivers już nie po raz pierwszy zetknęła się z tragedią. Te jej dziwne oczy, na cóż przed tym patrzyły? W oczach tych nie tylko czaiła się mądrość życia, lecz jakaś

głębsza wiedza, głębsza znajomość cierpienia, wspomnienie dawnych przeżyć. Co mu te oczy przypominały? Co było w nich, że tak go do siebie ciągnęły? Może coś, co stało się bardzo dawno temu, jeszcze za lat dzieciństwa. Doszedł do, tego wniosku tak jakoś nagle. Nawiedziło go wspomnienie takich samych oczu, pełnych rozpacz, które spoglądały nań, jednocześnie nic nie widząc. Uczuł nagle wstrząs, lecz wkrótce potem o wszystkim zapomniał. Kiedy to przeżywał i gdzie? Szukał w pamięci na próżno. Kiedyś prawdopodobnie przypomni sobie to wszystko całkiem przypadkowo.

Usiłował odegnąć tę myśl od siebie, lecz nie ustępowała. Wolałby raczej, aby pani Rivers nie miała takich właśnie oczu, które go przerażały.

Dróżką, tonącą w poświacie księżyca, podszedł do aloesu, który zakwitał. Jego rozłożyste liście znaczyły się fantastycznymi cieniami na ziemi i Billovi nagle zdało się, że za chwilę magiczny czar nim owładnie. Przed nim ciągnęły się zarośla oświetlone również księżycem, biegnące aż do bramy. Spojrzał w tamtą stronę i zawrócił. Zaledwie jednak uszedł parę kroków, gdy nagle przystanął i spiesznie się obejrzał, odczuł znowu podświadomie<sup>7</sup> czyjąś obecność, jak dzisiejszego popołudnia nad brzegiem zatoki.

Nie widział jej i nie słyszał jej kroków, a jednak czekał na nią. I po chwili przyszła, zupełnie bezszelestnie, wynurzając się z ciemnych zarośli, wysoka, smukła sylwetka w jasnej sukni. Stała po przeciwnej stronie aloesu. Cień aloesu przegradzał ich, jakby nagle ziemia rozpadła się na dwie części. Ona stała tak cicho i do tego stopnia sprawiała wrażenie zjawy, że nie zdziwiłby się, gdyby nagle zniknęła. On również stał spokojnie jakby przejęty lękiem. Księżyc zawisł nad jej głową, lecz twarz tonęła w cieniu. Przyszło mu na myśl, że prawdopodobnie go jeszcze nie dostrzegła, lecz nagle postąpiła kilka kroków naprzód, więc zorientował się, że był w błędzie. Osłonił ją cień aloesu, po czym wyszła znowu na ścieżkę tonącą w poświacie księżyca.

— Byłam pewna, że pana tu zastanę — rzekła.

Melodia jej głosu działała nań magicznie. Poruszył się, aby do niej podejść, czując wyraźnie bicie własnego serca.

— Jestem pani potrzebny? — zapytał. — Czy trzeba w czymś pomóc?

Dłoń jej wyciągnęła się ku niemu, a on ją zatrzymał w gorącym uścisku.

— Przyszłam tylko — rzekła i głos jej znowu podniecił go — bo nie mogłam zasnąć, nie podziękowawszy panu. Ręka jej zdrząła w jego dłoni, bladą twarzyczkę wzniosła ku górze i uświadomił sobie, że była bardzo wzruszona. Zaczął mówić raptownie, bo był również wzruszony.

— Proszę mi nie dziękować! — wyszeptał. — To się zdarza raz w życiu i Bogu niech będą dzięki, że mnie zesłał w tę stronę.

— Dlaczego? — zapytała.

— Dlaczego! — zawahał się. Niełatwo było na to odpowiedzieć. — Chciałem się pani czymś przysłużyć — bąknął po dłuższej chwili.

— Jaki pan dobry! — rzekła pani Rivers. Ręka jej w tej chwili wyswobodziła się z jego uścisku. — Więc prawdopodobnie sprawi panu przyjemność, gdy powiem, że oddał mi pan większą przysługę, niż pan przypuszcza, bo nie tylko uratował pan życie memu chłopcu, lecz jednocześnie wzbudził pan w nim zaufanie do siebie.

— Pragnąłbym bardzo mu pomóc — rzekł Bill.

— Jestem pewna, że to się panu nie uda. Sądzę, że powinnam pana ostrzec, bo nadejdzie dzień, kiedy pan będzie tego wszystkiego żałował. Jeżeli ta chwila nastąpi, proszę nie mieć żalu do Gasparda!

— Będę miał żal do siebie — uśmiechnął się Bill.

— Nie, to byłoby jeszcze gorsze — odparła. — Chciałam prosić, żeby pan wiele mu wybaczył. Jest bardzo młody i pod wielu względami ciężko upośledzony.

— Ma pani na myśli jego zdrowie?

— Częściowo zdrowie — odrzekła szeptem. Przyszło mu na myśl, że ją dokładnie rozumie.

— Gdy zdrowie ulegnie poprawie, to i umysł się uleczy — rzekł.

— Mam nadzieję — rzekła pani Rivers.

— A jak się teraz czuje? — zapytał Bill. — Był doktor?

— Tak. Przyszedł trochę późno i dlatego nie mogłam wcześniej się tu zjawić. Twierdzi, że serce osłabione i że należy przez pewien czas troskliwie go pielęgnować. Ogromnie lubię doktora Brace. Bardzo dobry człowiek.

— Dziwiłbym się, gdyby ktoś w pani obecności nie był dobry  
— zauważył Bill. Zaśmiała się cicho.  
— Najprzód niecji mnie pan pozna, a potem się przekonamy!  
— Mam nadzieję, że nie trzeba będzie długo na to czekać — szepnęła. Nie odpowiedziała, lecz milczenie jej przepojone było smutkiem. Nie próbował przerwać ciszy, a po dłuższej chwili ona zaczęła znów mówić, jakby nic przedtem nie zaszło.  
— Muszę już iść. I tak nie powiedziałam panu tego, co pragnęłam, bo trudno mi to wszystko wyrazić słowami. Może kiedyś potrafię się wypowiedzieć, ale wdzięczność dla pana pozostanie na zawsze w moim sercu.  
— Ach, dajmy temu pokój! — zawołał Bill impulsywnie. — Proszę o tym zapomnieć! Tak będzie najlepiej. W każdym razie proszę zapomnieć o jakiegokolwiek wdzięczności! Jestem sługą Bożym i spełniam tylko rozkazy Najwyższego. Pani nie powinna być niczym zobowiązana.  
— Nie? — umilkła, jakby nawiedziła ją nowa myśl. — Nie  
— powtórzyła po chwili. — Nie wiem, czy pan ma słuszność. To, co pan uczynił, było pańskim własnym impulsem. Nie było w tym niczyjego bodźca.  
Przyszło mu na myśl, że ta kobieta posiadała przemożny wdzięk, który pociągał i odpychał jednocześnie. Był jednak pewny, że w głębi duszy miała tylko dobroć. Wąską ścieżką ogrodową skierowali się w stronę domu. Odwróciła się, gdy na wieży kościelnej zegar wybił dziesiątą.  
— Tak, naprawdę muszę już iść — rzekła przyciszonym głosem.  
— Późno się robi. Mogłoby to zaszkodzić pańskiej opinii. Wsłuchiwał się znowu w dźwięczny jej śmiech i coś go powstrzymało od gwałtownego protestu.  
— Sądzi pani, że liczę się z tym, co ktoś o mnie powie? — zagadnął.  
— Przypuszczam, że powinien pan się liczyć. — odparła.  
— Dlaczego? — pytanie to było niemal wyzwaniem.  
— Dlatego — cedziła słowa w zamyśleniu — że pozostaje pan ciągle pod pręgierzem opinii i że jest pan w pewnej mierze odpowiedzialny przed Wszechmogącym za swe czyny.  
— Ach! — zawołał ze zdziwieniem. Tego się po niej nie spodziewał.

— Ma pani zupełną słuszność — dorzucił po chwili. — Serdeczne dzięki, za to, że mi pani o tym przypomniwała. Szli teraz w kierunku bramy. Ona mówiła z zupełną swobodą:

— Lubię pański aloes, szczególnie jest piękny przy księżycu. Posiada jakąś tajemniczość, coś egipskiego, coś z pustyni, z przeszłości i przyszłości.

— Zna pani Egipt? — zapytał.

— I pustynię — odparła ze spokojem, nieco monotonnym głosem.

— Ale w tym celu nie trzeba koniecznie jechać do Egiptu. Często myślę o tym, że największe cuda świata znajdują się za naszymi drzwiami, tylko nie dane jest nam je podziwiać. Nazywamy to powszedniością, bo patrzymy na nie często, mimo to jednak nie są tak powszednie jak pustynia, gdy podróżujemy przez nią dość długo. Nie należy wcale jechać do Afryki, aby to ujrzeć.

Zbliżyli się do aloesu. Przystanąła w cieniu.

--Nie — szepnęła w zamyśleniu — nie przejdę teraz tędy. Byłoby to zbyt wielkie ryzyko tym bardziej, że po przeciwnej stronie nikt nie czeka. Dobrej nocy! — wstąpiła na trawnik pokryty kropelkami rosy. — Pójdę dookoła.

— Przemoczy pani nogi — zauważył.

Odwróciła głowę. Szal opadł jej z ramion, ukazując piękny zarys szyi.

— Lepsze to, niż złamane serce! — zaśmiała się. — Nie będę miała zaufania do tego pańskiego aloesu, dopóki nie pokryje się kwieciem.

— Przyjdzie pani, jak już zakwitnie? — zapytał.

— I upoję się jego tajemniczością! — zaśmiała się znowu tym swoim dźwięcznym, ciepłym śmiechem, w którym było tyle czaru. — Upicie się widokiem aloesu jest rozkoszniejsze od upicia alkoholem, nieprawdaż?

— rzekła i okrążywszy aloes, zniknęła w ciemnościach.

Słyszał, jak zamykała się za nią brama, lecz nie mógł już dosłyszeć oddalających się jej kroków. Wiedział tylko, że był sam, sam z pustką, a tylko ślady drobnych stóp na trawniku były dlań dowodem, że nie śnił.

Coś bardzo porywczego zbudziło się nagle w jego duszy. To coś poczęło się odzywać w każdym fibrze jego ciała, coś silniejszego nawet od własnej woli. Owładnął nim przemożny czar. Nie pozwoliła, aby poszedł za nią, lecz tego już nie mogła zabronić.

I oświetlony srebrzystymi promieniami księżyca, popadł nagle w szaleństwo, upajając się urokiem, który promieniował z jej obecności.

— Czarodziejka! — wyszeptał. — Czarodziejka!

Padł na kolana i nje zdając sobie sprawy z tego co czyni, począł całować gorączkowo wilgotną trawę, na której przed chwilą znać jeszcze było ślady jej stóp.

## II

Ślub Lottie Morton z młodym wikariuszem wyznaczony został na koniec czerwca i Bill, choć niechętnie, obiecał jednak asystować przy tej ceremonii. W ostatnich dniach rzadko kiedy zjawiał się w Hatchstead, a do Rektoratu w ogóle nie zaglądał. Nie odwiedzał również starego generała Farjeona, bowiem w parafii ostatnio miał dużo zajęcia i rzadko kiedy zdobywał dla siebie chwilę wolnego czasu. W ogóle Bill Quentin zmienił się bardzo od pewnego czasu. Nawet pani Winch zauważyła, że pastor nie wysłuchiwał już z taką cierpliwością wszystkich jej opowiadań.

Możliwe, że burzliwa pogoda tak na biednego proboszcza działała. Pani Winch za wszelką cenę pragnęła zwalić to wszystko na karb pogody, a Ellen Barnet gorąco ją w tym mniemaniu umacniała. Przecież mimo wszystko drogi proboszcz był także tylko człowiekiem, a ostatnie ciągłe burze na wszystkich ludzi źle psychicznie wpływały.

Jedynie generał Farjeon czuł się doskonale i żył dopiero wówczas, gdy upał na dworze panował nie do zniesienia. Siostrzeniec jego, Stafford, spędzał z nim kilka dni z prostego obowiązku i właściwie trudno byłoby powiedzieć, który z tych dwóch ludzi bardziej był tą wizytą znużony.

Pewnego dnia stary generał pojechał w odwiedziny do Billa i wyznał mu, że siostrzeniec stał się ostatnio niepoprawnym brutalen. Nawet Molly nie miała z nim o czym mówić, a przecież była to dziewczyna niezwykle inteligentna.

— Nie wiem, czy to jest takim istotnym dowodem — uśmiechnął się Bill, który na samo wspomnienie Molly odczuwał dziwną niechęć. — W każdym razie, ja w tej sytuacji nie chciałbym być na miejscu pańskiego siostrzeńca.

— Ach, pan! — zawołał generał ze śmiechem. — Jest pan bardzo wybredny, jeżeli chodzi o kobiety. Zresztą tutaj w parafii mamy duży wybór!

— Istotnie byłbym wybredny, gdyby chodziło o wybranie Molly — oznajmił Bill. — Raczej chętniej poślubiłbym już Fanny, gdyby do tego doszło.

— To głupio by pan postąpił — zawołał generał, ignorując wszelkie towarzyskie formy. — Fanny ma tyle rozumu, co każde ciele, podczas gdy Molly to prawdziwe srebro, pełna ognia i pomysłowości. Ja tam zawsze wolę Molly! Bill nie protestował więcej i nie rzekł już ani słowa. Może doszedł do wniosku, że na ten temat nie powinien z generałem dyskutować. Generał jednak poruszał dalej ten sam temat z tyranią właściwą człowiekowi w podeszłym wieku.

— Nawet nie chce teraz patrzeć na Stafforda, chociaż podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia bardzo się zaprzyjaźnili ze sobą. Sądziłem nawet, że chłopak się do niej zaleca, daje słowo. Wolałbym, żeby ją wziął za żonę, niż którąkolwiek z tych wyfiokowanych nowoczesnych kobiet, które wszystkie wolne chwile poświęcają pudrowaniu nosów i polerowaniu paznokci. Mogą nawet chodzić bosy, byleby paznokcie były wypolerowane. Obecnie Molly nie zwraca zupełnie uwagi na Stafforda. Chciałem ją do niego zbliżyć, ale ha samą propozycję wymknęła mi się jak kotka. Co do Stafforda, to jest on tak niemożliwy, że w ogóle trudno z nim poważnie rozmawiać.

— Więc chciałby go pan z nią ożenić, sir? — zapytał Bill trochę zmęczonym głosem.

Nie mógł jakoś<sup>^</sup> zainteresować się sprawą Stafforda i Molly, lecz ze względu na generała nie chciał również okazywać zupełnej obojętności. Generał spoglądał nań przez chwilę gniewnie, po czym wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem.

— Stałeś się szalenie mądry, mój chłopcze! Oczywiście, że chciałbym, aby się pobrali. Czyż nie orientuje się pan, że Molly przypadła mi ogromnie do gustu? Ona jedna nie będzie liczyła na moją śmierć i spadek. Jest do mnie ogromnie przywiązana.

— Inna by się też do pana przywiązała — rzekł Bill. — Oby się pan

nigdy do niej nie rozczarował, sir. Ja osobiście nie ufałbym jej tak bezgranicznie.

— Ach, idź pan do licha — oburzył się generał. — Bardzo pana przepraszam za to, co powiedziałem. Ale co się z panem dzieje, mój chłopcze? Ma pan jakieś specjalne zmartwienie?

— Nie, absolutnie — mruknął Bill.

Generał przyjrzał mu się krytycznym wzrokiem.

— Nie bardzo w to wierzę — uśmiechnął się — ale mniejsza o to! Jeżeli tak pan twierdzi, to wolę się nie wtrącać.

Czy zawarł pan już bliższą znajomość z tą nowoczesną madame Verlines?

— Nie wiem, kogo pan ma na myśli, sir — rzekł Bill.

— Ach, czyżby? Jest pan jakoś nierozgarnięty dzisiaj. Mam na myśli tę damę, która ostatnio zamieszkała w Beech Mount. Zdaje się, że nazywa się Rivers, prawda? Ktoś mi mówił, że jest bardzo ładna, a może mi się tylko śniło?

— Prawdopodobnie śniło się panu, sir. Ja bym tego o niej nie powiedział. W każdym razie nie robi takiego wrażenia na pierwszy rzut oka.

Oczy generała zabłyśły.

— A jakie sprawia wrażenie przy bliższym poznaniu, przyjacielu? Nie, nie! — dorzucił, dostrzegłszy dziwny wyraz twarzy Billa. — Może pan i na to pytanie nie chce odpowiedzieć! Dzisiaj trzeba z panem mówić bardzo ostrożnie.

Gdybym był na pańskim miejscu, stanowczo poradziłbym się lekarza. Uważam, że jest pan przewrażliwiony.

Bill podniósł się z krzesła z nagłym postanowieniem.

— Zaprowadzę pana do niej, jeśli pan zechce pójść ze mną — oznajmił.

— Oho! — zdziwił się generał. — Czy to poważna propozycja?

— Oczywiście! Pójdzie pan? — Bill stał w tej chwili jak człowiek zabierający się już do wyjścia.

— Co, tak zaraz? Cóż ta dama sobie pomyśli? — wahał się generał.

— Nie jesteśmy znów tak bardzo popularni w Rickaby — odparł Bill. — Więc pójdzie pan ze mną, sir?

— Owszem, chłopcze. Pójdę, pójdę — lecz przez cały czas, gdy to mówił, spoglądał na Billa uważnie. Pastor stanowczo niepokoił go tego popołudnia. — Czy to daleko? Chyba nie. Zostawię tutaj mego wierzchowca.



— Oczywiście — przyznał Bill.

Był bez kapelusza, w białym flanelowym ubraniu. Nigdy nie nosił szat kościelnych, nie będąc „na służbie”, jak się sam wyrażał i to właśnie było powodem wielkiego zgorszenia ze strony mr Mortona i pani Winch. Wprawdzie dzisiaj wieczorem miał jeszcze wygłosić wykład dla chłopców z klasy konfirmacyjnej, lecz nie uważał za stosowne występować przed nimi w stroju pastora.

Gdy generał Farjeon tego dnia przyjechał do Rickaby, Bill zajęty był przygotowaniem niedzielnego kazania. Już tydzień upłynął od pamiętnej przygody w basenie i pastor dwukrotnie zachodził od tego czasu do Beech Mount, zapytując o Gasparda, lecz za każdym razem wpadał tam rano i nigdy nie widział ani pani Rivers, ani jej syna. Dopiero przed dwoma dniami spotkał ją na ulicy i wówczas opowiedziała mu, że Gaspard czuje się lepiej i bardzo prosi, aby proboszcz go odwiedził.

Zachowanie jej było wówczas tak przyjazne, że postanowił nie zważać na żadne względy towarzyskie. Dzisiaj wreszcie doszedł do wniosku, że za wszelką cenę musi ją zobaczyć i wiedziony pierwszym odruchem, zaproponował tę wizytę generałowi Farjeon. Nie mówiąc nic więcej na ten temat, obydwaj wspinali się pod górę. Dzień był gorący i parny, lecz słońce skryło się za chmurami.

— Znowu zbiera się na burzę — mruknął generał. — A potem już wcale nie będziemy mieli lata!

Skierowali się ku lipowej alei i tutaj upał dał im się jeszcze bardziej we znaki. Liście wisiały na gałęziach bez ruchu jakby odlane z jakiegoś metalu.

— Ciekawy zakątek! — odezwał się generał. — Nie byłem tutaj od śmierci starego Thesingera. Dawniej był to solidny, pokryty słomą dwór angielski, lecz po drugim małżeństwie admirała przeistoczył się w willę nadmorską, wymalowaną na biało i upstrzoną okiennicami. Zbyt mało mamy słońca w naszym kraju, aby budować takie cudackie pałace. Nie lubię w ogóle modernizmu.

Dotarli do dwóch wysokich jodeł i wyszli na otwartą przestrzeń przed domem, który generał oglądał z niechęcią.

— Bardzo marny gust, uważam — orzekł — i nigdy swego zdania nie zmienię. Bill! Czy to ta twoja dama stoi tam z koszykiem róż? Ogromnie romantyczna! Istotnie!

Badawczym wzrokiem dostrzegł postać kobiecą w małym różanym ogródku, po lewej stronie domu. Bill odwrócił się pośpiesznie i ujrzał ją również. W ostatniej chwili powstrzymał uśmiech triumfu. Nawet oschły Benedykt nie zabroni mu teraz na nią patrzeć.

— Więc co robimy? — zagadnął generał. — Mamy podejść do niej, czy udawać, że jej nie widzimy?

— Mam wrażenie, że idzie już w naszą stronę — szepnął Bill. Miał słuszość. Pani Rivers dostrzegła ich i szła teraz wąską ścieżką na ich spotkanie.

— Umie się poruszać — zaopiniował generał z lubością. — Nie wszystkie kobiety to potrafią.

Bill pojął od razu znaczenie jego słów. Ruchy pełne dystynkcji dodawały jej również wdzięku. Słowem, nie posiadała pięknych rysów, a mimo to tchnęło od niej prawdziwą urodą i czarem.

— Córka bogów — zacytował generał przyciszonym głosem — bosko zgrabna, bosko piękna i boskie ma ruchy.

Bill zaniepokoił się, że dosłyszała te słowa. Była już tak blisko, że nie mógł nawet generałowi odpowiedzieć. Córka bogów, istotnie! Jakże była piękna i jaki czar wiał od niej!

Zbliżył się do niej, czując, że krew płynie mu wartko w żyłach. W tej chwili żałował, że przyprowadził tu z sobą generała Farjeona. Czemuż sam nie przyszedł? A po chwili ręka jej spoczęła w jego dłoni i wszystkie myśli mu się poplątały.

— Coś mi mówiło, że pan przyjdzie dzisiaj — rzekła. — Szuka pan świeżego powietrza? Jeżeli tak, to zaprowadzę pana do chłodnego ustronia.

Spojrzenie jej pomknęło teraz w stronę generała i uśmiechnęła się doń przyjaźnie, nim jeszcze Bill zdążył przedstawić generała.

— To jest nasz sąsiad, generał Farjeon — rzekł wreszcie. — Mieszka w Hatchstead Place i przyjaźnimy się z sobą od dawna. Generale, pozwoli pan, że pana przedstawię pani Rivers.

Generał skłonił się i uściskał wyciągniętą rękę.

— Muszę się usprawiedliwić za tę napaść — rzekł — lecz nie mogłem odmówić propozycji Billa.

— Ach, po co się usprawiedliwiać? — zawołała. — Bardzo mi miło, że pan przyszedł. Proszę nie nazywać tego napaścią!

— Pani jest ogromnie łaskawa, madame — oświadczył rycersko generał.

Zaśmiała się.

— Wobec tego mamy jednakowe zalety. Ale chodźmy teraz do ogrodu i usiądźmy! Odnalazłam naprawdę chłodny zakątek w pobliżu skalnego cypla.

Bill oczekiwał, że generał odpowie niechętnie, iż nie znosi przeciągów, ale czekał na próżno. Stary generał Farjeon szedł teraz u boku pani Rivers, nie czyniąc żadnych uwag. Uszli jednak zaledwie kilka kroków, gdy nagle zatrzymało ich wołanie od strony domu.

— Ojczy! Halo! Ojczy!

Bill odwrócił się. W jednym z górnych okien stał Gaspard, a twarz jego odznaczała się bladością w obramowaniu czarnych włosów. Machał rękami i wołał:

— Proszę na górę! Proszę do mnie!

Bill spojrzął na panią Rivers. Uśmiechnęła się, lecz uśmiech ten nie był zachęcający.

— Myślałam, że zasnął — rzekła. — Ostatnio śpi tak niewiele i tak trudno go uspokoić!

— Mogę pójść do niego? — zapytał Bill.

— Proszę na górę! Bardzo proszę! — upierał się chłopak. — Dlaczego pan tak długo do nas nie zaglądał?

— Czy mogę tam pójść? — powtórzył Bill.

Dziwił się, dlaczego zwlekała z odpowiedzią, (a przecież nie było innego sposobu uspokojenia Gasparda; wkrótce jednak otrzymał jej przyzwolenie.

— Bardzo miło będzie z pańskiej strony — rzekła, po czym zwróciła się do generała: — Mój syn jest nie bardzo zdrowy. Potrzebny mu spokój.

— Wizyta moja z pewnością go nie podnieci — rzekł Bill. — Wpadnę tam na chwilę, nie zabawię długo.

— Dziękuję panu — rzekła łagodnie pańi Rivers.

\*

\* \*

— Dlaczego się pan do licha tak długo nie pokazywał? — zapytał Gaspard.

— Mój drogi chłopcze, słyszałem, że doktor zalecił ci spokój

— odparł Bill.

— Spokój! Spokój! Tak, wiem. Ale nie przypuszcza pan chyba, że nie będę spokojny, gdy pan mnie odwiedzi — mruknął Gaspard.

— Takie samotne siedzenie bez żywej duszy jest gorsze niż więzienie. Bill rozejrzał się po pokoju, w którym się znajdował.

Było tu przyjemnie i jasno, a z otwartych okien roztaczał się widok na drzewa i morze.

— Obyś nigdy nie miał gorszego więzienia — uśmiechnął się. Milczenie, z jakim przyjęto jego słowa, skłoniło go do spojrzenia na

Gasparda i zaniepokoił go znowu wyraz twarzy chłopaka.

— Miałeś ostatnio jakieś przykrości — rzekł łagodnie. — Co się stało? Brak snu?

— Nigdy nie śpiam — odparł Gaspard.

— Dlaczego? — zdziwił się Bill. — Jakiś specjalny powód? Gaspard wzruszył swymi wąskimi ramionami, lecz był to raczej gest odmowy niż nieświadomość.

— Paskudny jest świat — orzekł trochę bez przekonania. — Aby spać, trzeba się zmęczyć, a mnie tego nie wolno.

— Czytasz coś? — zapytał pastor.

— Czasami czytam. Studiowałbym chętnie sztukę, gdybym mógł, ale ludzie tak się rozmaicie na to zapatrują.

Padł na fotel z głębokim westchnieniem i wsparł się na poduszkach.

— Wszystko jest zbyt trudne — rzekł. — Gdziekolwiek się człowiek zwróci, wszędzie jakieś staroświeckie przesady.

— Wszystko zależy od cierpliwości — odparł Bill. — Jestem pewien, że tutaj powrócisz do zdrowia.

— Chciałbym i ja tak sądzić — mruknął Gaspard, a po chwili dziwnie impulsywnie zmienił temat. — Cóż to za jegomość, którego pan tutaj sprowadził? Pański przyjaciel? Jakiś zamożny obszarnik?

— Nie, jest tylko właścicielem Hatchstead Place — odparł Bill.

— To stary generał Farjeon. Znał tę waszą posiadłość przed kilku laty, chciałem, żeby tu przyszedł i rozejrzał się teraz. — Wygląda jak Tatarzyn — brzmiała opinia Gasparda. — Ale nie

wątpię, że moja matka oswoi go prędko. Nadzwyczajna kobieta z tej mojej matki! Musiał pan zauważyć?

Obrzucił badawczym spojrzeniem Billa, który odpowiedział z zupełną powagą:

— Owszem, zauważyłem.

— Ręczę, że podobnej kobiety nigdy pan w swoim życiu nie spotkał — mówił dalej Gaspard. — Jest zupełnym wyjątkiem. Pamięta pan ten dzień, kiedy mnie pan wyciągnął z basenu? Nie widział pan, żeby rozpacziała, prawda? Ona właśnie jest taka. Gdyby ją mieli nawet spalić na stosie, nigdy by nie okazała przestachu.

Tym razem Bill zmienił temat rozmowy.

— Słuchaj, Gaspardzie — rzekł. — Zastanawiam się nad tym, czy twoja matka zgodziłaby się, abyś studiował ze mną ze dwie godziny dziennie, oczywiście nie przemęczając się. Co myślisz o tym?

— Co takiego? — Gaspard zerwał się na równe nogi z rozjaśnioną twarzą. — Pan mówi poważnie? To niemożliwe! Przecież nie chciałby pan chyba zawracać sobie głowy takim mrukiem jak ja!

Bill zaśmiał się ubawiony.

— Połóż się i bądź łaskaw zachować spokój, bo gotowi mnip posądzić, że cię denerwuję! Tak, mówię poważnie. Ale musimy zdobyć pozwolenie twojej matki, zanim omówimy ten temat dokładniej.

— Ach, na pewno się zgodzi — oświadczył Gaspard. — Przecież orientuje się równie dobrze jak ja, że Benedykt nie jest dla mnie zbyt przyjemnym towarzystwem. Pan jest bardzo dobry, ojczcie. Ciekawy jestem, jak prędko będzie pan żałował swej propozycji. — Uśmiechnął się do Billa jak rozkapryszone dziecko, po czym nagle oczy mu przygasły. Leżał wsparty na poduszkach z zasepioną twarzą.

— Głowa do góry! — zawołał Bill. — Przypuszczam, że nie będziemy się z sobą bardzo kłócić. Jeżeli poglądy nasze...

— Tak, jeżeli? — Gaspard patrzył nań z wyraźnym zaciekawieniem. Jakaś uporczywa myśl nie dawała mu spokoju.

— Nie bądź głupi! Z pewnością wszystko pójdzie dobrze — pocieszał Bill.

Gaspard nie odwracając głowy przesłał mu pełne wdzięczności spojrzenie.

— Będzie pan jeszcze żałował, jak pan mnie pozna bliżej — rzekł.

— A jaki ty właściwie jesteś? — zapytał Bill. — Wiem, że jesteś agnostykiern. Wspominałeś o tym, ale to wcale mnie nie przeraża.

Gaspard nie uśmiechnął się nawet.

— Wszystko dlatego, że dotychczas nie brał mnie pan na serio

— wyszeptał. — Nie umiem panu powiedzieć, jaki jestem, ojczy. Pocieszam się tylko nadzieją, że pan mnie nigdy dokładnie nie pozna.

Coś w jego zachowaniu wzruszyło Billa, coś, co nie było zawarte ani w spojrzeniu, ani w słowach. To coś, było niby dawne wspomnienie, widziane przez gęstą mgłę. Zorientował się tylko, że na samym dnie duszy chłopaka istniało jakieś pragnienie, którego nie mógł odgadnąć i którego może nie odgadnie nigdy. Wyczuł instynktownie, że teraz Gaspard nie wyjaśni mu tego, co czuje. Postanowił z zupełną swobodą przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego.

— Wiesz, chciałbym, żebyś mnie nazywał Bill — zaproponował.

— Dlaczego? — chłopiec odwrócił się i spojrzał nań trochę podejrzliwie.

— Sądzę, że będzie ci przyjemniej, a i mnie również.

— Dobrze, Bill. — Coś niecoś wróciło z uprzedniej wesołości Gasparda. Spojrzał jaśniej, wzrokiem pełnym zainteresowania. — Śmieszny masz gust, jeżeli chodzi o wybór przyjaciół, prawda? — dorzucił.

— Spójrz, jaka jest różnica między tobą, tym starym generałem i takim człowiekiem jak ja. Czy nigdy nie starałeś się o przyjaciół w swoim typie?

— To bardzo trudne pytanie — odparł Bill. — Czy każdy z nas stanowi jakiś specjalny typ?

— Naturalnie, że tak. Ale przypuszczam, że pastorky na ogół są jednakowi. Każdy z nich przybiera tylko inną pozę, nieprawdaż?

— Błysk okrucieństwa zajaśniał w oczach Gasparda.

— To zależy, jakim rządzą się systemem — odparł Bill.

— Jak to systemem? — w pytaniu wyczuwało się trochę zniecierpliwienia.

— System, któremu winni jesteśmy posłuszeństwo.

— Ach, więc czasami jesteście posłuszni? Sądziłem, że tego nie macie na względzie. — Gaspard wypowiedział te słowa z wyraźnym niedowierzaniem.

Bill zwrócił się doń.

— Owszem, okazujemy posłuszeństwo i jesteśmy z niego dumni. Lecz nie czynimy tego z lęku czy bojaźni. Czy słyszałeś kiedyś, jak mówią o żołnierzu: „To urodzony wódz. Ludzie pójdą za nim nawet do piekła!” Tak samo jest i z Tym, za którym idziemy. Nie czynimy tego z musu, lecz jedynie dlatego, że chcemy.

Słowa jego zapadły w ciszę. Przez dłuższą chwilę żaden z nich nic nie wyrzekł, po czym Gaspard zapytał z wahaniem:

— Bill, czy ty się modlisz?

— Naturalnie! — odparł pastor. Chłopak spoglądał nań z niepewnością.

— Nie mam na myśli odprawiania obowiązkowych nabożeństw.

— Ja także nie — szepnął Bill. Zaufanie Gasparda wzrastało.

— I ty w to wierzysz? Czynisz to dlatego, że wierzysz?

— Tak — odparł Bill z zupełną powagą. — Nie ma przecież innego powodu.

Gaspard odwrócił ku niemu swą bladą twarz.

— Więc niesłusznie jest, gdy się to czyni na wszelki wypadek? - Co? — zapytał Bill. — Niesłusznie jest modlić się do czegoś,

czego nie znamy, w co nie wierzymy? Nie, nie przypuszczam, aby tak być miało.

Gaspard westchnął głęboko i wyszeptał znowu.

— A nie wierzysz w spowiedź i rozgrzeszenie?

— Oczywiście, że wierzę! — odparł Bill stanowczo. — Gdybym nie wierzył, nie byłbym tym, kim jesteń.

Chłopak spoglądał nieufnie.

— A przecież nie ma spowiedzi w twoim kościele.

— To zależy od wyboru — odparł Bill.

— Od wyboru! — zdziwił się chłopak. — Co przez to chcesz powiedzieć?

W oczach Billa odzwierciedliła się dobroć, gdy odpowiadał:

— Chcę powiedzieć, mój chłopcze, że dla jednych spowiedź jest niemożliwością, a dla drugich potrzebą. Istnieje mnóstwo ludzi, którzy spowiadają się, lecz nigdy nie poruszają własnych tajemnic ani poszczególnych grzechów, chociaż zdają sobie z nich sprawę. Nie nazwałbym tego spowiedzią i nie uważam, aby taka spowiedź była czymś

dobrym. Według mnie, spowiedź jest raczej kwestią nagłej potrzeby niż czymś praktycznym ogólnie. A co do rozgrzeszenia...

— Tak, właśnie! — zawołał Gaspard.

Bill uczynił spokojny, lecz bardzo stanowczy ruch.

— Zapytaj o to Boga! — odparł.

— Więc twierdzisz, że ty nie mógłbyś nikomu dać rozgrzeszenia? — W głosie Gasparda brzmiało niemal przerażenie.

— Tylko jako Jego narzędzie.

— Nie mógłbyś go udzielić samoistnie, powiadasz? — domagał się Gaspard.

Bill spojrzał mu prosto w oczy.

— Mógłbym udzielić go każdemu, kto by tego pragnął, Gaspardzie.

— Mógłbyś? Mógłbyś? Jesteś pewny? — podniósł się gorączkowo i jasny płomień zamigotał w jego oczach, lecz w chwilę potem przygasł. Padł znowu na poduszki. — O jakich my głupstwach gadamy! Powinniśmy po tym dyskutować o skrusze!

— Nie, ja nie wierzę w skruchę — rzekł Bill.

\_ Nie wierzysz? A dlaczego? — znowu czarne oczy chłopaka szukały jego spojżenia.

— Wierzę tylko w usiłowanie poprawy — odparł Bill z prostotą, jak gdyby żadnej zmiany w chłopaku nie zauważył.

— Wierzę w to, że ktoś usiłuje zapłacić za rzecz, która jest bezcenna. Po pierwsze — ty nie możesz tego uczynić, a po drugie — nie widzę potrzeby.

— Nie widzisz potrzeby rozgrzeszenia? — Gaspard nagle przymknął oczy, jak by ten temat przestał go interesować.

\_ Nie \_ odparł Bill. — Każdy pragnie tego prędzej czy później. Lecz skruchą nie można tego okupić. To dobrowolny dar, mój chłopcze. Dobrowolny dar dla tych, którzy nań zasłużyli.

— To znaczy dla wierzących — zawołał Gaspard, mając już otwarte oczy, więc zostaniemy przy tym, od czego zaczęliśmy.

Po chwili milczenia dorzucił śpiesznie:

— Ale ja cię lubię, Bill. Jesteś prosty i szczery.

— Jestem ci ogromnie za to wdzięczny! — wyszeptał z uśmiechem Bill.



\*

\*\*

Pożegnał się z Gaspardem w kilka minut później i zszedł do ogrodu aby odnaleźć panią Rivers i generała. Niebo chmurzyło się coraz bardziej, a powietrze, przeładowane było elektrycznością, zwiastunem zbliżającej się burzy. Skierował swe kroki w stronę wiszącego ogrodu, skąd pochyłą ścieżką począł schodzić na skaliste wybrzeże. Domyślał się, że tam właśnie pan, Rivers zaprowadziła swego gościa w poszukiwaniu owego chłodniejszego ustronia.

Nie mylił się. Gdy się zbliżył, usłyszał ich głosy - serdeczny, głośny śmiech generała i spokojny dźwięczny - pani Rivers, który znowu wywołał w jego sercu wzrastający niepokój. Przystanął na chwilę z dużym uczuciem niepewności. Znowu począł zalewać, że tutaj nie przyszedł sam.

- Moja droga pani - mówił generał - takich ludzi jest tysiące, ale on posiada niezwykle wrażliwe serce. W okolicy jest tylko jedna stara panna, która ma na niego wpływ przemożny. Spryciarka, nie traci czasu. Bill Quentin również nie zaniedbuje swych spraw. Jest tylko zbyt zarozumiały, ale dobry z niego człowiek.

Bill zacisnął dłonie i przyspieszył kroku.

- Ma szlachetny charakter! – usklyszął głos pani Rivers, po czym zaległa cisza.

- Hallo! – zawołał generał, dostrzegłszy zbliżającego się. - Otóż i on sam! Właśnie mówiliśmy o panu. Opowiadałem pani Rivers jaki z pana nadzwyczajny pastor, jak głosi pan mądrość dokoła.

- Mam nadzieję, że nie bardzo pani w to uwierzyła - uśmiechnął się Bill.

- Niech pan siada – zawołała pani Rivers. – Jak pan znalazł mego chłopca?

Bill nie przyjął zaproszenia. Odczuł nagle pragnienie, aby jak najprędzej zabrać stąd generała.

- O, rozmawialiśmy dość długo - odparł i odwiedzę go znowu, jeżeli pani pozwoli. Gaspard jest trochę znudzony życiem. Mam kilka książek, które by go z pewnością zainteresowały.

— Naprawdę? — ucieszyła się z wyrazem wdzięczności w oczach. — Tak, znudzony jest, biedaczek. Ale polecenia doktora są bardzo surowe. Musi mieć absolutny spokój. Sądzę, że ta burzliwa pogoda też na niego źle wpływa. - Spojrzenie jej poszybowało w stronę niespokojnych fal morza. — Możliwe, że jak burza już wybuchnie, będzie się czuł lepiej.

— Z pewnością — przyznał Bill. — Powietrze jest ogromnie parne. Błękit nieba zniknął. Pójdziemy już, sir? Ja muszę koniecznie wracać.

— Czemu się pan tak śpieszy? — zapytał generał Farjeon, gładząc swe długie włosy. — Nie ma pan chyba nic ważnego do roboty?

— Owszem, mam — odparł Bill. — Muszę przygotować niedzielne kazanie i odbyć lekcję z konfirmantami. Muszę również odwiedzić jeszcze dzisiaj panią Phipps, aby ją namówić do zaszczepienia dzieciom ospy.

— Cóż pan ma wspólnego ze szczepieniem ospy? — zdziwił się generał.

— Nic absolutnie — odparł skromnie Bill. — Lecz ponieważ jestem miejscowym proboszczem, doktor Brace uważa, że mam największy wpływ na tutejszych mieszkańców.

— Pani Phipps! — wtrąciła pani Rivers: — Czy to nie ta biedna kobieta, która ma jedenaścioro dzieci i męża w szpitalu?

— Ta sama — odparł Bill. — Jest również znana w całej parafii z bardzo ostrego języka. Z tej przyczyny każdy obawia się do niej zbliżyć, chociaż wszyscy pragnęlibyśmy jej pomóc.

Pani Rivers zaśmiała się.

— Ach, ja ją znam także — rzekła. — Kupowałam kiedyś pomarańcze w urzędzie pocztowym, wie pan...

— Tak! — odparł Bill. — Wszyscy tam kupujemy.

— Więc przyszła tam pani Phipps z gromadą swoich' dzieci. Wyglądały tak mizernie, że rozdałam im moje pomarańcze. — Zaśmiała się znowu. — Zaczęłyśmy z sobą rozmawiać i zaprosiła mnie nawet do siebie, ale nie byłam u niej ani razu. Mr Quentin, może ja bym załatwiła tę sprawę ze szczepieniem ospy! Chętnie się tego podejmę.

— Pani! — zawołał Bill. — Pójdzie pani tam, do tej okropnej dzielnicy!

— Ach, przecież to nie takie straszne!—zaprotestowała. — Jest tam zaledwie dwanaście domów i z zewnątrz wyglądają całkiem sympatycznie.

Bill mruknął niechętnie:

— Ta dzielnica jest plagą całego Rickaby. Nawet panna Mason, opiekunka dzielnicowa, popada chwilami w rozpacz. Pani Phipps kiedyś wyrzuciła ją za drzwi.

— Może panna Mason przyszła do niej obładowana morałami zamiast pomarańczami! — wtrącił generał. — A to przecież pewna różnica.

— Możliwe — przyznała pani Rivers. — W każdym razie mnie na pewno nie wyrzuci. Zresztą spróbuję. Pójdę jeszcze dziś wieczorem albo jutro rano. Ale czy panowie nie zostaną na herbacie?

Bill jednak upierał się przy swym postanowieniu powrotu do domu, więc generał rad nie rad musiał mu towarzyszyć.

Pani Rivers przeszła z nimi przez ogród i pożegnała się w cieniu wysokich jodeł.

— Zawiadomię pana o rezultacie — brzmiały jej ostatnie słowa zwrócone do Billa. — Jeżeli mi się nie uda, przyznam panu słusność, że nie mam kwalifikacji na opiekunkę dzielnicową.

— Tylko bez łapówek, bardzo proszę! — ostrzegwał żartobliwie generał.

Uśmiechając się, podniosła koszyk z różami.

— Tym razem nie zaniosę nawet pomarańczy! — rzekła.

Generał Farjeon chętnie zostałby jeszcze dłużej, lecz Bill go przynaglał. Pastor szedł śpiesznie aleją ogrodową, więc generał musiał podążać za nim.

— Widzę, że się pan ogromnie śpieszy — mruknął, dogoniwszy Billa. — Cóż to za dobry uczynek, poznać człowieka z czarującą kobietą, a potem nie pozwolić mu rozkoszować się jej towarzystwem?

— Niestety, muszę wracać — powtórzył Bill niechętnie. — Zresztą pani Rivers prawdopodobnie ma już nas dosyć.

— Może pana — odciął się generał. — Mną kobiety zachwycają się dopiero po dwudziestu minutach rozmowy.

Jakaś nieprzyjemna odpowiedź cisnęła się Billowi ha usta, lecz powstrzymał ją z wysiłkiem, narzekając tylko znowu na upał.

Poczęli schodzić po pochyłości pagórka i wkrótce znaleźli się w pobliżu bramy ogrodowej pani Winch. Powitała ich ze zwykłą dobroduszością; Bill wolałby się wcale nie zatrzymywać, lecz generał przystanął u bramy.

— Dobry wieczór pani! Wspaniała pogoda! Pracujemy w ogrodzie, co? — zajrzał do wnętrza i dostrzegł pannę Barnet, wyrywającą chwasty zarastające ścieżkę. Pani Winch trzymała polewaczkę i wyglądała bardzo godnie. Uśmiechnęła się do generała Farjeona, zerkając z ukosa na proboszcza.

— Tak, tak. Robię, co mogę, ale deszcz prawdopodobnie zrobi więcej. Ziemia spragniona jest wilgoci.

— Zdaje mi się, że ja jestem tutaj jedyną zadowoloną osobą — zaśmiał się generał. — Lubię taką pogodę, rozkoszuję się upałem. Dla mnie w Anglii nie może być za gorąco. Nie orientujecie się wszyscy, co to są prawdziwe upały. Powinniście pojechać do Indii. Tam upały są naprawdę nie do zniesienia. — Umilkł, ocierając pot z czoła. — Wracamy właśnie z Beech Mount. Straszny tam panuje przeciąg. Pani Rivers sądziła, że sprawi nam przyjemność, prowadząc na skaliste wybrzeże, ja tam jednak wolę gorąco.

— Och, oczywiście! — Pani Winch słuchała teraz z całą uwagą słów generała. Nie lubiła go specjalnie, lecz ze względu na jego arystokratyczne pochodzenie, utrzymywała z nim stosunki towarzyskie. — I zastaliście panowie panią Rivers w domu? — zapytała z przekąsem. — Byłam u niej przed pół godziną, lecz powiedziano mi, że wyszła. Generał Farjeon zachichotał złośliwie.

— Przewrotna osóbką, nieprawdaż? Ale nasz przyjaciel proboszcz ma tam specjalne przywileje. Poszedłem pod jego opieką i doznałem łaskawego przyjęcia. Może następnym razem proboszcz weźmie panią pod swe skrzydła.

Pani Winch wyprostowała się wyniośle.

— Bardzo wątpię — oświadczyła z godnością — czy zdecyduję się pójść tam po raz drugi.

— Ho, ho! — śmiał się głośno generał. — Nie trzeba się tym tak przejmować. — Znowu spojrzął na pochyloną pannę Barnet. — Co ona tam robi? — zapytał panią Winch. — Czy dlatego, że chce, czy dlatego że jej pani każe?

Pani Winch stała się jeszcze bardziej wyniosła. Zamierzała już powiedzieć coś nieprzyjemnego, gdy nagle panna Barnet podniosła zarumienioną twarz i zaśmiała się jakby generał był rozkapryszonym, niepoprawnym dzieckiem.

— O, niech pan zgadnie! — zawołała. — Jest pan już bliski prawdy. Dlaczego ludzie wyrywają chwasty?

Bill, jak zwykle, postanowił bronić pannę Barnet.

— Doskonale pani to robi! — zawołał z entuzjazmem. — Nie chciałbym być chwastem w pani ogrodzie. Sądzę, że i ja będę musiał swój ogród trochę oczyścić.

— Uważam, że któraś z pańskich wielbicielek mogłaby się tym zająć

— wtrącił generał, spoglądając na pannę Barnet wymownie.

— Ach, żadna mnie nie uwielbia do tego stopnia — oświadczył Bill.

— Na miłość boską, panno Barnet, ale ma pani dobry wzrok. Takiego źdźbła nie dojrzałbym nawet przez mikroskop. Wykonuje pani jednak najcięższą robotę. — Zwrócił się do pani Winch i przesłał jej rozbrajający uśmiech. — To polewanie kwiatów jest beznadziejne. Codziennie trzeba robić jedno i to samo. Ale wkrótce deszcz przyjdzie pani z pomocą. Chętnie bym pani pomógł, gdyby nie ci chłopcy przygotowujący się do konfirmacji. Wywołał uśmiech na twarzy pani Winch, czego się zresztą spodziewał.

— Pańska praca jest o wiele ważniejsza niż moje biedne kwiatki

— rzekła. — Ma pan słuszność, że deszcz będzie padał i z pewnością dopomoże mi w pracy, przysparzając jej jednocześnie pannie Barnet. Widzi pan, kwiatami zajmuję się sama, a panna Barnet podjęła się wyrywania chwastów.

— Zresztą z własnej woli — dorzuciła panna Barnet. — Pani Winch tak dobrze zna się na kwiatkach, ja zaś nie mam zupełnie doświadczenia, jeżeli chodzi o ogrodnictwo.

W tej chwili generał zaczął kaszleć i tym samym położył koniec rozmowie. Obydwaj panowie skłonili się z uśmiechem, który był jednocześnie pożegnaniem.

— Jakież to wstyd! — odezwał się generał z niechęcią, gdy oddalili się już od furtki ogrodowej. — Ta biedna dziewczyna z takim zapalem wyrywa chwasty wówczas, gdy babsko samo właściwie nic nie robi.

Naprawdę, Bill, ci pańscy parafianie nie mają ani odrobiny chrześcijańskich zasad. Uważam, że miałby pan doskonały temat do niedzielnego kazania!

— Owszem — odparł Bill — poruszyłbym ten temat, gdybym uważał go za odpowiedni.

— Odpowiedni! Odpowiedni! Dlaczego miałby być nieodpowiedni! — irytował się generał.

— Dlatego — odparł Bill, tracąc powoli cierpliwość — że to są ich osobiste sprawy i sami wiedzą lepiej ode mnie, czym się mają zajmować. Większą zasługę mają ci, którzy wyrywają chwasty, niż ci, którzy składają kwiaty na ołtarzu. Panna Barnet zdaje sobie z tego doskonale sprawę.

— No! — zdziwił się generał. — Więc ta stara panna jest pańską pupilką?

— Wolę ją od wielu innych — odparł Bill.

— Naprawdę? To bardzo źle pan robi. Tamta dama w Beech Mount może być bardzo szlachetna, a może też taką nie być. Trudno mi coś o niej powiedzieć. W każdym razie nie mam do niej ani odrobiny zaufania. Zagięła na pana parol, więc powinien pan być ostrożny! Domyślałem się tego od początku, a teraz przekonałem się na własne oczy. - Zbliźali się do bramy probostwa. Generał przystanął dla zaczerpnięcia oddechu. Bill poszedł przodem, aby otworzyć bramę. Nie rzekł ani słowa, lecz jego mocno zaciśnięte usta wskazywały, że niechętnie przyjmował rady generała na ten temat.

Generał Farjeon wszedł do ogrodu i czekał teraz na Billa, który zamykał bramę.

— I cóż? — zapytał, zwróciwszy uwagę na to, że proboszcz wciąż milczy uparcie. — Cóż pan na to? Nie ma pan nic do powiedzenia? Sam mi pan powiedział, że pani Rivers nie jest osobą przeciętną i przyznaje panu słusność. Taki typ kobiety nie zakopuje się na odludziu bez jakiegoś ubocznego celu. Przecież ona byłaby królową w każdym otoczeniu. Ale uwielbienie jest jej codziennym pokarmem. Jest przyzwyczajona do deptania swych niewolników i chciałaby pana zaliczyć do ich grona. Niebezpieczna z niej kobieta, mówię panu! Czuję to przez skórę. Już niejednokrotnie spotykałem takie typy.

Bill wymamrotał coś niezrozumiale, co wstrzymało elokwencję generała, na miejsce której zrodziło się zaciekawienie.

— Co pan mówi, Bill? Co takiego? Mów pan!

Bill zwrócił się doń. Twarz jego była blada, a oczy pałały blaskiem.

— Powiedziałem „do diabła!”, sir — rzekł dobitnie. Generał wybuchnął śmiechem.

— Winszuję panu, Bill. Teraz wiemy wreszcie, gdzie się znajdujemy. Mam nadzieję, że się pan nie gniewa?

Przeciągły grzmot rozległ się od strony morza. Bill nastawił uszu i czekał, aż grzmot umilknie w oddali. Dopiero potem odpowiedział.

— Nie, sir, nie mam zamiaru.

— Mówi pan szczerze, Bill? — jakaś dziwna nuta zabrzmiała w głosie starego generała, coś jakby niepokój.

— Naturalnie — odparł Bill. — Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Mówimy sobie zawsze prawdę w oczy.

Generał położył dłoń na jego ramieniu.

— Za to pana właśnie lubię — oznajmił. — Jest pan szalenie szczerzy. Nie chciałem pana dotknąć, mój chłopcze. Ale, czy będzie pan ostrożny?

— Tak ostrożny, jak pan sam, sir — przyrzekł Bill. — Teraz nie chcę\* pana przynaglać, ale czy nie lepiej byłoby, żeby pan wrócił do , domu jeszcze przed burzą?

Dopomógł staremu przyjacielowi wsiąść na konia i otworzył przed nim bramę.

— Burza jeszcze daleko — zawołał z daleka generał, wyjeżdżając na drogę. — Ale jak się zbliży, to będzie diabelna.

— Niech mi Bóg wybaczy, że tak pragnąłem się go pozbyć — szepnął do siebie Bill, ocierając pot z czoła i wracając do swego gabinetu. — Nie zniósłbym jednak ani chwili dłużej jego towarzystwa.

Wyszedł znowu do ogrodu i stał na trawniku przez kilka chwil bez ruchu. Przed nim rósł aloes, obsypany drobnymi pączkami, które były zwiastunami szybkiego rozkwitnięcia. Zbliżył się do aloesu, wyciągnął rękę i przyłożył czoło do jednego z rozłożystych liści.

— Królowa, istotnie! — wyszeptał. — Królowa między damami! Czyż niewolnicy twoi mogą cię nie uwielbiać?

\*\*\*

Jadąc do domu podczas burzliwego wieczoru, generał Farjeon swe myśli poświęcił głównie Billowi. Był zadowolony z wizyty w Beech Mount, lecz nie wyniósł z niej zupełnego potwierdzenia swych podejrzeń. Zorientował się tylko, że czar pani Rivers wywierał przemożny wpływ na Billa i za wszelką cenę pragnął oswobodzić od tego pastora. Bill był zbyt przyzwoitym człowiekiem, aby miał się stać niewolnikiem takiej kobiety. Było po prostu nieprawdopodobne, aby pani Rivers miała się stać gwiazdą, jaśniejącą na firmamencie zaścianka Rickaby. Generał na samą myśl o tym zaśmiał się serdecznie, lecz niepokoił się jednocześnie, podejrzewając, że Bill całkiem inaczej zapatruje się na tę kwestię.

— Ona jest nieprzeciętna, stanowczo nieprzeciętna — myślał. — Ale on też ma dużo rozsądku. Boże święty, jaki wpływ mu, si wywiera ta kobieta na Billa, który poza Winchową i Barnetówną nie ma innego towarzystwa. Musi mu się wydawać boginią. Biedny Bill! Nic dziwnego, że dał się schwytać w pułapkę! Lecz bezwarunkowo należy pokrzyżować jej plany. Czyż taki porządny chłopak nie zasłużył na coś lepszego? Jest przecież pastorem, więc na wiele rzeczy nie może sobie pozwolić. Co by na to powiedziała parafia? — uśmiechnął się znowu. — Stara Winchowa spadłaby z krzesła, gdyby się dowiedziała o tym. Tak, przypuszczam, że ona właśnie może mi dopomóc w ratowaniu Billa. Wolałaby chyba, żeby się ożenił z moją piękną Molly. — W tej chwili zmarszczył niechętnie brwi. — Nie, do diabła! Molly jest nie dla niego. Umarłaby biedaczka z nudów, gdyby została żoną Billa. Nie jestem pewien, czy Stafford byłby dla niej lepszym mężem, ale w nim chociaż ta mała się podkochuje. Przy tym zobaczy kawałek świata, jak wyjdzie za niego. Tak, lepiej już niech poślubi Stafforda, jeżeli zdołam go do tego namówić. Niepoprawny chłopak! Udaje dumnego, a jestem pewien, że jednocześnie bardzo lubi tę dziewczynę. W jaki sposób mam się wziąć do dzieła?

Problem ten znowu w zupełności zajął jego umysł i wszelkie inne kwestie na razie przestały istnieć. Stafford i Molly byli ogromnie zaprzyjaźnieni zimą, lecz działo się to bez specjalnych celów. Ani Stafford, nie był wówczas w Molly zakochany, ani też Molly nie była



zbytньо przejęta młodzieńcem, toteż później, gdy ta przyjaźń nieco oziębla, plany starego generała Farjeona zostały mimo woli pokrzyżowane. Generał Farjeon z całej duszy dążył do tego, aby Molly została żoną jego siostrzeńca. Od najdawniejszego dzieciństwa Molly była pupilką generała. Gdyby nie matka Molly, generał z pewnością zaatakowałby dziewczynę już dawno. Marzył o tym przez długie lata, a później postanowił w inny sposób Molly zdobyć dla siebie. Nie lubił Stafforda, lecz szanował go jako narzędzie swej gry. Był pewien, że skoro Molly zostanie żoną siostrzeńca, to więcej czasu będzie poświęcała jemu niż mężowi. Stafford był człowiekiem nierównym, przeważnie podróżował, a największą jego namiętnością była gra w polo.

— Rozumu za grosz! — mawiał zazwyczaj generał o siostrzeńcu, uważając jednocześnie, że Molly posiada tego rozumu tyle, że wystarczy dla niej i dla męża. Wszędzie gdziekolwiek się zjawiała zwracała uwagę. Wszędzie wysuwała się na plan pierwszy a to dzięki swej bystrości i lotności umysłu. Choć miała dopiero osiemnaście lat, jej wrodzona oryginalność i samodzielność zastanawiały wszystkich, aczkolwiek nie wszyscy ją lubili. Pławiła się w swym egoizmie i typowej dla młodości arogancji. Gdyby była chłopcem, z pewnością zdołałaby zawojować cały świat. Los jednak chciał, że urodziła się kobietą i generał pocieszał się tylko tą nadzieją, iż Molly zarówno urodą, jak i temperamentem zawsze wyróżniać się będzie spośród grona otaczających ją rówieśniczek.

— Chciałbym, aby moja mała Molly objęła rządy w Hatchstead Place, gdy mnie już nie będzie — myślał generał, jadąc do domu. — Dopiero by ludzie ostrzyli sobie języki w całej okolicy! Ale ona potrafi ze wszystkimi, sobie poradzić. Mam do niej pod tym względem bezgraniczne zaufanie.

Humor mu się poprawił, gdy doszedł do przyjemnego wniosku, a ponieważ grzmoty nie stawały się silniejsze, był pewien, że burza tak prędko nie nadciągnie. Gdy dotarł do bramy swej posiadłości odwrócił się na siodle i spojrzał na zachmurzone niebo. Niebezpieczeństwo deszczu nie było groźne, więc postanowił pojechać natychmiast do Rektoratu na herbatę. Nie wmawiał sobie, że Molly zostanie w domu. Ale prawdopodobnie w domu powiedzą mu, gdzie ją będzie mógł

odnaleźć. To, że siostrzeniec czeka nań z herbatą w Hatchstead Place, było dlań zupełnie nieważne. Niech sobie czeka!

Nie, stanowczo burza nie nadciągnie tak prędko, pomyślał i zawróciwszy wierzchowej, oddalił się pośpiesznie od bramy swego ogrodu.

Rektorat Hatchstead miał wygląd dziwnie melancholijny i jakby opuszczony. W oknach wisiały ciemne zasłony, a pomalowane na ciemno ściany stwarzały dziwnie smutną atmosferę. Ogród wyglądał jeszcze bardziej opuszczony niż dom, a jedynym miejscem, którego troskliwie doglądano, był tu plac tenisowy.

W mroku chmurnego przedwieczera z każdego kąta wiała pustka i gdy generał zatrzymał konia na porośniętym mchem podjeździe, nawiedziło go takie uczucie, jakby właśnie ów koń, oprócz niego samego, był jedyną żyjącą istotą w promieniu kilku mil.

Staroświecki dzwonek wisiał u wejściowych drzwi i chociaż generał pociągnął go silnie kilkakrotnie, nie odniosło to żadnego rezultatu. Widocznie dzwonek był zepsuty, albo też nikogo nie było w domu. Wiedział, że pani Morton trzyma tylko przychodnią służącą, gdyż sama wraz z dziewczętami zajmowała się gospodarstwem.

Generał Farjeon tak jednak pragnął ujrzeć kogoś z tutejszych mieszkańców, że postanowił samemu przekonać się, czy istotnie nikogo nie było. Pragnął ujrzeć Molly, a przecież nie miał pojęcia, gdzie jej szukać.

Przywiązał konia i przeszedł ogrodem dookoła domu.

Nagle jego uwagę zwrócił widok otwartych drzwi do obszernego salonu. Odniósł wrażenie, że ktoś jednak musi przebywać wewnątrz mieszkania. Wszakże nie wychodziliby wszyscy, pozostawiając drzwi otwarte. Może zaręczona para zaszyła się w jakiś ustronny kąt i oddawała się teraz czułym pieszczotom! Jeżeli tak, to przeszkodzi im po prostu i nic więcej.

Jakiś złośliwy duch skierował go na trawnik i zmusił do bezszelestnego podejścia w stronę otwartych drzwi.

Wyobrażał już sobie, jak bardzo Lottie i mr Bird będą zaskoczeni, gdy ich pochwyci na gorącym uczynku.

Wyobrażał sobie ich zmieszanie i uśmiechał się z zadowoleniem. Zachichotał nawet dość głośno, choć lękał się, aby go z wewnątrz mieszkania nie dosłyszano.

Przeszedłszy przez trawnik, począł się wspinać na palcach po trzech niewysokich stopniach prowadzących do pokoju. Dopiero sprawi im niespodziankę! Gdy znalazł się już na najwyższym stopniu, zajrzał do wnętrza z ciekawością.

I nagle oniemiał. Zapomniał zupełnie o Lottie i jej narzeczonemu, tak go przejęło to, co zobaczył.

W głębi pokoju na podłodze, wstrząsana głuchym szlochem, leżała Molly, jego maleńka Molly, która nigdy jeszcze nie uroniła ani jednej łzy w jego obecności.

\*

\* \*

Nie słyszała jego kroków, a on przystanął na progu, po raz pierwszy w życiu nie mając śmiałości wejść, po raz pierwszy w życiu lękając się zdradzić swą obecność.

Lecz, gdy tak stał pełen wahania, foxterier Molly, Jack, zwąchawszy obecność intruza z przeciwległego końca ogrodu, w szaleńczym pędzie pomknął przez trawnik i rzucił się na generała.

Molly porwała się z podłogi, gdy generał odwrócił się ku napastnikowi, odganiając go trzymanym w rękę pejczem.

— Do licha z psem! — zawołała Molly niechętnie, po czym zwróciła się ze złością w stronę gościa. — Do licha z panem za takie najście! Po co pan to zrobił? Trzeba być trochę subtelniejszym!

Pośpiesznie ocierała łzy, odganiając psa i wpychając generała do pokoju równie energicznym ruchem.

Mimo tak nieprzyjaznego przyjęcia generał Farjeon nie okazał ani cienia zmieszania.

— Zupełnie się z tobą zgadzam, moja droga Molly — odrzekł. — Do licha z psem! Gdybym nie miał bata, spodnie moje byłyby wkrótce w strzępach.

— Inna kwestia, że zasłużył pan na to! — wybuchnęła Molly, wyładowując teraz na nim całą swą złość — Jaki pan miał cel, żeby wchodzić tak cichaczem? Szkoda, że pana nie pogryzł! Stanowczo pan na to zasłużył!

— Bardzo ci dziękuję, kochanie! — rzekł generał. — Jeżeli tak uważasz, to dlaczego nie przywołasz go i nie rozkażesz mu teraz się ze mną rozprawić?

— Proszę nie być głupcem! — zawołała Molly.

Nikt taki na świecie nie istniał, kto by się ośmielił w ten sposób zwrócić do generała. Generał zdał sobie z tego sprawę i tylko uśmiechnął się blado. Przecież ta Molly była nadzwyczajna. Spoglądał na jej pałającą twarzyczkę i serce mu miękło coraz bardziej.

— Nie mam zamiaru usprawiedliwiać się za to, że ci przeszkodziłem — odezwał się po chwili — bo jestem z tego ogromnie zadowolony. Dochodzę do wniosku, że przyjechałem w samą porę. Co się z tobą dzieje, dziecko? Jakie masz zmartwienie?

— Myśli pan, że powiem? — odcięła się Molly krnąbrnie.

— Myślę, że powiesz mi prędzej, czy później — odparł generał dyplomatycznie — chociaż jestem pewien, że niewiele masz do powiedzenia. Powiesz mi jednak, co by to nie było, bo przecież jestem twoim najstarszym przyjacielem i zawsze gotów jestem ci pomóc.

— Nie chcę panu powiedzieć! — burknęła Molly. — Nie ma pan prawa w ten sposób ze mną postępować. To nie jest po przyjacielsku!

— Ale zrozum, że nie przypuszczałem, iż "ktoś jest w domu, a tym bardziej ty! — tłumaczył się generał. — Przecież ciebie prawie nigdy w domu nie ma, prawda? Chciałem tylko wpaść na chwilę, aby się dowiedzieć, gdzie jesteś.

— A po co panu byłam potrzebna? — zapytała Molly, jeszcze ciągle urażona.

Rakieta tenisowa pofrunęła na krzesło, lecz Molly po chwili sięgnęła po nią i poczęła ją obracać niecierpliwie w rękach. Jej śliczna nadąsana twarzyczka miała wygląd twarzyczki dziecka i Molly w tej chwili była jeszcze bardziej czarująca niż zwykle.

Podszedł spokojnie i położył dłoń na jej ramieniu.

— Wiem, jaka była przyczyna — rzekł.

Przesłała mu pośpieszne spojrzenie i uwolniła się od uścisku jego ręki.

— Jestem pewna, że pan nie wie. Zresztą to wszystko nie jest aż takie ważne, aby miał pan o tym rozpowiadać.

— Ach, rozpowiadać nie myślę —, uspokajał ją generał.

— Wiem o wszystkim, maleńka i sędzę, że zbyttnio się przejmujesz. Należy położyć temu kres. Wiem wszystko. Zobaczysz, że wybrniesz z tego. Przecież zawsze dajesz sobie radę.

— Nie rozumiem, dlaczego pan tak mówi — szepnęła Molly ze zdziwieniem.

Ciągle jeszcze bawiła się rakieta, lecz teraz ruchy jej były bardziej nerwowe. Generał, stojący opodal w milczeniu, dostrzegł, że podbródek dziewczyny znowu poczał drzeć.

— Niech to lichu porwie, Molly! — zawołał nagle i otoczył ją ramieniem.

Odwróciła się impulsywnie i oparła głowę na jego piersiach.

— Tak, niech lichu porwie! — wyszeptała zdławionym głosem.

— Niech lichu porwie wszystko!

— Ale o co właściwie chodzi? — wyszeptał generał łagodnie.

— Jeśli mnie pan znowu doprowadzi do płaczu, to chyba pana zabiję!

— Płacz, jeżeli możesz! — rzekł generał.

Wydała jakiś dźwięk, który usiłowała przeobrazić w śmiech i podniosła głowę.

— Nie mogę, oczywiście, że nie mogę w pańskiej obecności.

— Tupnęła nogą ze złości. — Ach, dlaczego... dlaczego nie jest pan młodszy? — A potem dorzuciła nagle z żalem:

— drogi, kochany, proszę mi wybaczyć! Tak nie myślałam!

Ramiona jej otoczyły szyję generała. Chciała go pocałować, lecz ku jej wielkiemu zdziwieniu cofnął się, trzymając ją ciągle w żelaznym uścisku.

— Zupełnie się nie przejmuję tym, co mówisz — zapewnił. — Powiem ci natomiast, co myślę. Ile bym nie miał lat, mam przecież ciało i krew i wcale nie jestem gorszy od Stafforda. Przebywam wprawdzie na świecie dłużej od ciebie, ale jestem ulepiony z takiej samej jak ty gliny. Zamierzam spróbować. Słyszysz? Poślubię cię i niech diabli wezmą Stafforda!

— Boże święty! — wyszeptała Molly z przerażeniem. Skamieniała nagle w jego uścisku. Generał sprawiał wrażenie człowieka, w którego nagle wstąpiło nowe życie. Tulił ją do piersi z iście

młodzieńczą siłą. W jego oczach czaił się namiętny błysk i Molly poczęła unikać tego wzroku. Przejął ją zimny dreszcz.

— Nie, nie! — wyszeptała.

— Co nie? — zapytał generał. — Sądziś, że nie mówię poważnie? Myślisz, że żartuję z ciebie?

— Nie! — wyszeptała Molly z zapartym oddechem, jakby nie śmiała mówić głośno.

— Spójrz na mnie! — rozkazał. — Spójrz mi w oczy! Czy wyglądam tak, jakbym żartował?

— Nie — powtórzyła znowu, nie podnosząc głowy.

— Na Boga! Jesteś zalekniona! Czy istotnie? Zalekniona dlatego, że cię przyłapałem? — Ujął ją ręką pod brodę i odwrócił jej głowę ku sobie. — Molly, moja maleńka, czy chcesz się wymknąć?

Wydała przeraźliwy okrzyk, gdy spojrzenie jej spotkało się z jego wzrokiem, pełnym czułości i oddania.

— Nie wiem — szepnęła.

Przyciągnął ją do siebie bliżej. Jej dziewczęce smukłe ciało dotykało teraz jego piersi.

— Myślisz, że nie potrafię dać ci szczęścia? — zapytał.

— Nie wiem — powtórzyła tym samym zaleknionym głosem. Lecz nie usiłowała już wyswobodzić się z jego ramion. Spoczywała zupełnie biernie w jego uścisku, drżąc spazmatycznie na całym ciele.

Przytulił ją mocniej, aż wreszcie wyczuł bicie jej spłoszonego serduszka.

— Pozwolisz mi przeprowadzić tę próbę, Molly? — zapytał. — Nie należę do tych, którzy się cofają. Mógłbym cię teraz zgnieść, maleńka, gdybym nie żywił dla ciebie sentymentu.

— O nie! — szepnęła jeszcze ciszej.

— Co się z tobą dzieje? — indagował. — Boisz się mnie po tylu latach? Molly! Molly! Zdaje mi się, że kochałem cię od chwili, kiedy się urodziłaś.

Uczyliła niewyraźny ruch, jakby się chciała uwolnić, lecz po chwili była znów bierna, poddając się jego pieścizotom.

— Nie wierzę w miłość — rzekła.

Zaśmiał się, dotykając policzkiem jej rumianej twarzy. — Uwierzysz, nadejdzie taki dzień. Odwróciła głowę.

— Nie uwierzę — upierała się. — W każdym razie w panu się nigdy nie zakocham. Za długo pana znam.  
— Nie żądam od ciebie miłości — oznajmił generał. — Nie zdobyłbym jej za żadną cenę. Moje uczucie do ciebie jest całkiem inne. Zawsze cię kochałem. Pragnę tylko, abyś była dla mnie zawsze taka, jaka byłaś dotychczas. Zobacysz, że będzie nam z sobą dobrze.  
— Dobrze — odparła Molly i westchnęła z ulgą. — Na niczym mi więcej nie zależy, tylko żebym mogła robić, co mi się podoba.  
— Nie myślę cię kępować — uśmiechnął się generał. — Pragnę jedynie, abyś nigdy nie została żoną Stafforda, nawet wówczas, gdy będziesz już wdową, rozumiesz? Musisz się do leej myśli przyzwycząić.  
— Stafford! Stafford! — przerwała mu z nagłą złością. — Nienawidzę, nie znoszę Stafforda! Pan przecież o tym wie! Generał zaśmiał się radośnie.  
— Wobec tego sądzę, żeś zrobiła dobry wybór, kochanie. W każdym razie nie spodziewał się chłopak, że rywalizować z nim będzie własny wuj.  
— Ach! — w oczach Molly pojawiły się błyski pełne triumfu.  
— o tym nawet nie pomyślałam. Bardzo będzie zmartwiony. Ach, ty mała czarodziejko! — wyszeptał z czułością generał.  
— Ale on był taki okropny! — narzekała. — Zawsze zimny i niedostępny. Zdawało mu się, że będę tak tańczyć, jak mi zagra!  
— Teraz zaśpiewa inaczej, prawda? Dopiero będzie miał zmartwienie! Kiedy mu powiemy o tym?  
— Jesteś w gorącej wodzie kąpana — uśmiechnął się generał.  
— Wcale nie — oburzyła się Molly. — Przecież on na to zasłużył. Dopiero dziś wieczorem spotkałam go w klubie tenisowym, jak wychodził. Oczywiście chciałam udać, że go nie widzę, jak zwykle. A tymczasem on śmiał... śmiał mi się nie uklonić!  
— Diabelna impertynencja! — oświadczył generał.  
— Tak. Uważam, że jest największym osłem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Nie wyszłabym za niego, nawet gdyby był jedynym mężczyzną na świecie. Nigdy bym tego nie zrobiła. Pogardzam nim!  
— Bardzo mądrze! Bardzo rozsądnie! — pochwalił generał. — Ale skoro mną nie pogardzasz, to może ofiarowałabyś mi ten pocałunek, którym poprzednio chciałaś mnie obdarzyć!

— Chętnie! — zawołała Molly. Odwróciła się i lekko musnęła jego policzek, co generał przyjął z wielką radością.

— A kiedy odbędzie się nasz ślub? — zapytała. — Czy wszyscy będą bardzo zdziwieni? Będą mieli chociaż o czym mówić. A dostanę od pana pierścionek? Ale żeby był ładniejszy od pierścionka Lottie! Ona ma tylko pierścionek z turkusem i perłą, taki zupełnie zwyczajny!

— Zabiorę cię jutro do miasta, abyś sobie sama wybrała pierścionek — rzekł generał.

— Ach, naprawdę? Jakże się cieszę! Strasznie jestem zadowolona. Czy będę mogła dostać brylant? A co później będziemy robić? Zabierzesz mnie pan do teatru?

— Co tylko będziesz chciała! Molly poczęła skakać z radości.

— Pan jest naprawdę kochany! Nie mogę uwierzyć, że to prawda. Wydaje mi się to tylko piękną bajką. Proszę sobie wyobrazić, obydwie siostry biorą ślub mniej więcej w jednym czasie. Dopiero spadnie ciężar biednemu ojcu z głowy! Gotów oszaleć z radości. — Nagle zaśmiała się głośno. — Na miłość boską, ale on będzie pańskim teściem! Czy to nie jest zabawne?

— Ja bym tak nie uważał — posepnie odparł generał. Poklepała go przyjaźnie po ramieniu.

— Kochane, miłe stworzenie! Jakże się wszyscy będą śmiać z pana! Nie przeszkadza to panu, że się ludzie będą dobrze bawić pańskim kosztem?

— Ani trochę — mruknął generał. Zaczęła znowu skakać radośnie.

— A jak zostanę panią w Hatchstead Place, to będę znana w całym hrabstwie, prawda? I wyobraź sobie! Przerosnę nawet tę starą wariatkę panią Winch! A co do wielbnego Billa... — strzepnęła wymownie palcami.

\_ Tak — odparł generał sucho. — On także z siebie robi głupca od pewnego czasu, o ile się nie myłę.

— Naturalnie! — zawołała Molly. — Czy on ożeni się z kimś młodym i pięknym jak pan?

\_ Nie — rzekł generał, pociągając ją żartobliwie za ucho. — Ona



nie jest młoda i nie jest piękna. Jest tylko jedną z tych kobiet wampów, do których mężczyźni lecą, jak ćmy do ognia.

— Ach, ma pan na myśli tę tajemniczą postać z Beech Mount

— zaśmiała się Molly. — Więc on za nią biega? Straszna historia! Mam nadzieję, że dostanie kosza.

— Zdaje mi się, że twoje pobożne życzenie zostanie spełnione

— rzekł generał. — Da mu kosza na pewno. Pocieszam się tylko nadzieją, że przedtem nie zdąży zostać jego żoną.

Nie lubię takich typów ä la madame Verlines.

— Madame Verlines? — zmarszczyła brwi Molly. — Któż to taki? Jakaś postać historyczna?

— Bardzo historyczna — odrzekł z uśmiechem. — Nie przypominasz sobie tego sławnego procesu? Zabiła swego męża, lecz była tak piękna i powabna, że ją uniewinnili. Przypuszczam, że to wszystko działo się jeszcze, nim zdawałaś sobie z czegokolwiek sprawę. Stafford pamięta ten proces doskonale. Znał nawet tę kobietę.

— Stafford zawsze wie o wszystkim — mruknęła Molly. — On i Bill Quentin są ludźmi wszechwiedzącymi. Ale co ta pani Rivers ma wspólnego z madame Verlines?

— Ten sam typ, moja droga, a z urody też bardzo podobne. Zawsze ją nazywam madame Verlines, od czasu, gdyś ty o niej opowiedziała, a teraz, gdy ją już widziałem — wzruszył ramionami — doszedłem do wniosku, że jest właśnie taka, jak sobie wyobrażałem.

— Więc pan ją widział? — zaciekawiała się Molly. — Nie przypuszczałam, że ona się w ogóle z kimkolwiek widuje.

— Poszedłem do niej z Billem — oznajmił generał.

— Ach, Bill! Ten wszędzie wlezie. Nie znoszę go! — Molly powiedziała to z prostotą.

Generał odwrócił się. Nawet Molly nie miała prawa wyrażać się źle o jego przyjaciółach.

— Musisz zmienić swe zdanie na ten temat, nim jeszcze zostaniesz panią Hatchstead Place — rzekł swobodnie. —

Jest on jednym z moich najserdeczniejszych przyjaciół i pragnę, abyś go traktowała w trochę inny sposób.

Oczy Molly zabłyśły. Gotowa była powiedzieć coś nieprzyjemnego, lecz powstrzymała się.

— Powinien się wobec tego nauczyć wielu rzeczy — szepnęła.  
— Jestem pewna, że będzie się czuł w obowiązku powstrzymać pana od małżeństwa ze mną.  
— Z pewnością nje. ma tego zamiaru! — wybuchnął generał.  
— Będzie się starał — zawołała Molly, a twarzyczka jej rozjaśniła się znowu uśmiechem. — Będzie się starał i to bardzo usilnie.  
— Ale mu się to nie uda. — Generał przytulił ją znowu do siebie.  
— Nikt nie zdoła oddalić ode mnie mojej Molly, nawet jej rodzony ojciec.  
— Och, on na pewno tego nie uczyni! — rzekła. — Przecież lepiej mu będzie, gdy pan się o mnie będzie troszczył. Widzi pan, jestem najmłodszą z córek, a tamte powinny już dawno wyjść za mąż. Choćby taka Fanny!  
— Fanny! — powtórzył generał i obydwójce wybuchnęli głośnym śmiechem. Biedna Fanny była pośmiewiskiem prawie wszystkich mieszkańców okolicy.  
— Jestem pewna, że wielebny Bill bardziej mnie nawet nienawidzi niż Fanny — upierała się Molly.  
— Prawdopodobnie ma słuszność! — zażartował generał. — Prze-, cięż trudno, aby wszyscy leżeli u twoich stóp. Molly przymrużyła oczy. Przez krótką chwilę pragnęła mu powiedzieć, jak mało zależy jej na tym starcu. Lecz znowu instynkt kobiecy zwyciężył. Przecież otwierała się przed nią kariera, a potem będzie mogła robić, co jej się podoba. Uśmiechnęła się więc tylko czule i wyswobodziwszy się z jego ramion, zawołała:  
— Musimy powiedzieć wszystkim o naszych zaręczynach!

\*

\* \*

Generał Farjeon miał już zwrócić Molly uwagę, że przecież i tak w domu nikogo nie ma, kogo by można zawiadomić o zaręczynach, gdy nagle foxterier Jack począł szczekać w ogrodzie na znak, że ktoś z rodziny właśnie powraca. Generał wyprostował się w oczekiwaniu, niezbyt pewny siebie, tylko Molly pozostała nadal swobodna. Stała

pośrodku pokoju, bawiąc się rakieta i obserwując uważnie drzwi wejściowe.

Burza jeszcze ciągle szalała w oddali, a na dworze, stawało się coraz ciemniej. Liście w ogrodzie drżały, jakby przeczuwając zbliżający się żywioł; powietrze było parne.

Z hallu dobiegły głosy pani Morton i Fanny. Molly zwróciła się nagle do generała z pełnym ironii uśmiechem.

— Niech się pan zbliży! Musimy udawać zakochanych! — szepnęła.

Poskoczyła ku niemu, gdy drzwi się otwierały, a potem udała zmieszanie, gdy ojciec, matka i Fanny ukazali się na progu.

Zachowanie jej było naiwnie dziewczęce, generał zaś zmieszał się do tego stopnia, że nawet najmniej przenikliwy obserwator dostrzegłby coś niezwykłego w atmosferze salonu.

Pani Morton przystanąła i spojrzała nań szeroko rozwartymi oczami.

— Hm, hm... — mruknęła.

— Boże drogi! — zawołała Fanny z chichotem, który miał zatuszować jej niepewność. — To generał Farjeon.

Pan Morton postąpił parę kroków naprzód, wyglądając bardzo nędznie w swym czarnym okryciu, nie pozbawiony jednak godności.

— Bardzo się cieszę, że pana widzę, generale — rzekł. — Przypuszczam, że Molly poczęstowała pana herbatą?

— Właśnie, że nie! — odparła Molly, bawiąc się znowu rakieta. — Generał nie na herbatę tu przyszedł.

— Kochanie! — zgromiła ją matka, po czym nerwowo wyciągnęła rękę do gościa. — Jak się pan ma, generale?

Bardzo mi miło, że pan przyszedł. Widzieliśmy pańskiego wierzchowca na podwórzu i od razu domyśliliśmy się, że pan jest u nas.

— Jakie to nadzwyczajne! — zawołała Molly.

Generał wreszcie zdobył się na odwagę, pokonując chwilowe zażenowanie.

— Droga pani — rzekł — jest pani bardzo dla mnie łaskawa i sądzę, że okaże pani swą dobroć, gdy powiem, jaki jest cel mojej dzisiejszej wizyty. Przyjechałem, aby zobaczyć Molly i mam nadzieję, że pani będzie równie dobra dla mnie, jak ona.

— Tak? — bąknęła pani Morton, coraz bardziej zdziwiona.  
— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy.  
Fanny zachichotała znowu i cofnęła się w głąb pokoju.  
— Nie wyobrażam sobie, aby Molly mogła być dobra dla kogokolwiek!  
— Milcz! — syknęła Molly.  
— Kochanie! — zgromiła ją znowu matka.  
— Otóż — ciągnął dalej generał. — Molly była dla mnie bardzo dobra, bardziej nawet, niż przypuszczałem. —  
Zwrócił się do Molly i ujął jej rękę.  
— Przyrzekła, oczywiście jeżeli pani pozwoli, zostać moją żoną.  
— Co za kłamstwo! — warknęła Molly.  
— Boże święty! — zajęczała Fanny.  
— Nie wspominałam wcale o pozwoleniu mamy — tłumaczyła się Molly. — Przyrzekłam, nie powołując się na nic.  
— Dziecko drogie! — prosiła matka.  
Pan Morton przez chwilę był tak zaskoczony, że zabrakło mu słów. Fanny w kącie chichotała beznadziejnie.  
Wreszcie Molly zabrała głos.  
— Nie pojmuję, dlaczego nie miałabym zostać jego żoną. Przecież to najmiłszy człowiek, jakiego znam. Jest również bogaty i z łatwością może utrzymać żonę, czego nie mogę powiedzieć o A. B. Zawsze przyjaźniliśmy się z sobą i mam nadzieję, że będziemy z sobą w zgodzie. Zresztą postanowiłam to zrobić i koniec!  
— Brawo, brawo, Molly! — zawołał generał, uśmiechając się. Zwrócił się do pani Morton, która była bliska łez. —  
Niech się pani nie denerwuje! Będzie jej dobrze ze mną, przyrzekam.  
— Ona jeszcze taka młoda — wyszeptała pani Morton.  
— To nie jest wcale wada — oświadczył generał, po czym dodał:  
— Będzie młoda jeszcze wówczas, gdy ja umrę. Przypuszczam, że niewiele zajmę jej czasu.  
— Ach, niech pan przestanie! — zagniewała się Molly. Lecz ojciec jej nagle wyciągnął do gościa rękę przyjaźnie.  
— Jeżeli pan ją kocha, generałe, to ja się nie myślę sprzeciwiać  
— oznajmił.  
Generał uśmiechnął się i uścisnął dłoń pana Mortona.  
— Serdeczne dzięki — rzekł. — Im prędzej się pobierzemy, tym lepiej.

— Więc jesteśmy teraz naprawdę zaręczeni? — wtrąciła Molly. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w obecności wszystkich.

— Naprawdę zaręczeni, maleńka — szepnął. Zaległa cisza, pani Morton otarła łzy.

— Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko — wyszeptała — i da ci dużo szczęścia!

— Ach, nie bądź sentymentalna mammo! — zawołała Molly, uwalniając się od jej pieszczot. — Obecnie to jest całkiem niemodne! Życz mi tylko szczęścia, to wystarczy.

— Zawsze byłaś dziwnym stworzeniem — mruknęła matka z usprawiedliwieniem.

— Zawsze była bardzo zepsuta — wtrąciła Fanny złośliwie.

— Pani w każdym razie nic nie zawdzięcza — oburzył się generał.

— Nie żądam wdzięczności — rzekła Fanny z przekąsem — ale zawsze starałam się robić dla niej wszystko. Jest naprawdę szczęśliwą dziewczyną i mam nadzieję, że potrafi panu dać szczęście.

— Ja także mam nadzieję — odparł generał. — Ojczy — zwrócił się do pana Mortona — weź mnie do swego gabinetu, abyśmy mogli omówić dokładnie całą sprawę.

Molly w tej chwili zawisła na jego ramieniu.

— Nie! Nie chcę, żebyście coś omawiali przed ślubem. O niczym nie trzeba mówić. Wie pan przecież, że nawet na równej drodze można się poślizgnąć.

Spojrzał na nią z przerażeniem.

— Doskonale to do niej pasuje, nieprawda? — zachichotała Fanny. Molly rzuciła się na nią z pasją.

— Nieprawda! Nie jestem taka. Mogę wziąć ślub nawet jutro! Ojczy, kiedy będzie można ogłosić nasze zapowiedzi?

— To zależy od generała — odparł pan Morton.

— Zawsze taka nieopanowana! — westchnęła matka.

— Wszyscy będziecie zadowoleni, gdy sobie pójdę! — wybuchnęła Molly. — Nic dobrego w domu nie zaznałam, tylko ciągle strofowanie. Jeszcze się dziwicie, że pragnę się stąd wydostać jak najprędzej?

— Kochanie, uspokój się! — prosiła pani Morton.

— Nie chcę! — odcięła się Molly. — Właściwie nie ma w tym tak dużo waszej winy. Ale Fanny, Fanny była zawsze dla mnie prawdziwym

tyranem. Gdy byłam mała, biła mnie bez powodu. Jestem o osiemnaście lat młodsza od niej i wychodzę za mąż wówczas, gdy ona nie ma żadnych nadziei! Cieszę się, bardzo się cieszę! Fanny jest za stara i za brzydka, aby się z nią chciał ktoi ożenić. A ja się i z tego cieszę! Chodźmy, generale! — Chwyciła gó znowu za ramię, śmiejąc się dziko. — Chodźmy stąd! Pobierzmy się i bądźmy szczęśliwi! Uciekajmy!

Generał otoczył ją znowu ramieniem, z jeszcze większą łagodnością niż przedtem.

— Tak, będziemy Szczęśliwi, maleńka — rzekł — i to już bardzo prędko.

— O, dziękuję panu, dziękuję! — odetchnęła z ulgą pani Morton.

— Zobaczmy, co się da zrobić — dorzucił pan Morton z wyniosłością.

Fanny milczała. Śmiechem usiłowała pokryć swe niezadowolenie. Jednocześnie młodsza siostra uczyniła złośliwy grymas w jej stronę.

— Myślę, że Fanny będzie moją starszą druchną. — zawołała.

— Ubierzemy ją w żółto-zieloną suknię. Czy nie lepiej, żeby pan już pojechał do domu, generale? Burza nadciąga. Pogłaskała go czule, aby złagodzić swoje wystąpienie. Przyjął to z zupełnym spokojem. W gruncie rzeczy bardzo chciał się już wydostać z tej atmosfery rodzinnej.

— Przyjadę jutro rano — rzekł. — Pamiętaj, że mamy pojechać do miasta po pierścioneł. Przyjadę o dziesiątej, abyśmy mogli wyruszyć stąd przed jedenastą.

— Doskonale! — zawołała wesoło. — Serdeczne pozdrowienia dla Stafforda. Mam nadzieję, że potrafi odpowiednio przyjąć swoją nową ciotkę.

— Molly! Molly! — strofował ją ojciec.

— Wyjdź ze mną na podwórze — zaproponował generał. Pożegnał rodziców narzeczonej i obydwójce wyszli.

— Ciekaw jestem, czy tego wszystkiego nie będziesz jutro żałowała

— odezwał się generał, spoglądając na jej zarumienioną twarzyczkę.

— A pan może już żałuje — podchwyciła Molly. Zaśmiał się.

— Ja nie! Mam już swoje zdanie i nigdy go nie zmieniam. — Tobie również nie pozwolę zmienić, pamiętaj, maleńka!

— Nie jestem taka głupia, żeby żałować — rzekła. Poklepał ją po ramieniu.

— Winszuję ci, kochanie. Będziesz szczęśliwa, zapewniam cię. Moim obowiązkiem będzie, uczynić cię szczęśliwą.

— Bardzo tego pragnę — szepnęła Molly w zamyśleniu. — Szczerze, generale, miałam już dosyć w życiu przykrości.

— Biedne dziecko! — spoglądał na nią z czułością. — Wiem. Rozumiem. A pamiętaj, jeżeli kiedykolwiek będziesz czegoś pragnęła, to zwróć się do mnie. Jednego tylko będę ci musiał odmówić.

— Cóż to takiego? — zapytała.

Generał zaśmiał się znowu, lecz jego spojrzenie pozostało nadal pełne czułości.

— Swobody!

— Ach, tego! — zaśmiała się także, wzruszając ramionami. — O to z pewnością nie poproszę, więc może się pan nie martwić.

— Dobrze! — ucieszył się generał, dosiadając wierzchowca. — Bądź zdrowa, maleńka!

— Bądź zdrow! — zawołała Molly. — Zobaczymy się jutro! Skinęła mu jeszcze ręką na pożegnanie i odeszła.

\*

\*\*

Stafford Kenyon siedział w bibliotece swego wuja, paląc papierosa. Był to bardzo przystojny młodzieniec, lat około trzydziestu, zdający sobie zresztą sprawę ze swej nieprzeciętnej urody. Próżnowanie było jego najulubieńszym zajęciem, toteż próżnował prawie zawsze w chwilach wolnych od gry w polo. Życie potraktowało go łaskawie, a los sprzyjał mu do tego stopnia, że oszczędził jak dotychczas wszelkich poważniejszych zmartwień. Jeżeli cokolwiek w życiu swoim robił, to robił to przeważnie dla własnej przyjemności. Choć nie lubiano go na ogół, to jednak niewiele było ludzi, którzy naprawdę go darzyli niechęcią. Stafford był zbyt bezpośredni, zresztą nie posiadał znów takich wad, aby można go było szczerze nie lubić. Wprawdzie niektóre cechy charakteru mogły w późniejszych latach rozwinąć się w wady, lecz obecnie nie przedstawiały się jeszcze tak bardzo niebezpiecznie. Istniała

nawet możliwość, że przy dobrych chęciach Stafford zmieniłby się bardzo i stałby się całkiem pożytecznym człowiekiem. Na ogół uważany był za pocziwca, który jednak nigdy nie postępuje wytkniętą z góry drogę. Posiadał dużo dystynkcji, był doskonałym jeźdźcem, a w polo grał pierwszorzędnie.

Grywał również w tenisa, ale trochę niedbale i z pewnością doszedłby do większej perfekcji, gdyby chciał zadać sobie odrobinę trudu. Tańczył dobrze, lecz z pewnym wyrazem znużenia, toteż żadna partnerka nie bawiła się prawdziwie w jego towarzystwie.

Próżnowanie było dlań bezwarunkowo najmiłszym sposobem spędzania czasu. Próżnował po mistrzowsku, nic nie robiąc, z istotnym wdziękiem. Nawet w ubraniu był nieco zaniedbany i pod tym względem nikt nie mógłby go posądzić o nadmierną dbałość. Palił tanie papierosy z miną człowieka przyzwyczajonego do luksusów. Wszelkie ekstrawagancje nie odpowiadały mu zupełnie, najbardziej lubił pławić się w wulgarności.

Stary generał Farjeon nienawidził go, co było całkiem naturalne. Stafford natomiast odczuwał litość dla generała, co było może nacechowane jeszcze większą pogardą niż nienawiść. Nigdy się nie kłócili, lecz prawdopodobnie raczej dzięki Staffordowi niż generałowi. Stafford nie lubił się z nikim kłócić. Jeżeli względem kogoś odczuwał niechęć, ignorował go i to wszystko. Ponieważ jednak nie mógł ignorować generała, litował się nad nim, bo przecież jakieś uczucie musiał dlań żywić. Przeważnie nie zastanawiał się nigdy dłużej nad żadną kwestią. Życie było zbyt krótkie, aby je brać poważnie. Wierzył w to, że każda rzecz sama się zjawia przed człowiekiem o odpowiedniej porze, a posiadał nadzwyczajną umiejętność czekania. Nie lubił się śpieszyć. Uważał, że wszelki pośpiech jest niewygodny, niepraktyczny i zasadniczo całkiem niepotrzebny.

Dzisiaj jednak cierpliwość jego poczęła się po trosze wyczerpywać i wreszcie postanowił zadzwonić o herbatę, gdy generał tak długo nie wracał do domu. To, że wuj dłużej bawił poza domem nie mogło być przyczyną, by Stafford nie jadł podwieczorku.

Wypił więc herbatę i siedział z papierosem, pochylony nad jakimś pismem sportowym. Ponownie napełniona filiżanka stała przed nim, gdy wreszcie wrócił generał.



Wuj wszedł oszklonymi drzwiami z głośnym łoskotem butów i brzękiem ostróg, co nawet spokojnego zazwyczaj Stafforda wytrąciło na chwilę z równowagi.

Spojrzał na wchodzącego bez ożywienia.

— Jesteś wreszcie, sir! Nie masz chyba nic przeciwko temu, że kończę już podwieczorek?

— Spodziewałem się — mruknął generał, rzucając pejcz do kąta.

— To dobrze — odparł Stafford, wyciągając przed siebie nogi.

— Domyśliłem się, że wypiliśmy już gdzieś herbatę.

— To się myliłeś — syknął generał, przyciskając guzik dzwonka.

— Nie piłem.

— Tutaj jeszcze trochę zostało — zauważył Stafford, podsuwając wujowi swą filiżankę.

— Myślisz, że będę pił po tobie? — oburzył się generał. Stafford uśmiechnął się w milczeniu. Lepiej było traktować to

wszystko żartobliwie.

Generał stał przy kominku i spoglądał na siostrzeńca. Nigdy jeszcze nie czuł doń większej nienawiści niż w tej chwili. I pomyśleć, że ten ulizany nicpoń miał kiedyś możliwość zdobycia maleńkiej Molly! Teraz już mu się to nie uda! Nigdy już więcej Molly nie będzie płakała z jego powodu. Na wspomnienie rozpacz Molly, uśmiechnął się ponuro.

Stafford odpowiedział również uśmiechem. Nigdy nie okazywał złości. Nie warto.

— Trochę burzliwie dzisiaj — zauważył.

— Diabelna burza — odparł generał.

— Daleko byłeś? — zapytał Stafford.

— W Rickaby, a potem u Mortonów — odparł generał.

— Dziwne, że tam nie dostałeś herbaty — komentował Stafford swym grzecznym, znużonym głosem.

— Ważniejsze były sprawy.

— Nie wątpię — zgodził się siostrzeniec.

Popijał herbatę, zaciągał się papierosem i zerkał od czasu do czasu na pismo leżące na stole.

— Widziałem Molly w klubie tenisowym — odezwał się po chwili, usiłując rycersko podtrzymać rozmowę. —

Wpadłem, aby się przeko-

nać, czy jest tam coś do roboty, lecz burza widocznie wypłoszyła wszystkich.

— O, widziałeś Molly, istotnie? — zapytał generał.

— Tylko przez chwileczkę — odparł Stafford, strząsając popiół do popielniczki. — Wątpię, czy ona mnie widziała. Zdaje się, że się ogromnie śpieszyła.

— Może tak udawała przed tobą — zauważył generał.

— Możliwe — zgodził się siostrzeniec. Generał burknął niechętnie.

— Ja ją także widziałem — rzekł. — Dla mnie miała więcej czasu.

— Wierzę — rzekł Stafford z niezmaconym spokojem. Jeżeli staremu to sprawia przyjemność, to dlaczego mu się sprzeciwiać? Przecież w gruncie rzeczy to wszystko ma tak niewielkie znaczenie!

Generał jednak był w buntowniczym nastroju i nie miał zamiaru tym się zadowolić.

— Do licha! — zawołał podchodząc do stołu, przy którym siedział Stafford. — Pewno z łatwością również uwierzysz, że Molly gotowa jest w przyszłości poświęcić mi jeszcze więcej czasu niż poświęcała dotychczas.

Ton jego był tak zaczepny, że nawet Staffordowi trudno było zachować nadal obojętność. Uniósł w górę swe czarne brwi i bąknął:

— Istotnie, sir?

Wejście służącego zajęło na chwilę uwagę generała. Wydał rozkaz podania sobie herbaty, po czym usiadł przy stole i zamyślił się.

Stafford jednakże, wyczuwając burzę w powietrzu, uczynił ostrożny ruch udaremnienia wybuchu wuja. Wprawdzie w pokoju znajdowało się dużo krzesel, mimo to jednak Stafford wstał i podsunął wujowi swój fotel.

— Siadaj, sir! Ja i tak wychodzę. Strasznie gorąco w mieszkaniu. Wypalę papierosa w ogrodzie.

— Właśnie, że zostaniesz — huknął generał — i wysłuchasz tego, co ci powiem!

Brwi Stafforda uniosły się jeszcze wyżej. Patrzył na generała z niemym zdziwieniem.

— Oczywiście, że zostanę, jeśli sobie tego życzysz, sir — odparł. — Ale myślałem, że jestem ci raczej niepotrzebny

— Słusznie! — zawołał generał. — W ogóle nikomu nie jesteś potrzebny! Nawet Molly przestała się tobą interesować. Chyba to cię zaciekawia?

— Molly! — bąkał Stafford. — Ależ ja nigdy sobie nie wmawiałem, że przynoszę jej jakiś pożytek.

Powiedział to z godnością, lecz głos mu zadrżał nieco. Więc Molly zwerbowała sobie wuja na obrońcę? Co za beznadziejna pomyłka! Pomysł ten ubawił go na chwilę. Molly widocznie musiała popaść w rozpacz.

— Nigdy sobie nie wmawiałeś — syknął generał. — Nie, nigdy sobie nie wmawiałeś! A teraz też sobie możesz nie wmawiać. Teraz już na ciebie nawet nie spojrzę.

— Istotnie! — rzekł Stafford z bladym uśmiechem. — Widocznie masz pewne dane, skoro tak mówisz, sir? ,

— Mam! — oznajmił generał. — Bardzo dużo danych. Stafford wykonał ruch, który świadczył o jego bezradności.

— Jednocześnie — rzekł — chociaż mnie to bardzo martwi, to czy nie uważasz, że nasza dyskusja na ten temat nie przynosi żadnego pożytku i przybiera nawet nieprzyjemną formę?

Słowa jego były niby paląca się zapalka, przybliżona do prochu. Generał wybuchnął gniewem, który zrujnował do reszty wszelkie dotychczasowe wysiłki zachowania spokoju.

— Do diabła, Stafford! Jak śmiesz tak do mnie mówić? Mogę prowadzić w swoim domu dyskusje na rozmaite tematy. Od kiedy to jesteś autorytetem w dziedzinie form towarzyskich, chciałbym wiedzieć? I gdzie się podziały twoje towarzyskie formy, skoro tak podle postępujesz z Molly? Ona nie dba o to! Zerwała z tobą, dzięki Bogu, i przestała ją wreszcie obchodzić. Nie mógłbyś jej sprawić przykrości, gdybyś teraz nawet starał się o to.

— Ależ, drogi wuju, nie mam zamiaru łamać serca dziewczynie! — zaprotestował Stafford, unosząc się całkiem bezwiednie. — Uważam, że szczerze postępowanie jest najlepsze. Jeżeli Molly twierdzi, że źle ją traktuję, to po prostu nie zna prawideł gry, nic więcej. To jest jedyne, co jej miałem do zarzucenia. Zresztą nie posiada ani odrobiny wychowania i trudno ją traktować poważnie.

**100**

— Traktować poważnie! — generał pieniał się z gniewu. — Ty śmiesz to mówić! Powtarzam ci raz jeszcze, że wcale o ciebie nie dba, nie myśli nawet o tobie.

— A zatem, w ogonie nie ma o czym mówić — rzekł Stafford.

— Jeżeli ktoś nie dba, *tó po* co się dłużej nad tym zastanawiać? Ja tam nikomu nie przypisuję winy.

— Ty! Kto by się liczył z tobą? — Generał uczynił gwałtowny gest. Po prostu przestał panować nad sobą.

Stafford w takich razach nie zwykł był ustępować i potrafił zachować pewność siebie.

Spojrzał na generała z powagą.

— Prawdopodobnie nikt, sir — zawołał. — Ale nie wiem, co to ciebie może obchodzić. Co ma z tym wspólnego Molly? Czy dostała jakiegoś ataku histerycznego? Naprawdę nie mam pojęcia, co mogła o mnie powiedzieć, oprócz tego, że dzisiaj w klubie tenisowym udała, że mnie nie widzi.

— Tyś udał, że jej nie widzisz! — huknął generał.

— Zawsze kobieta powinna mężczyznę zachęcić! — rozumował Stafford. — Ale jeżeli tylko o to idzie, chętnie usprawiedliwię się przed nią, co oczywiście nastąpi w bliższej przyszłości.

Generała jeszcze bardziej zirytowała możliwość usprawiedliwienia się Stafforda.

— Nie sądzisz chyba, że dba o to, czy jej się uklonisz? — napastował. — Jeżeli chcesz, przeproszę ją w twoim imieniu. Molly jest teraz pod moją opieką, więc bądź łaskaw na przyszłość traktować ją trochę grzeczniej.

— O, naturalnie — odparł Stafford. — Nie zwykłem nikogo niegrzecznie traktować.

— Szczególnie musisz być grzeczny dla Molly — domagał się generał. — W przeciwnym wypadku będziesz miał ze mną do czynienia.

W tej chwili nawet Stafford utracił swój dotychczasowy spokój.

— Słowo honoru, sir, nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy

— zawołał. — Nie masz prawa dyktować mi, jak mam postępować z Molly czy z inną dziewczyną. Sam jestem za swoje czyny odpowiedzialny. Zresztą Molly z pewnością potrafi sama się obronić i dlatego ciebie przyjęła za opiekuna, naprawdę nie pojmuję.

— A ja to doskonale rozumiem — odparł generał. — Właśnie zamierzałem ci wytłumaczyć. Chociaż Molly jest dziewczyną rozgarniętą, jednak nie należy do tych, które potrafią przez dłuższy czas bronić się. Musiałeś chyba zauważyć, że jest powabna, bardzo powabna.

— O nie, dzisiaj już to na mnie nie działa — zawołał Stafford, uśmiechając się z ironią — Przejmowałem się tym, ale bardzo dawno.

— Przejmowałeś się! — zgryźliwie dorzucił generał.

— Tak, sir. Przyznaję. — Stafford mówił z powagą. — Przyznaję się również, że podobała mi się przez pewien czas. Ale nie lubię zbyt szybko się spieszyć z jakimikolwiek życiowymi postanowieniami.

— Nie lubisz się spieszyć! — mruknął znowu wuj.

— Nie, nie lubię. — Stafford mówił z wzrastającą pewnością siebie. — Gdy już utwierdzę się w swym przekonaniu co do niej, zawiadomię cię, sir.

— Zawiadomisz!

— Tak jest, sir. — Stafford wypowiedział te słowa nieco podniesionym głosem. — Ale do tego czasu właściwie nie mamy o czym mówić.

— Do diabła! — wybuchnął generał. — To wszystko, coś mi miał do powiedzenia! Nie mamy o czym mówić! A ja cię przekonam, że mamy. Wyobraź sobie, że nie potrzebujesz się już nawet na ten temat zastanawiać. Sam zresztą jesteś temu winien. Molly zdecydowała się pierwsza i uważam, że uczyniła całkiem dobry wybór. Jak ci już powiedziałem, pozostaje teraz pod moją opieką i jestem pewien, że nigdy tego nie pożałuje. O tobie już w ogóle nie ma mowy, przyjacielu, więc nie musisz nic mądrego postanawiać. Serce Molly zwróciło się do mnie, nie do ciebie. Pokonałem cię nawet na tym polu.

Umilkł, patrząc z triumfem na zwyciężonego wroga. Stafford pobladł, lecz nie okazał ochoty wycofania się z pola walki.

— Co masz właściwie na myśli, sir? — zagadnął, marszcząc brwi. — Postanowiłeś ją zaadoptować, czy coś w tym rodzaju?

Generał wybuchnął ironicznym śmiechem.

— Zaadoptować! Doskonale! Uczynić z niej siostrzenicę może? Byłoby to dla ciebie wygodniejsze? Sprowadzić ci ją do domu, żebyś mógł jej nadal głowę zawracać!

— Nie, sir, tego nawet nie miałem na myśli. Tylko dziwiłem się, dziwiłem się... — Stafford znowu zmarszczył brwi z niechęcią. — Po prostu chciałbym wiedzieć, co to wszystko znaczy — dorzucił.

Generał zaśmiał się znowu. Zdziwienie Stafforda sprawiło mu najgłębszą przyjemność.

— O, zaraz ci to wytłumaczę — zawołał. — Całkiem prosta historia. Każdy człowiek, obdarzony odrobiną rozumu, odgadłby tę tajemnicę. Nie mam zamiaru adoptować Molly, nie chcę, aby była moją siostrzenicą, lecz pragnę, żeby została twoją ciotką, rozumiesz? Mam nawet od niej pewne polecenie dla ciebie. Zechcesz wysłuchać?

— Jeżeli wuj łaskaw! — bąknął Stafford.

Stał teraz wyprostowany z godnością, a twarz jego była wciąż blada. Zdawać się mogło, że tak stać będzie do ostatecznego wyczerpania sił.

— Dobrze. Więc ci powiem — rzekł łaskawie generał. — Gdy się z nią zegnałem, powiedziała: „Serdeczne pozdrowienia dla Stafforda. Mam nadzieję, że potrafi odpowiednio przyjąć swoją nową ciotkę!” Teraz już rozumiesz wszystko?

Spojrzenie Stafforda zawisło na twarzy wuja i zdawało się przeszywać go do głębi. Nagle nozdrza poczęły mu drgać nerwowo. Odetchnął głęboko, jakby mu zabrakło powietrza.

— Więc ona ma zostać twoją żoną, sir? — zapytał. Generał klasnął w dłonie.

— Doskonale, młodzieńcze! Wreszcie odgadłeś. Tak, ma zostać moją żoną.

— Boże drogi! — westchnął Stafford.

Uczynił dziwny gest ręką, jakby chciał zatuszować nerwowe drżenie, po czym podniósł rękę do swych ciemnych włosów. Twarz jego była teraz szara jak popiół.

Jakiś niepokój ogarnął generała. Taką twarz widział kiedyś, lecz była to twarz człowieka śmiertelnie rannego.

— Co się u diabła stało? — zapytał ostro.

Zaledwie wypowiedział te słowa, gdy pokój nagle rozbłysnął oślepiającym blaskiem, jakby we wszystkich kątach zapalono tysiące pochodni. Rozległ się straszliwy huk grzmotu, powtórzony kilkakrotnie jak złowieszcze echo.

— Piorun uderzył! — wyszeptał generał.

— Stafford nic nie odpowiedział. Nie zważając na szalejący żywioł, odwrócił się jak automat i sztywnym krokiem opuścił pokój.

\*

\*\*

Jakoś dziwnie tego wieczoru nie szły Billowi wykłady w klasie konfirmantów. Może winę należało przypisać burzliwej pogodzie, ale Bill jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że i on sam był w jakimś dziwnym nastroju. Chłopcy wprawdzie uważali bacznie i słuchali z uwagą tego, o czym pastor mówił, mimo to jednak już po pięciu minutach Bill czuł, że temat mu się wyczerpuje.

Zazwyczaj wykład taki trwał godzinę, a dzisiaj już po upływie pół godziny cierpliwość Billa wyczerpała się zupełnie, więc pod pretekstem zbliżającej się burzy zwolnił chłopców, przeszedł do swego gabinetu, zamknął drzwi na klucz i rzucił się na stojącą w kącie kanapę.

— O Boże — jęknął zmęczonym głosem — ciężko jest dzisiaj pracować!

Przez chwilę zdawało mu się, że drzemie. Potem nagle ocknął się, wracając do świadomości. Właściwie czym był, skoro inni ludzie spełniali za niego obowiązki? Nawet do pani Phipps, która tak sromotnie niegdyś obeszła się z panną Mason, nie on miał pójść, tylko pani Rivers. Wyobraził sobie, jak śpiesznie szła do dzielnicy najuboższych. Prawdopodobnie dzieci bawią się tam w błocie, małe prosięta wałęsają się po kątach, a podrastający chłopcy obrzucają każdego przechodnia kamieniami. Gdzieniegdzie na przyzbach siedzą starcy z fajkami, czekając aż otworzą gospodę „Pod błękitnym niedźwiedziem”. I do tej właśnie dzielnicy miała się udać pani Rivers, aby skłonić panią Phipps do zaszczepienia ospy dzieciom. Panują tu ustawiczne kłótnie miejscowych kobiet, a głos pani Phipps góruje ponad wszystkimi głosami, gdy wymyśla którejs z sąsiadek. Słysząc te piskliwe głosy niejednokrotnie nawet w ogrodzie na plebanii. I ona, ta czarodziejka, ma pójść tam i zetknąć się z tym wszystkim!

— Do licha! — zaklął, zrywając się śpiesznie z kanapy. — Tak być nie powinno! Pójdę sam i to zaraz.

**103**

Zapomniał, że klucz był w zamku przekręcony i przez chwilę bezskutecznie otwierał drzwi. Wreszcie zorientował się, i dopiero wówczas całkiem oprzytomniał.

— Ach, ty głupcze! Zupełnie już zwariowałeś! Musisz pozbyć się nieosiągalnych dla ciebie pragnień. Weź się lepiej do roboty i zapomnij o głupstwach.

W hallu, do którego wszedł po kapelusz, panowały zupełne ciemności, a gdy wyszedł do ogrodu, zorientował się, że burza zbliżała się coraz bardziej. To jednak nie przeraziło go, bo do dzielnicy, w której mieszkała pani Phipps, nie było daleko. Postanowił tam pójść natychmiast, aby zaoszczędzić pani Rivers tej przykrew wyprawy. Nie przypuszczał, żeby się miała wybrać dzisiaj wieczoru podczas nadciągającej burzy. Niebo pokryte było ołowianymi chmurami. Zresztą nie zostawiłaby Gasparda w taki wieczór samego. Z tej krótkiej znajomości wywnioskował, że chłopak nie lubi sam dłużej przebywać w domu.

— Chętnie dotrzymałbym mu od czasu do czasu towarzystwa, gdyby mi na to pozwoliła — pomyślał, idąc w stronę bramy. — Ciekawy jestem, co Brace myśli o stanie jego zdrowia?

U bramy przystanął, zachwycony nagłą zmianą na niebie. Ciemności się jeszcze wzmogły i zdało się, że chmury pędzą z szaloną szybkością ku ziemi jakby gnane tajemniczą siłą. Deszcz jeszcze nie padał, lecz z oddali dochodził głuchy grzmot, jakby turkot pociągu mijającego jakiś podziemny tunel. Burza się zbliżała.

Stał, spoglądając w stronę pagórka, gdzie znajdowała się posiadłość Beech Mount i chociaż na ogół nie był nerwowo, jakiś dziwny dreszcz przeniknął go w tej chwili. Zaprzagnął upewnić się, że pani Rivers tej nocy nie poszła do wsi. Wiedziony nagłym impulsem spojrział w dolinę i nagle dostrzegł tę, o której myślał.

Szła w jego stronę, jakby płynąc; nie śpieszyła się, lecz szła zwawo, chcąc widocznie zdążyć do domu przed burzą. Billowi to wystarczyło. Ruszył naprzód na jej spotkanie.

Zauważyła go dopiero wówczas, gdy znajdował się w odległości kilku jardów i przemówił:

— Niech się pani u mnie schroni! Przecież w taką pogodę nie może pani wracać.



Odwróciła się i uśmiechnęła.

— Ach, to pan! Bardzo dziękuję, ale nie mogę zatrzymywać się. Wie pan, Gaspard...

Tak, wiedział, odgadł od razu. Zbliżył się do niej.

— To pozwoli pani, że pójdziemy razem! Szedłem właśnie w te stronę.

— Dziękuję — odparła, — ale nie bardzo panu wierzę. Przecież w domu nie będę sama, więc nie mam się czego obawiać. Jest Benedykt zresztą.

Nie dokończyła, bo nagle, gdy zbliżyli się do bramy probostwa burza wybuchnęła na dobre. Niebo się rozwarło i spływały na ziemię potoki deszczu. Cały świat zdawał się tonąć w rozszalałym żywiole. Rozległo się zawodzenie wichru przy akompaniamencie huku grzmotów i cały ten żywioł zdawał się trząść niemal globem ziemskim.

Trudno było utrzymać się na nogach. Bill bez wahania ujął swą towarzyszkę pod ramię i prawie siłą począł ciągnąć na plebanię. Stanęli na ganku zadyszani, lecz niezupełnie jeszcze przemoknięci. Nie pora była na jakiegokolwiek ceremonie. Bill wprowadził ją od razu do mrocznego hallu, zatraskując drzwi wejściowe. Tutaj zdjął z niej wierzchnie okrycie, ona zaś zaśmiała się dźwięcznie.

— Muszę panu powiedzieć komplement, posiada pan bardzo dużo przytomności .umysłu i prawdziwie męską energię.

Znowu uczył to walenie w skroniach, które nawiedziło go tego popołudnia. Ten jej czar! Czy zdawała sobie sprawę, jak bardzo pociągała go swoim swobodnym zachowaniem? Stał przez chwilę w milczeniu, walcząc z namiętym impulsem, który nim owładnął.

— Przecież to była jedyna rada — odparł prawie surowo. Burza szalała na dworze i odgłosy grzmotów wnikały do wnętrza

domu. W blasku błyskawicy widział przez chwilę jej twarz. Była teraz jakaś inna, bardziej ożywiona, młodsza, nacechowana chwilową kokieterią. W śmiechu jej nawet było coś dziewczęcego, coś pokonywającego przeszkodę, która ich dotychczas dzieliła. Zdawać się mogło, że są izolowani od świata, a ona ze śmiechem zgadza się na wszystko, upoważniając go nawet do pewnej intymności. Więcej, zdawała się nawet radować tym, co się stało.

— Proszę do gabinetu! — rzekł Bill.

Weszła do wskazanego pokoju, a on za nią. Niejednokrotnie wyobrażał sobie jej obecność w swym gabinecie, lecz nigdy w podobnych okolicznościach. Wszystko dzisiaj było takie dziwne.

Stała pośrodku pokoju, spoglądając w okno, z oczami rozjaśnionymi nieziemskim Blaskiem. Obserwował ją, trzymając ręce mocno przy sobie i nagle zrodziło się w nim przeświadczenie, że właśnie tylko pragnął tej jednej kobiety.

Nagle zwróciła się doń całkiem nieoczekiwanie.

— Jakiegoż zimnego przyjęcia doznałam! — rzekła.

Słowa jej zadźwięczały w jego uszach jak odważne wyzwanie. Przyszło mu na myśl, że w danej chwili pani Rivers była jego gościem. Czyż był tak oszołomiony, że zupełnie o tym zapomniał.

Postąpił kilka kroków naprzód.

— Ogromnie się cieszę, że udało mi się tu panią przyprowadzić — wyszeptał. — Zechce pani usiąść? Burza nie będzie trwała długo.

Uśmiechnęła się i usiadła na fotelu przy biurku. Szalejąca na dworze burza zdawała się już nie wywierać na niej żadnego wrażenia.

— Czy tutaj redaguje pan swoje kazania? — zapytała.

— Tak — odparł Bill, po czym dodał szczerze: — okropne to są kazania, przyznaję. Bardzo ich nie lubię. Zawsze wydają mi się absurdem.

— O, dlaczego? — zdziwiła się. — Jest mnóstwo ludzi, którzy lubią kazania.

— Ale to mnie absolutnie nie pociesza.

— Wiem — odparła z głęboką powagą. — Lecz zadowolenie słuchaczy sprawia jednak pewną przyjemność. Pan Bóg pamięta o tym, że jego najmądrzejsze słowa stały się dzisiaj legendami, w które ludzie wierzą.

— Pani zawsze myśli o czymś niezwykłym — obruszył się Bill. Siedząc w fotelu, podniosła ku niemu oczy. Zdawać się mogło, że już dawno przestała myśleć o szalejącej burzy.

— A czy tak nie jest? — zapytała. — nauczania Boga były wielkie ze względu na zainteresowanie jego uczniów.

— Bardzo być może — przyznał.

— Wyobraźmy sobie, co by dzisiejsi subtelni ludzie mogli na to powiedzieć! — ciągnęła dalej. — Dziwne, że świat tak wolno się po-

rusza. Tak mało na nim życia. Tak się mało zmienia! A my z drobnostek robimy wielkie awantury, jakby miały one jakieś specjalne znaczenie.

— Może mają — szepnął Bill. Jej uśmiech był w tej chwili przygaszony.

— Pan musi tak mówić — zauważyła.

— Nigdy nie mówię o niczym, w co nie wierzę.

- Oczywiście, że nie! Co innego miałam na myśli. Jest pan jeszcze młody

— Pani też jest młoda — szepnął Bill. Potrząsnęła głową.

— Mam wrażenie, że w każdym życiu, w życiu każdej kobiety musi istnieć jakaś zaporą. Czasami zjawia się ona przy końcu życia, czasami znów na samym początku. Lecz, gdy tę zaporę kobieta pokona, to potem me Jest już młoda. Ja pokonałam moją zaporę już bardzo dawno

— Umilkła jakby zapomniawsza zupełnie o jego obecności.

Bill nagle się poruszył.

— Według mnie nie istnieje kres życia - rzekł z zapalem, który był jego charakterystyczną cechą w chwilach natchnienia. - Ludzie częstokroć myślą, że wszystko skończone wówczas, gdy jest całkiem przeciwnie.

Usłyszał jej śmiech, lecz teraz już nań nie patrzyła.

— Co za cudowny chłopięcy sentyment! — szepnęła

— Chciała pani powiedzieć: „Głupi ośle!” - zawołał Bill z ironią

- Możę pani tak sądzić, jeśli pani z tym wygodnie. Lecz sentyment mój jest bliższy prawdy od pani pesymizmu. Zostanę więc przy nim, choćby się pani całkiem inaczej na to wszystko zapatrywała.

- Słusznie! – odparła. – Niech pan zostanie przy nim jak najdlużej.

— Niech mi pani mówi po imieniu! - poprosił nagle. - Z Gaspardem też już przeszliśmy na „ty”. Nie lubię takich arabskich ceremonii. Uczyniła niewyraźny ruch zdziwienia, czy protestu, nie miał pełnej pewności.

— Czy pani Winch także mówi do pana „Bill”? – zapytała, po0 czym wybuchnęła nieszczerym śmiechem, choć pytanie zadała całkiem poważnie.

— Pani Winch! — w pierwszej chwili Bill nie zorientował się, co miała na myśli. — Niesłusznie ma pani do mnie pretensję!

Pani Rivers odwróciła się na krześle.

— Proszę mi wierzyć, że nie mam ani cienia pretensji — odparła.

— Ale... ale pan nie powinien się temu dziwić. Przecież i ja jestem tylko kobietą.

— Pani Rivers! — zawołał. I nagle zupełnie stracił pewność siebie. Szalejąca na dworze burza była niczym w porównaniu z żywiołem, który rozszalał się w jego duszy i złamał go zupełnie.

Padł przed nią na kolana z wyciągniętymi poprzez biurko ramionami, mając ręce tuż przy niej, lecz nie miał śmiałości jej dotknąć.

— Nie wiem, co pani o mnie pomyśli — wyszeptał. — Ja również nie wiem, co myśleć o tym. Ale uwielbiam panią i uczucia tego za żadną cenę nie mogę się wyzbyć!

Głos jego był przyciszony i drżący. Spoglądał jej prosto w twarz i sprawiał wrażenie człowieka oczekującego wyroku.

Do pokoju wtargnął blask błyskawicy, która po chwili przygasła gdzieś za drzewami. W gabinecie panowały ciemności, tylko odgłos grzmotu przerywał od czasu do czasu ciszę. Pani Rivers siedziała w milczeniu, nie ruszając się i nie mówiąc. Twarz jej również nic mu nie mówiła, była bowiem spokojna i prawie skamieniała.

Czekał dłuższą chwilę, aż wreszcie zapytał:

— Czy pani mi przebaczy?

Poruszyła się. Położyła dłoń na jego ręce, dłoń, która była sztywna i lodowato zimna.

— Cóż mam do przebaczenia? — zapytała. — Właściwie to ja powinnam pana o to prosić.

Nie zadrżał pod wpływem jej dotknięcia, nie wyczuwając w jej dłoni ani odrobiny ciepła.

— Nie gniewa się pani za to, co powiedziałem? — zapytał.

— O nie, nie gniewam się — odparła, lecz w głosie jej czaiła się nuta cierpienia, a może nawet bólu.

— Ale nie może pani... nie może mi pani dać ani cienia nadziei?

— wyszeptał znowu.

— Nadziei? — powtórzyła ten wyraz z namysłem, jakby kwestionując jego znaczenie.

— Wiem, że była to z mojej strony arogancja — zawołał. — Ale żeby... żebyś mogła mi się odwzajemnić choć odrobiną uczucia, nic więcej od życia bym nie żądał!

— Istotnie? — szepnęła. — Istotnie?

Przeniknął go silny wiew gorącego uczucia. Co było w jej głosie, co mu sprawiało taką przykrość? I dlaczego jej dłoń była taka zimna?

— Czy to zupełnie niemożliwe? — zapytał.

— Zupełnie — odrzekła pani Rivers, lecz wypowiedziała to tak łagodnie, z takim żalem, że nie mógł być dotknięty tą odpowiedzią.

Czekał znowu przez dłuższą chwilę, po czym zbliżył się i ujął jej lodowatą rękę w swoje obydwie dłonie. V

— Dziękuję — rzekł. — Dziękuję pani za dobroć. A teraz, czy wyświadczy mi pani pewną łaskę?

— Tak — odparła.

— Otóż — ciągnął dalej po chwili — jeżeli dam pani słowo uczciwego człowieka, że nie będę sprawiał pani więcej przykrości, że nie podejmę więcej tego tematu, czy postara się pani wówczas traktować mnie jak dawniej, jakby się nic nie stało?

Przez chwilę milczała.

— A czy nie uważa pan, że to niemożliwe? — zagadnęła wreszcie. Spojrzał na nią, trzymając wciąż jeszcze jej rękę w swoich dłoniach.

— Dlaczego?

Odpowiedziała trochę drżącym, lecz jednocześnie suchym tonem, takim samym, jakim dała mu poprzednią odpowiedź:

— Dlatego, że pan, będąc człowiekiem honoru nie może nigdy sprawić przykrości żadnej kobiecie. Dlatego, że... że ja, będąc sobą... — Głos jej znowu zadrżał, lecz tonąca w ciemności twarz nic mu nie powiedziała — ...mogłabym tylko czuć dla pana wdzięczność za takie postępowanie.

Słowa jej nie sprawiły właściwie żadnej różnicy, lecz brzmiały one potem w jego uszach długo i koły rodzący się w sercu ból.

Podniósł się, przygnębiony, ale pewny siebie. Musiał zachować spokój. Wiedział, że serca swego nigdy już nie ukoł. Porażka była widoczna, nieunikniona i beznadziejna. W tej chwili zdał sobie sprawę, że kocha ją jeszcze bardziej niż dotychczas.

— Muszę już wracać do Gasparda — rzekła.

— Ale nie w taki deszcz — zaprotestował Bill.

— Już przestaje padać. Trzeba skorzystać z chwili.

— Zaczekajmy jeszcze z pięć minut! — zaproponował. — Chciałem z panią pomówić.

Uśmiechnęła się i ustąpiła z prostotą, co wzruszyło go do głębi, gdyż zrozumiał, że ufa mu w zupełności.

— Chciał pan mówić o Gaspardzie? — zapytała.

— Tak. — Bill przysunął sobie krzesło. — Wie pani, że postanowiłem czytywać z nim razem. Nie ma pani nic przeciwko temu, prawda? Chodzi mi tylko o pani przyzwolenie.

— Przyzwolenie! — spojrzała nań. — Uważam, że jest to najlepszy uczynek, jaki pan kiedykolwiek spełnił. Ale dla pana będzie to ciężarem. Nie wiem, czy się pan orientuje.

— Głupstwo — zaprotestował Bill. — Wie pani, jak bardzo lubię Gasparda.

— Gaspard powinien być bardzo szczęśliwy — zauważyła. — Prawdopodobnie będzie pan zdziwiony, gdy powiem, że Gaspardowi ogromnie zależy na pańskiej przyjaźni.

— Doskonale! — ucieszył się Bill, wyjmując papierośnicę. — Więc przyzwolenie pani otrzymałem. Może pani zapali?

Potrząsnęła głową.

— Teraz nie, dziękuję, może później. Śmiesz mnie ta pańska prośba o moje pozwolenie. Lękam się, że to przedsięwzięcie będzie zbyt trudne. Bo widzi pan — zawahała się przez chwilę, — z Gaspardem nie jest tak łatwo. Benedykt zna go dobrze i daje sobie z nim radę, ale też nie zawsze przychodzi mu to z łatwością.

— Sądzę, że rozumiem — odparł Bill, zapalając papierosa. — Mimo to jednak nie mogę pozwolić, aby chłopak się marnował. Życie, które prowadzi, nie jest zbyt wesołe. Tym bardziej dla chłopca w jego wieku, nieprawdaż?

— Wiem — westchnęła ze smutkiem. — Wiem. Ale ogromnie się lękam, że dozna pan rozczarowania, jeżeli chodzi o Gasparda. On jest

*III*

taki skomplikowany i w wielu wypadkach zupełnie niezrozumiały. Pan, że swoją szczerością, będzie się chwilami na pewno dziwił.

— To mnie nie przeraża — uśmiechnął się Bill.

— Jest pan bardzo dobry — szepnęła, — ale to nie wszystko. Mr Quentin, czy wie pan o tym, że mój chłopak nie wyznaje żadnej religii?

— Tak, mówił mi o tym.

Siedziała przez dłuższą chwilę w milczeniu, po czym zapytała przyciszonym głosem:

— A nie będzie pan mógł mi pomóc?

— Czy to znaczy, że pragnie pani, abym się starał?

— Pragnę, aby pan się zorientował, że to niemożliwe — rzekła. — Jestem pewna, że wszelkie rozmowy na ten temat nie doprowadzą do niczego. Związane to jest częściowo z jego fizycznym niedomaganiem, które kiedyś prawdopodobnie minie, lecz żaden lekarz temu nie może zapobiec.

— Rozumiem — rzekł Bill. — Przrzekam pani, że nie będę go zmuszał do zmiany poglądów. Wszelka presja na nic by się nie zdała. Będę się starał mu pomóc tylko wtedy, gdy mnie o pomoc poprosi. .

— Jest pan niezwykłym człowiekiem — oświadczyła, odetchnąwszy' z ulgą. — Takim postępowaniem wyświadczy mi pan wiele dobrego. Jestem pewna, że nie zniósłby żadnego nacisku. Wszelki przymus usposobiłby go jeszcze bardziej pesymistycznie.

— Tak, wiem o tym — odparł Bill. — Nie należę do tych pastorów, którzy pragną nawracać ludzi. Sam nie lubię, gdy się ktoś wtrąca do moich spraw, bo uważam, że nikt nie ma do tego prawa. A propos. Niech pani nie chodzi do tej wiedzmy Phippsowej. Ta wizyta jest przecież moim obowiązkiem.

— Pan wybaczy, podjęłam się i już ten obowiązek spełniłam — zaprotestowała pani Rivers ze śmiechem. — Właśnie wracałam stamtąd.

— Była pani! — zawołał. — A ja tam przecież szedłem.

— Za późno! — śmiech jej był teraz jeszcze dźwięczniejszy. — Byłam, widziałam i zwyciężyłam!

— Była pani? — zawołał znowu, a po chwili już spokojniejszym tonem: — Zdołała ją pani przekonać?

— Ta misja nie przedstawiała żadnych trudności — zapewniła go. — Pani Phipps była bardzo uprzejma.

Najgościnniejsza dama londyńska nie okazałaby mi więcej serdeczności.

— Dla pani trudno być innym — zauważył.

— Proszę nie bredzić! — oburzyła się. — Zapewniam pana, że nie jestem znowu dla wszystkich taka sympatyczna, nie wszyscy są mną do tego stopnia zachwyceni. Istotnie, czasami, w chwilach depresji, dziwię się, że ktokolwiek w Rićkaby chce ze mną jeszcze rozmawiać. Są tutaj i tacy ludzie, którzy mnie uważają za pustelnicę.

Bill zarumienił się.

— Ma pani na myśli starego generała Farjeona? On zawsze sprawia dziwne wrażenie. Taki już ma sposób bycia.

— O, nie — zaprotestowała. — Wcale nie o nim myślałam. Więc on mnie także nie lubi?

Twarz Billa stała się purpurowa.

— Jest to człowiek mający niewiele do czynienia z kobietami. Bardzo żałuję, że go do pani przyprowadziłem.

— Nie ma czego żałować — odparła łagodnie. — Nie wątpię, że ma dobre serce i można z nim całkiem przyjemnie porozmawiać. Będąc na pańskim miejscu jednak, nie ulegałabym tak jego wpływowi.

Bill poruszył się niespokojnie.

— Generał jest zarozumiałym starym głupcem, jeśli chce pani wiedzieć.

— Wcale nie chcę wiedzieć — zauważyła z uśmiechem. — Prawdopodobnie ma więcej rozumu, niż się panu zdaje.

Nie można ludzi sądzić z pozorów.

— Znów ta pani wyrozumiałość! — wyszeptał Bill.

— O tak, mam jej trochę — odparła żartobliwie. — Nie dręcę nikogo, ale wystarczy mi jej na Własne potrzeby.

Wracając do pani Phipps, muszę panu zakomunikować, że przyrzekła jutro zaszcześcić dzieciom ospę.

— Przekupiła ją pani? — zapytał Bill.

— Przekonałam ją tylko — odparła pani Rivers. — Przyznaję, że zabawiłam przez chwilę najmłodsze dziecko.

Przykro mi było tylko na samą myśl, że właściwie ta nasza misja jest całkiem bezowocna, bo maleństwo i tak długo nie pożyje. Co za różnica, czy umrze na ospę, czy też na jakąś inną chorobę?



— Na ogół dzieci pani Phipps dobrze się chowają — uśmiechnął się Bill. — Ale jak ładnie z pani strony, że się pani tym maleństwem zajęła!

— Ogromnie lubię dzieci — odparła z prostotą.

— Ja nie bardzo — oświadczył szczerze Bill. — W każdym razie nie lubię tego typu dzieci. Ale wracajmy do rzeczy! Co jeszcze pani załatwiła?

— To wszystko — odparła pani Rivers. — Niedługo tam zabawiłam. A ten śmieszny starzec w sąsiedniej chacie, który stał oparty o furtkę, żując tytoń, zatrzymał mnie, pytając, czy jestem opiekunką dzielnicową.

— Joe Pemberton!

— Zdaje się, że tak się nazywa — skinęła głową. — Wyjaśniłam mu, że jestem tylko znajomą pani Phipps. Wówczas wypluł trzymany w ustach tytoń i zaprosił mnie do siebie. Widocznie pani Phipps jest sławną osobistością w tej dzielnicy.

— I weszła pani do niego? — zaniepokoił się pastor.

— Nie, nie weszłam. Zbierało się na burzę, więc nie chciałam zbyt długo przebywać poza domem. Obiecałam mu jednak, że go któregoś dnia odwiedzę. Ma podobno chorą żonę, więc trudno mu było odmówić.

— Czy wie pani, co pani robi? — zapytał.

— Sądzę, że tak — uśmiechnęła się pani Rivers. — Czemu pan pyta?

— Ci wszyscy ludzie zakochają się w pani oznajmił. — I oczywiście, wcale nie będę się temu dziwił. Wkrótce nie starczy pani czasu na doradzanie tym wszystkim biedakom. Istnieje taki Sammy Cross, który żyje z dnia na dzień nadzieją, że „dama, która mówiła jak anioł”, odwiedzi go jeszcze przed śmiercią.

— Ach, kochany staruszek! — zawołała. — Przyrzekłam i wpadnę do niego! Muszę!

— Tak, ale... — szepnął Bill.

— Już wiem. Myśli pan, że pani Winch nie będzie z tego zadowolona. Obiecuję nie wchodzić jej w drogę. — Znowu śmiech zabrzmiał w głosie pani Rivers. — Przecież nie mam zamiaru kierować się jakimś regularnym systemem odwiedzin, więc przypuszczam, że nie będzie miała o to do mnie pretensji. Niech jej pan to wytłumaczy w moim imieniu. — Podniosła się z miejsca. — Złożyła mi dzisiaj wizytę. Bardzo

ładnie z jej strony! Ale nie wpuścili jej. Ogromnie lubię tę jej pannę Barnet. Zawarłyśmy z sobą przyjaźń przed kilku dniami. Szalenie miła kobieta! Uważam, że mężczyźni czasami są naprawdę ślepi.

— Tak pani sądzi? — uśmiechnął się Bill. — Jeżeli idzie o pannę Barnet, to w zupełności zgadzam się z panią. Ale proszę mnie nie zaliczać do grona zasmuconych! Zalety jej poznałem już dawno.

Wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Pojmuje pan chyba, co mam na myśli. Uderzyła mnie jej niepowszednia wielkoduszność. Jest nieprzeciętną kobietą, pozbawioną wszelkiego egoizmu.

— A zdziwi się pani, jeżeli powiem, że właśnie i w pani mnie to uderzyło?

— Ach nie! — zaprzeczyła. — Nie, nie! — Nie ulegało wątpiliwości, że zaprzeczenie to wypowiedziała z bólem, a nawet z jakimś dziwnym przerażeniem. Wyciągnęła doń rękę na pożegnanie. — Myli się pan, proszę mi wierzyć! Proszę sobie nigdy takich rzeczy nie imagiować! Absolutnie taka nie jestem.

Przyszło mu na myśl, że jeszcze nigdy dotychczas nie widział jej tak głęboko dotkniętej. Jej zmieszanie było tak widoczne, że wzruszył się, spoglądając na nią. Trzymał jej dłoń przez chwilę w uścisku, lecz nie mogła mieć o to do niego żalu.

— Pojmuje, co pani ma na myśli — rzekł. — Proszę się nie denerwować. Ja rozumiem. Czy naprawdę musi pani już iść? Jeżeli tak, to odprowadzę panią do domu.

— Ależ to zbyt uczte! — upierała się.

— A jednak odprowadzę! — odparł. — Sądzi pani, że nie odprowadziłbym w takiej sytuacji panny Barnet czy pani Winch?

— Ale przecież ja nie jestem żadną z nich — zaprotestowała.

— Idę z panią.

— Ależ... — powtórzyła znowu. — Idę — rzekł stanowczo Bill.

— A gdybym wolała, żeby pan nie szedł?

— To poszedłbym mimo wszystko. Zaśmiała się z przymusem.

— Wobec tego chodźmy! — skapitulowała.

— Chodźmy — rzekł Bill i otworzył przed nią drzwi.

Bill otworzył swój wielki parasol, bo deszcz wciąż jeszcze padał. Burza przycichła, tylko z oddali dochodziły jeszcze pomruki grzmotów.

— Ciekawa jestem, czy prędko się wypogodzi — rzekła pani Rivers.

— Mam wrażenie, że zaniósło się na kilka dni — odparł Bill.

— Nie daj Boże — westchnęła. — Gaspard nie może sypiać podczas niepogody, a przy tym jest tak zdenerwowany, że trudno go uspokoić.

— Nie powinniśmy go traktować jak chorego — zauważył pastor.

— Wiem o tym i najbardziej się tego lękam — przyznała z westchnieniem. — Sam się biedak buntuje, mimo to jednak osłabione serce nie pozwala mu na wiele rzeczy.

— Wyrośnie z tego — pocieszał proboszcz.

— Daj Boże — szepnęła z powątpiewaniem.

— Czy nigdy nie był zupełnie zdrowy? — zapytał Bill.

— Owszem — odparła z pewną dumą. — Był najzdrowszym i najweselszym dzieckiem. Organizm też miał ogromnie odporny. Wszyscy twierdzili, że wyrośnie z niego silny mężczyzna. Och, był nadzwyczajny! Ale to już bardzo, - bardzo dawno. — Głos jej zdrzął przy tych słowach. — Biedny Gaspard! — dorzuciła.

— Jak to dawno było? — zapytał Bill.

Zaległa chwila ciszy, zanim zdecydowała się odpowiedzieć.

— Przechodził niebezpieczną chorobę, gdy miał lat siedem. Nikt właściwie nie wiedział, co to było, a ja przypisywałam to wszystko jakiemuś zatruciu. Chociaż wyleczył się z tego, nie był już tym samym dzieckiem, nigdy potem sił nie odzyskał. Nerwy dokuczały mu ciągle i chociaż uczęszczał do szkoły, do takiej specjalnej dla chorowitych chłopców w Konwalii, należało go otaczać troskliwą opieką. Zawsze planował, że gdy dorośnie, zacznie studiować sztukę w Paryżu, marzenie to jednak nigdy się nie ziściło. W czternastym roku życia znowu ciężko zachorował i od tego czasu już nigdy nie odzyskał zdrowia.

— To pani z Benedyktem mieliście dużo kłopotu w ciągu ostatnich czterech lat?

Znowu zaległa chwilowa cisza.

— Tak, to prawda — odparła wreszcie. — Benedykt jest bardzo do nas przywiązany, ale wątpię, czy jego wpływ na Gasparda jest taki dobry, chociaż czyni wszystko z uczucia do chłopca. Uważa nas za swą osobistą własność. Zna jpan przecież postępowanie starych sług. Nie posuwa się wprawdzie za daleko, ale często jest męczący. Jesteśmy zupełnie uzależnieni od jego nastrojów.

— Rozumiem — rzekł Bill. — Benedykt jest wiernym psem, lecz uważa się jednocześnie za opiekuna i częstokroć głośno szczeka. Już teraz jego zachowanie mnie nie przeraża, gdy wiem, że mogę być pożyteczny dla pani i Gasparda.

— Dziękuję panu — szepnęła. — Sądzę, że i on się w tym orientuje. Doszli do bramy Beech Mount i Bill stanął tuż za nią. Nie czyniła

dalszych protestów, gdy obydwójce poczęli iść szeroką lipową aleją.

— Tu jest cudownie! — rzekła po chwili. — Ogromnie lubię tę posiadłość.

— Dzięki Bogu! — uśmiechnął się Bill. Dotarli już prawie do drzwi wejściowych.

— Dlaczego? — zapytała nagle.

— Bo skoro ją pani lubi, to zostanie pani tutaj — odpowiedział.

— Ach! — wyszeptała. — Nie jestem jeszcze zupełnie zdecydowana.

— O, niech pani stąd nie wyjeżdża! — powiedział z przejęciem. — Przyrzekła pani przecież.

— Co przyrzekłam? — pytanie jej było spokojne, lecz wywarło na nim dziwne wrażenie.

Dął natychmiastową i szczerą odpowiedź:

— Przyrzekła pani nie pamiętać o moim idiotycznym dzisiejszym zachowaniu. Przecież to było przyrzeczenie, prawda?

— Ach, nie o tym w tej chwili myślałam. Bill uśmiechnął się.

— Szczęście dla mnie! — zauważył sucho. — Przypuszczam jednak, że nie wyjedzie pani stąd dla żadnego innego powodu.

— Sama nie bardzo bym chciała — odparła w zamyśleniu. Ciekawy był, co miała na myśli, lecz postanowił nie pytać. Byli już

przy drzwiach. Zamierzał się pożegnać.

— Więc dobrej nocy! Serdeczne dzięki za tyle dobroci. Przyrzekam,

przysięgam pani, że nie zawiodę nigdy jej zaufania. — Słowa te wypowiedział z głęboką powagą.

— Niepotrzebnie mi pan to mówi — rzekła i uśmiechnęła się tym swoim czarującym uśmiechem. — Za dobrze pana znam, abym mogła w to wątpić.

I znowu przez chwilę ręka jej spoczywała w jego dłoni, wreszcie Bill pochylił się, aby otworzyć jej drzwi, lecz zaledwie to uczynił, ujrzał na progu Benedykta. Stary służący był bardzo podniecony, co uzewnętrzniało się na jego twarzy.

— Hallo! — zawołał mimo woli Bill.

Służący uczynił niewyraźny ruch, jakby z wysiłkiem zdobywał się na spokój. Wzrok jego skierował się wprost na panią Rivers i począł coś śpiesznie mówić do niej po francusku. Bill nic nie rozumiał, lecz, gdy spojrzał na nią, zauważył, że pobladła. Coś, niby przestach odzwierciedliło się w jej oczach, jednak po chwili przygasło.

— Bardzo pana przepraszam — zwróciła się doń po chwili. — Gaspard mnie wzywa.

Bill sam nie wiedział potem, jakim cudem zdobył się na taką odwagę. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lecz postanowił zaryzykować.

— Pójdę z panią — oświadczył.

Przesłała mu zdziwione spojrzenie, ale ponieważ zaproponował to tak stanowczo, nie wyrzekła ani słowa protestu. Weszła do wnętrza domu i poczęła biec na górę bardzo śpiesznie, on zaś szedł za nią.

Skierowali się do pokoju, w którym Bill odwiedził Gasparda tego popołudnia. Drzwi pokoju były zamknięte. Pani Rivers przycisnęła klamkę, lecz bezskutecznie. Położyła na klamce obydwie dłonie, zadyszana, pozornie spokojna.

— Gaspard! — zawołała. — Gaspard! Wpuść mnie, kochanie!

Z wnętrza nie było odpowiedzi, tylko ciszę mrocznego korytarza przerywał plusk padającego wciąż deszczu. Pani Rivers poczęła nasłuchiwać uważnie z pochyloną głową, po czym zawołała jeszcze głośniejszym głosem:

— Gaspard, to ja, twoja matka. Otwórz drzwi, kochanie! Wpuść mnie!

Lecz i tym razem nie było odpowiedzi.

Bill zdawał sobie sprawę, że tuż za nim stoi Benedykt. Obejrzał się i wzrok jego w mrocznym korytarzu spotkał się na chwilę z błyszczącymi oczami Francuza, w których czaiła się wyraźna niechęć. Bill raczej niechęć tę wyczuł, bo bytę zbyt ciemno, aby ją mógł dokładnie widzieć. Nagle pani Rivers zwróciła się doń. Była zupełnie spokojna, lecz zdecydowana na coś i przeniknięta wzrastającą energią.

— Musimy wyłamać drzwi — rzekła.

Wypowiedziała to dość głośno i nagle z wnętrza pokoju doszedł jakiś szmer, czyjeś niepewne ruchy. Odwróciła się znowu ku drzwiom i rzekła, tym razem rozkazująco:

— Gaspard, otwórz mi drzwi natychmiast! Otwieraj prędko! Dobiegł ich uszu głos Gasparda, w którym brzmiała rozpacz:

— Mamo, jesteś... jesteś sama? Odpowiedziała bezzwłocznie:

— Benedykt jest ze mną i mr Quentin.

— Nikt więcej? — zapytał Gaspard tym samym rozgorączkowanym szeptem. — Jesteś pewna?

— Nikogo nie ma — odparła pani Rivers stanowczo. Zapadła cisza. Potem czyjaś niepewna dłoń spoczęła na klamce.

Zdawać się mogło, że ktoś otwiera drzwi po omacku.

— Prędko! — przynaglała pani Rivers.

— Mamo! — znowu rozpacz zabrzmiała w głosie Gasparda. — Mamo! Czy... czyś go nie widziała?

Odpowiedziała mu całkiem spokojnie jak rozkapryszonemu dziecku: <sup>v</sup>

— Nie. Widziałam tylko mr Quentina. Jest teraz tutaj ze mną. Czekamy, żebyś otworzył drzwi.

Niepewna dłoń poruszyła się znowu, namacała klucz i przekręciła go w zamku. Pani Rivers trzymała wciąż za klamkę. Przycisnęła ją energicznie.

— Prędko, Gaspardzie! — powtórzyła.

Drzwi się otwały i ujrzeli przed sobą drżącego Gasparda o posiniałych wargach. Cofnął się w głąb pokoju, gdy wchodziła matka, jakby się bał spotkać z jakimś wyrazem niechęci z jej strony. Ona jednak podeszła doń śpiesznie i położyła ręce na jego ramionach.

— Mój drogi chłopcze! — wyszeptała z czułością.

Ramiona chłopaka oplotły szyję matki. Skłonił głowę na jej piersi.

— Mamo! Ach, mammo! — zawołał, spoglądając na nią. — Zamknij natychmiast drzwi! Nie pozwalaj tu nikomu wchodzić.

Bill cofnął się, lecz chłopak w tej chwili go dostrzegł.

— Wiesz, że nie ciebie miałem na myśli — zawołał.

Bill postąpił znowu naprzód, mając wciąż to przeświadczenie, że Benedykt pragnie go stąd wyrzucić. Gdy wszedł do pokoju, zauważył, że twarz Gasparda była już spokojniejsza.

— Dziękuję panu — szepnęła pani Rivers.

Gaspard wciąż jeszcze tulił się do matki i nawet wówczas, gdy Bill podprowadził go w stronę kanapy, nie wypuścił jej dłoni ze swego uścisku.

— Widziałem go, mammo! Widziałem go! — wypowiadał te słowa gorączkowo, jakby lękając się, że mówiąc o tym, sprowadzi znowu znienawidzone widmo. — Tam, na dole! Pod jodłą! — Rzucił przeraźliwe spojrzenie w stronę okna. — Czy jest tam jeszcze?

— Nikogo nie ma, kochanie — rzekła pani Rivers spokojnie. — Musiałeś mieć jakiś zły sen. Tam nie ma nikogo.

— To nie mógł być sen — zaprotestował Gaspard drżącymi wargami. — Czy burza także mi się śniła? Widziałem go w blasku błyskawicy. Mamo! Mamo!

Ujęła obydwie jego dłonie, spoglądając mu prosto w oczy.

— Mylisz się, mój chłopcze — rzekła. — Tam nikogo nie było. Jesteś dzisiaj zdenerwowany i fantazja cię ponosi.

Benedykt przyniósł ci lekarstwo! Wypij, a będziesz się czuł lepiej.

Stojąc w pobliżu kanapy, Bill obserwował służącego, który się pochylał ze szklanką nad chłopcem. Twarz Benedykta sprawiała wrażenie maski, lecz długie wąsy, sięgające policzków, drżały mu jakby pod wpływem jakiejś emocji, której na zewnątrz ten człowiek nie okazywał.

Pani Rivers spojrzała na Benedykta z wdzięcznością.

— Dziękuję Benedyktowi — rzekła.

Gaspard pił, połykając lekarstwo z konwulsyjnym wysiłkiem. Potem przez chwilę leżał spokojnie z zamkniętymi oczami, z rękami zaciśniętymi na kolanach matki. Pani Rivers siedziała przy nim bez ruchu, mając wzrok wyteżony i pełen niepokoju.

Powoli rumieniec począł występować na policzki chłopca i usta zaróżowiły się. Pani Rivers wreszcie odwróciła głowę i spojrzała na Billa, już zupełnie spokojna. Milczała jednak. Po dłuższej chwili ciszy Gaspard otworzył oczy. Wzrok jego poszybował natychmiast w stronę Billa i chłopak przesiał pastorowi błądy uśmiech.

— Miałeś ładne przedstawienie, stary! — wyszeptał.

— Czujesz się lepiej? — zapytał Bill troskliwie.

— Tak. Lepiej. Nie wiem, dlaczego robię z siebie takiego głupca. Przypuszczam... przypuszczam, że to z powodu burzy.

Spojrzał pytająco na matkę, która natychmiast odpowiedziała:

— Oczywiście, że z tego powodu, kochanie. Burza ma wielki wpływ na nerwy.

Gaspard rozejrzał się dokoła niespokojnie.

— Czy burza już minęła?

— W danej chwili tak — odparł Bill, — ale nie należy się lękać, gdy ponownie nadciągnie.

— Szliście lipową aleją? — zapytał znowu Gaspard.

— Tak, naturalnie — odparła pani Rivers.

— I nie spotkaliście nikogo?

— Nikogo nie było — odparł Bill. Gaspard westchnął lękliwie.

— Wobec tego... wobec tego musiałem się mylić. Nie miej do mnie żalu, mamó.

— Zapomnij o tym, kochanie! — szepnęła. Łagodnie wyswobodziła się z uścisku jego rąk.

— Nie odchodź! — prosił Gaspard.

— Mama musi odejść! — wtrącił Bill rozkazującym tonem, który był dla niego samego niespodzianką. — Szliśmy podczas deszczu i mama zupełnie przemokła. Zostanę tu przy tobie, nim się przebierze — dorzucił.

Pani Rivers spoglądała nań przez chwilę ze zdziwieniem, lecz posłusznie wstała.

— Zostaniesz z Mr Quentinem kochanie — zwróciła się do syna.

— O tak. Nie będę miał żadnych złych snów, gdy on będzie przy mn*e* — odparł Gaspard. Lecz, gdy tylko matka skierowała się ku drzwiom, poprosił Billa, aby usiadł przy nim. — Każ Benedyktowi odejść! — wyszeptał.



— Benedykt zejdzie na dół, aby ci przygotować obiad — rzekła pani Rivers. — Jeżeli... Bill... zechce zostać przy tobie do mego powrotu

Wypowiadając to imię, przesłała Billowi przyjazny uśmiech, z uśmiechu tego zrozumiał jednak, że pragnęła mu się tylko jakoś odwdziaczyć Wyszła zaraz, a gdy drzwi się za nią zamknęły, Gaspard chwycił Billa za rękę.

— Słuchaj, Bill — zawołał — przecież jesteś pastorem. Czy lękasz się złych duchów?

— Nie, chociażby nawet spacerowały po lipowej alei — odparł Bill z uśmiechem.

Gaspard zadrżał nagle.

— Myślisz, że kłamałem? — zapytał. Bill przyjaźnie uściśnął rękę chłopca.

— Nigdy bym cię o to nie podejrzewał — odparł. — Ale nie widziałeś przecież złego ducha, więc powinieneś przestać myśleć o tym

— Mówię ci — wyszeptał Gaspard z gorączkowym uporem — że widziałem go tak dokładnie, jak ciebie teraz widzę.

— Bardzo wątpię — odparł Bill niewzruszenie.

— Wciąż utrzymujesz, że nie widziałem? — jęknął Gaspard.

— Istnieją podniecone umysły i wzrokowe złudzenia — odparł Bill uspokajająco. - Właśnie ty mogłeś czegoś takiego doznać.

Gaspard westchnął znowu.

— Zdaje mi się, że nigdy mi nie uwierzysz — wyszeptał.

— Nigdy — przyznał Bill stanowczo.

— Wobec tego... nie ma o czym mówić — orzekł Gaspard.

— Słusznie — przyznał i tym razem Bill.

Gaspard przymknął oczy, jakby uspokojony nieco. Po chwili jednak otworzył je i spojrzał badawczo na siedzącego przy nim mężczyznę.

— Sądzę, że uważasz mnie za straszego osła — zawołał.

— Właściwie tak — przyznał znów Bill.

— Ale nie będziesz śmiał się ze mnie z tego powodu? — zapytał znowu chłopak z niepokojem w głosie.

— Skądże, człowieku! — zawołał Bill. - Zdziwisz się, gdy ci powiem, że cię coraz bardziej lubię.

Niepokój zniknął z twarzy Gasparda. Wyglądał i mówił teraz całkiem normalnie.

— Postaram się zapomnieć o tym wszystkim — wyszeptał.

— Postaraj się, przyjacielu — uśmiechnął się Bill. — A teraz, na miłość boską, pozwól mi zapalić papierosa.

— Boże święty, oczywiście! — ręka Gasparda wypuściła z uścisku dłoń pastora. — Tak mówisz, jakbyś nie palił już od kilku godzin.

— Istotnie — przyznał Bill.

— Ale dlaczego? Co robiłeś?

Bill zaciągnął się już dymem. Uśmiechnął się trochę tajemniczo i odpowiedział:

— Pokonywałem niemożliwości.

— Co takiego? — zaciekał się Gaspard.

Bill rzucił trzymaną w ręku zapalną i znowu się zaciągnął dymem. Wreszcie odpowiedział z zupełną powagą:

— Usiłowałem nie palić, mój chłopcze. Tylko prawdziwy palacz może pojąć, jakie to trudne przedsięwzięcie!

\*

\* \*

Bill wracał na plebanię z sercem dziwnie lekkim. Deszcz jeszcze padał, lecz burza ucichła zupełnie. Ziemia tchnęła upojną wonią i pastorowi zdawało się, że przy każdym oddechu odczuwał jakiś nieznany dotychczas powiew, który mu przywodził na myśl dalekie podzwrotnikowe kraje.

Nie zatrzymując się, wszedł do wnętrza domu. Zmrok zapadał, ten tajemniczy zmrok majowy; o szyby okienne gabinetu dzwonił miarowo padający deszcz. Bill przystanął na chwilę, nasłuchując i całkiem niespodziewanie przyszła mu na myśl Ellen Barnet, wrywająca niesforne chwasty w ogródku pani Winch.

— Będzie miała, biedactwo, mnóstwo roboty — pomyślał — nie upora się łatwo z zielskiem, wyrosłym po deszczu, a tymczasem stara Winchowa odpocznie sobie. Nie pojmuję, dlaczego ludzie są tacy samolubni! Ta Ellen nie zdaje sobie zupełnie sprawy z własnego wdzięku.

Usiadł rozmarzony, lecz wkrótce otrząsnął się z tego.

**123**

— Do licha, nie wolno mi! Przecież jestem dla tej kobiety zupełnie nieodpowiedni. Nie stanowią jej typu. A jednocześnie lubi mnie trochę, dzięki Bogu, więc i tym się należy pocieszyć. Może... kiedyś..! — Umilkł. Znowu miał wrażenie, że odczuwa w mrocznym pokoju obecność ukochanej istoty. Uległ dziwnemu czarowi i wstrzymywał oddech jakby w oczekiwaniu na czyjś znak.

Nic jednak nie usłyszał, tylko ćwierkanie wróbli za oknem nie ustawało, mimo zapadającej nocy. Bill odetchnął wreszcie głęboko i rzekł do siebie:

— Ten sam czar posiadają obydwie, czar tajemniczego męczeństwa To, co zawsze tak podziwiałem u Ellen Barnet, lecz u tamtej ten czar połączony jest jeszcze z czymś, czego Barnetówna nigdy nie miała.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, przepojonym jednak odrobiną smutku.

— Przypuszczam, że bliższy jestem poczciwej Ellen, niż tamtej Ciekawe, czy Ellen też by mi dała kosza. Chciałbym ogromnie się o tym przekonać, ale prawdopodobnie nie dowiem się nigdy.

Westchnął i odszedł od okna. W pokoju panowała pustka i coraz większe ogarniały go ciemności. Zapalił lampę na biurku, usiadł.

Przez chwilę siedział bez ruchu, zatopiony w myślach, potem nagle sięgnął po papier i zaczął pisać.

Po upływie pół godziny pani Henderson dziwnie energicznie otworzyła drzwi, meldując:

— Major Kenyon, sir. Mam nakryć do kolacji na dwie osoby? Bill podskoczył na krześle, upuszczając z ręki pióro. Sprawiał

wrażenie człowieka zbudzonego nagle z głębokiego snu. Pani Henderson zresztą zwykle utrzymywała, że był „nieprzytomny”, gdy redagował swe kazania.

— Major, jaki? — zapytał Bill, lecz nagle dostrzegł wysoką męską postać tuż za panią Henderson. — Tak, tak, oczywiście. Niech kolacja będzie gotowa. Bardzo proszę, panie majorze! Nie poznałem pana w pierwszej chwili. Ale na miłość boską, człowieku, pan jest zupełnie przemoczony!

Istotnie Stafford był tak mokry, że z płaszcza jego woda spływała strumieniami. Wszedł ociężałym krokiem jak człowiek, którego siły opuszczają.

— Bardzo mi przykro, że panu przeszkadzam — rzekł. — Zmokłem wprawdzie, ale znów nie tak bardzo.

Bill spojrział na gościa i rzucił za wychodzącą już panią Henderson:

— Proszę o dwie szklaneczki! — po czym zwrócił się znowu do Stafforda: — Niech pan siada! Pogodę mamy dzisiaj okropną. Bardzo miło z pańskiej strony, że mnie pan raczył odwiedzić.

Stafford począł chodzić po pokoju, kołysząc się w biodrach, co było jego zwyczajem, chociaż w tej chwili w gruncie rzeczy ledwo trzymał się na nogach.

— Już od dawna miałem ten zamiar — zauważył po dłuższej chwili milczenia. — Ale wie pan, jak to się zawsze układa.

Bill przyglądał mu się z uwagą. Co prawda niezbyt dobrze znał Stafforda, jednakże orientował się, że major dzisiaj był specjalnie podniecony.

— Nie zawsze czas dopisuje — przyznał. — Ale lepiej później niż nigdy, szczególnie, jeżeli dzisiaj mogę się panu na coś przydać.

Stafford zbliżył się doń.

— Dziwne — wyszeptał — że pan odgadł moje myśli. Przypuszczam, że się nie mylę, iż ma pan duży wpływ na mego wuja.

— Ja bym tego nie powiedział — odparł Bill ze skromnością. Stafford stanął przed nim, chwiejąc się dziwnie na nogach.

— Jeżeli nie pan, to któż może mieć wpływ?—zaprotestował. — Do nikogo nie mam takiego zaufania. Zresztą wuj ciągle wspomina o panu.

— Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na to — szepnął Bill.

— Ja także nie wiem — odparł Stafford z uśmiechem. — Ale fakt zostaje faktem i sędzę, że pod tym względem wuj ma słuszność. W późniejszym wieku zawsze człowiek przywiązuje się do kogoś silniej, choć na jego przywiązanie też bardzo liczyć nie można. W tej chwili weszła pani Henderson ze szklankami na tacy; postawiła je na biurku. Bill przeszedł przez pokój do stojącego w kącie kredensiku, z którego wyjął omszałą butelkę.

— Napije się pan, to pana rozgrzeje!

Stafford pochylił się nad kominkiem z jedną ręką w kieszeni, usiłując za wszelką cenę zapanować nad swym podnieceniem.

— Pan jest naprawdę bardzo miły! — wybąkał. — Napiję się, ale tylko odrobinę! Dziękuję! Zupełnie wystarczy.

Sięgnął po szklanke, lecz ręka mu tak drżała, że z pewnością wylałby całą zawartość, gdyby nie baczna uwaga Billa. Gdy wychylali szklanki, spojrzenia ich spotkały się, po czym Bill nagle zapytał.

— O co chodzi? Coś poważnego?

Stafford odstawił wypróżnioną szklanke i milczał przez chwilę, nie dając żadnej odpowiedzi.

— Raczej tak — rzekł wreszcie. — Słyszał pan pewno o zamiarach mego wuja?

— O jakich zamiarach? — zapytał Bill.

— W kwestii małżeństwa — wyjaśnił Stafford z takim trudem, jakby poruszał bardzo nieprzyjemny dla siebie temat.

— Małżeństwa! — zdziwił się Bill. — Owszem tak! Znam jego zamiary, tak samo zresztą jak i pan. Jeżeli pragnie pan mojej sympatii to posiadł ją pan w zupełności. Niech mu pan nie ulega, na miłość boską! Wkrótce zrezygnuje z tego!

— Nie ulegać mu! — Stafford otworzył szeroko oczy. — Przecież tu nie ma mowy o żadnej uległości. Nie pytał mnie nawet o pozwolenie.

Teraz z kolei zdziwienie odmalowało się na twarzy Billa. Czyż ten człowiek oszalał? Istotnie w tej chwili wyglądał trochę nieprzytomnie.

— Ale przecież nie może pana ożenić wbrew pańskiej woli! — zawołał.

— Mnie ożenić! — Stafford zaśmiał się głośno. — Niech pan nie żartuje! To się nie nadaje do żartów.

— Absolutnie nie żartuję — zaprotestował Bill poczynając już zastanawiać się nad tym, czy burza nie podziałała źle na jego gościa. — Przecież o tym była mowa dopiero dzisiaj po południu i dziwiłem się, że człowiek przy zdrowych zmysłach może przyjąć poważnie taką propozycję.

— Jaka to była propozycja? — zapytał Stafford, odzyskując równowagę.

— Chodziło o pańskie małżeństwo — odparł pastor.

— O moje małżeństwo! Ale z kim? — Stafford chwycił znowu szklanke, jakby przygotowując się do walki.

— Naturalnie z Molly Morton. Chyba wie pan o tym, że stary ogromnie tego pragnie.

— Nie mam absolutnie pojęcia — odparł Stafford, dla którego to

wszystko, co usłyszał, było prawdziwą niespodzianką. — W każdym razie teraz już o tym nie ma mowy. On sam ma zamiar się z nią zenić. Wszystko zostało omówione dziś przed wieczorem.

— Co takiego? — zawołał Bill.

Stafford ponownie napełnił szklanę i wychylił ją do dna. Gdy odstawił szklanę na biurko, wyraz jego twarzy był już całkiem naturalny.

— Załatwili tę sprawę dzisiaj przed wieczorem — powtórzył. — Ze strony Molly jest to akt zemsty. Mam zupełną pewność. Ale mój wuj traktuje tę sprawę całkiem poważnie. Właśnie dlatego przyszedłem do pana.

— On chyba zwariował — wyszeptał Bill.

— Wcale nie on — uśmiechnął się Stafford.

— Ale dlaczego akt zemsty? — indagował Bill. Stafford zawahał się przez chwilę.

— Molly uwzięła się na mnie — rzekł wreszcie. — Ostatnio bardzo pragnie wyjść za mąż, a ja się nie śpieszyłem z oświadczeniami. Oczywiście zdecydowałem się na to już dawno, ale...

— I zdecydował się pan z nią ożenić? — zapytał pastor. Stafford skinął głową.

— Na miłość boską! — jęknął Bill.

— Przypuszczam, że pan ją zna? — zagadnął major.

— Owszem, znam ją.

Bill odwrócił się nagle i nalał wina do szklanki. Ta sytuacja była stanowczo niezwykła. Pragnął usiąść na chwilę i zaczerpnąć powietrza.

— Koniecznie trzeba temu zapobiec — zawołał Stafford. — Jestem pewny, że ma pan na niego duży wpływ. Wiem, że pan mógłby temu zapobiec, gdyby pan chciał.

— Na to nie można liczyć!

— To jest jedyna moja nadzieja — zawołał Stafford rozpaczliwie.

— Niech się pan jeszcze napije trochę — zaproponował Bill — a potem musi pan się przebrać.

— Kiedy wcale nie jestem przemoczony — usprawiedliwiał się major.

— Proszę nie być dziwakiem! Przemókł pan do nitki. Widocznie szedł pan tutaj podczas największego deszczu?

— Zdaje się, że tak — odparł Stafford, popadając w zamyślenie.  
— Gdy wychodziłem, piorun strzelił w dom.  
— W jaki dom? — Bill znowu zaczął go podejrzewać o brak przytomności.  
Stafford zauważył to i uśmiechnął się z ironią.  
— Jestem zupełnie przy zdrowych zmysłach — zaznaczył. — Piorun strzelił w Hatchstead Place, ale mam wrażenie, że uszkodził tylko komin. Było to w chwili, gdy wychodziłem. Nie zatrzymałem się nawet, aby sprawdzić, co piorun zniszczył. Wcale mnie to nie interesowało.  
— Ale staremu nic się nie stało? — zapytał Bill niespokojnie.  
— O, niech pan będzie spokojny! Cieszy się najlepszym zdrowiem. Jest w doskonałym humorze po zaręczynach z młodą dziewczyną.  
— Już mu pan powinszował? — zapytał Bill.  
— Mniej więcej. — Stafford przyglądał się teraz swoim butom.  
— Ale trzeba stanowczo temu zapobiec. Nie mpźna na to pozwolić. Ktoś musi interweniować.  
— Powiedziałbym, że jest to obowiązkiem ojca dziewczyny — zauważył Bill.  
— Istotnie? A pan sądzi, że stary Morton kiwnie chociaż palcem w tej sprawie?  
Bill mimo woli przyznał Staffordowi słusność.  
— Jeżeli ona sama jest tak przebiegła...  
— Och, wybaczy pan — oburzył się Stafford. — Molly jest bardzo uparta. Zresztą wolałbym o niej w tej chwili nie mówić.  
— Więc pan naprawdę ją kocha? — zapytał Bill.  
Stafford wypróżnił drugą szklankę i wyprostował się energicznie.  
— Mój drogi panie — zawołał — sądzi pan, że biegłbym do pana w taki deszcz, gdybym jej nie kochał?  
— Nie, nie sądzę — uśmiechnął się pastor. — Ale jednocześnie jestem tym pańskim wyznaniem zaskoczony. Co do Molly, to wątpię, czy istnieje ktoś taki na świecie, kogo by potrafiła obdarzyć jakimś uczuciem.  
— Pan wybaczy — zaprotestował Stafford. — Stanowczo jest pan w błędzie. Molly ma dobre serce, a zaręczyła się ze starym tylko dlatego, żeby mi zrobić na złość. Jestem tego całkowicie pewny.  
— Ja tam jestem pewny tylko jednego, jeżeli chodzi o Molly.

Powiedziałem już panu i więcej tego nie powtórzę. Czy to pan jest tym szczęśliwcem, którego ta dziewczyna darzy swym uczuciem, jeśli wolno spytać?

— Mam na to wystarczająco dużo dowodów — mruknął Stafford.

— A mimo wszystko przyrzekła zostać żoną pańskiego wuja!

— Zemsta, drogi panie! One wszystkie są takie. To znaczy, te wszystkie, które posiadają jeszcze jakąś wartość. Ślub ich nie może się odbyć. Trzeba stanowczo temu zapobiec, tylko pytanie, w jaki sposób to uczynić?

W tej chwili pierpliwosć Billa nagle się wyczerpała.

— Do diabła! — zawołał. — Jeżeli to wszystko, co pan mówi, jest prawdą, to przecież jasne to jak słońce.

Przynajmniej ja osobiście wiedziałbym, co mam robić, gdybym zgłupiał do tego stopnia, żeby się w niej zakochać.

— A co by pan zrobił? — zapytał Stafford, przyglądając się znowu swoim butom z bladym sarkastycznym uśmiechem.

Bill z wściekłością pociągnął ze szklanki kilka łyków.

— A co by zrobił każdy inny mężczyzna? — zawołał. — Oczywiście uciekłyby z nią.

— Nie wywołałoby to skandalu? — zaniepokoił się Stafford. Bill wybuchnął niezbyt przyjemnym śmiechem. Na szczęście jego

gość nie zrozumiał dokładnie znaczenia tego śmiechu.

— Teraz niech się pan przebierze! — zaproponował. — Musi pan zostać tutaj, u mnie przez noc, a później zastanowi się pan nad tym i jakoś się tam ułoży.

— A pan nie mógłby temu zaradzić? — zapytał Stafford.

— Bardzo wątpię — odparł Bill, po chwili jednak dodał całkiem nieoczekiwanie: — Spróbuję, może mi się uda.

— Ogromnie byłoby miło z pańskiej strony — uradował się Stafford. — Stanowczo tak będzie lepiej. Rozumie pan, że nie chciałbym wywoływać skandalu.

— W każdym razie skandalu z pewnością pan nie uniknie, jeżeli ma pan do czynienia z Molly Morton— zaśmiał się Bill.



Nazajutrz rano, pozostawiwszy Stafforda na plebanii, Bill dosiadł swego wierzchowca, postanawiając niezwłocznie zobaczyć się z generałem Farjeonem. Nie oczekiwał zbyt radosnego przyjęcia ze strony generała i jadąc błotnistą drogą w stronę miasteczka, chwilami miał już ochotę zrezygnować ze spełnienia swej misji.

Wreszcie, gdy oczom jego ukazało się Hatchstead Place, odzyskał spokój i zainteresował się widokiem rozwalonego komina. Zbliżywszy się jeszcze bardziej, dostrzegł generała, rozmawiającego z ożywieniem z murarzem, prawdopodobnie na temat naprawy uszkodzonego komina. Widocznie generał miał pretensję do murarza, bo tamten potrząsał głową i po chwili Bill usłyszał jak mówił:

— Takich rzeczy nie można przewidzieć, sir. To są nieprzewidziane wypadki. Po prostu prawo natury.

— Niech diabli wezmą naturę, to mogę panu tylko powiedzieć — zawołał generał. — Niech się pan bierze zaraz do roboty i postawi drugi komin, zrozumiano? A niech go pan teraz tak zrobi, żeby nawet piorun nie mógł go rozwalić. Przecież wszystkie domy w okolicy są w najzupeł-niejszym porządku. Dlaczego piorun wybrał właśnie mój dom?

— Możliwe, możliwe — zgodził się murarz. — Powiadam panu, sir, że takich okoliczności nigdy przewidzieć nie można.

— Niech pan nie filozofuje, bo nie ma o czym — rozkazał generał. — Ile czasu zajmie panu ta robota?

— Trudno określić, sir — odparł murarz-pesymista. — W dzisiejszych czasach nie można nigdy twierdzić na pewno. Nie można nic przewidzieć...

— O, do licha! — wybuchnął generał. — Czy nie mógłby pan przestać zawodzić? Przecież trudno jest mieszkać, nie mając komina. Musi się pan wziąć do roboty natychmiast, rozumie pan?

Murarz ciągle potrząsał głową ze smutkiem.

— Co się da, to się zrobi. W każdym razie będę się starał. Ale nie mogę nic panu przyrzekać.

Generał nie słuchał już dalszych jego wywodów, bo nagle dostrzegł zeskakującego z siodła Billa i powitał go spojrzeniem pełnym zdziwienia.

— Hallo! — zawołał. — To pan? Widzę, że pana bawi widok dziury w moim dachu. Mnie to także bardzo ubawiło.

Bill przybrał nagle poważną minę.

— Naprawdę bardzo mi przykro, sir. To nie jest wcale takie wesołe. Miał pan jednak diabelne szczęście.

— Diabelne, powiada pan? — obruszył się generał. — Powiedziałyby pan jeszcze dosadniej, gdyby pan był na moim miejscu. Jeżeli z tym pan tylko przyjechał, to wizyta pańska była całkiem zbyteczna. Zresztą jadę do miasta następnym pociągiem. Spóźniłem się już na jeden, czekając na murarza.

Bill spojrzął na zegarek.

— Następny pociąg odchodzi dopiero o jedenastej trzydzieści — zauważył — czyli ma pan jeszcze dużo czasu.

Poświęci mi pan krótką chwilę rozmowy?

— A o co chodzi — zapytał generał. — Znowu jakieś składki parafialne?

— Nie, sir. Tym razem sprowadza mnie tu coś innego — odparł Bill z powagą. — Przecież nie zawsze przyjeżdżam do pana w kwestiach pieniężnych.

— O, ale potrafi pan prowadzić interesy swej rkrafii — mruknął generał, idąc wraz z gościem w stronę domu. — Więc o co tym razem idzie? Co się znów stało?

Bill przystanął u podjazdu, aby przywiązać swego wierzchowca.

— Chciałbym pomówić z panem w cztery oczy. Generał obrzucił go podejrzliwym wzrokiem.

— Jak pan sobie życzy. Dużo czasu nie będę mógł poświęcić.

— Nie będę zatrzymywał pana zbyt długo, sir.

Weszli do wnętrza domu i generał poprowadził go w stronę swego gabinetu. Gdy się tam tylko znaleźli, spojrzął badawczo na gościa, pytając znowu:

— O co chodzi? Mów pan! Ostrzegam, że nie jestem dzisiaj w dobrym humorze, więc proszę być ze mną ostrożnym.

— Od razu to zauważyłem, sir — odparł pastor. — Zgadzam się ponieść wszelkie konsekwencje. Przypomina pan sobie jednak, że dopiero wczoraj doszliśmy do wniosku, że jesteśmy przyjaciółmi i że jeden drugiemu może wszystko szczerze powiedzieć?

Generał spojrzął nań z nieprzyjemnym wyrazem w oczach.

— Więc cóż? — zapytał.

— Otóż, sir — ciągnął dalej Bill — przyjechałem tutaj, aby powiedzieć panu nie to, co bym chciał, lecz to, co powinienem.

— Rozumiem — uśmiechnął się generał z ironią. — Działa pan pod wpływem rozkazów niebios, co?

— Oczywiście, że pod wpływem rozkazów — odparł Bill. — Ale sądzę, że uczyniłbym to w każdym wypadku ze względu na przyzwoitość.

— Przyzwoitość! — generał wypowiedział to podniesionym głosem, lecz opanował się natychmiast. — Radzę panu liczyć się ze słowami — mruknął.

— Dla mnie pojęcie tego słowa było trochę inne, niż dla pana. Chciałem zaznaczyć, że jeżeli widzę człowieka, grzebiącego kogoś, to moim obowiązkiem jest temu przeszkodzić. Grzebanie bliźniego jest w moim pojęciu nieprzyzwoitością.

Generał spojrzał nań niechętnie.

— Zechce pan wypowiadać się jaśniej — burknął.

— Właśnie mam zamiar — odparł Bill. — Niech pan słucha, sir! Prawdopodobnie będzie pan twierdził, że to nie moja sprawa, ale niczym mnie pan na ten temat nie przekona. Jeżeli pan poślubi Molly Morton, to zawładnie pan nie swoją własnością i postąpi pan jak tchórz. Będzie to najbrzydszym czynem, na jaki człowiek może się zdobyć i nie będzie pan miał żadnego dla siebie usprawiedliwienia.

— Istotnie! — zawołał generał. — A jeżeli nie mam zamiaru się usprawiedliwiać?

— Chce pan powiedzieć, że zamierza pan postąpić, jak pierwszy lepszy opryszek — powiedział spokojnie pastor.

Generał zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Może pan sobie i tak to wytłumaczyć. Uważam, że mam takie samo prawo do uczuć tej młodej dziewczyny jak mój siostrzeniec Stafford. Może się mylę, ale przypuszczam, że nawet sąd przyznałby mi słusność.

— Tylko Stafford ma do niej prawo — zawołał Bill. — Tym bardziej nie ma pan racji, jeżeli pan wie, że on ją kocha.

Generał odwrócił się niespokojnie na krześle.

— A pan wie o tym, jeśli wolno spytać?

— Tak — odparł Bill.

Generał zaśmiał się znowu nieszczerze.

— Ha! Więc ten łajdak zwrócił się do pana o pomoc! Pozbył się wreszcie swej dumy. I przyznał się do tego, istotnie? Bardzo mi miło to słyszeć, ale teraz już za późno. Gdybyście nawet obydwaj błagali mnie na kolanach, to i tak na nic by się to zdało. Obydwoje z Molly daliśmy sobie słowo i zamierzamy nawet prosić pana o udzielenie nam ślubu.

— Tego nie uczynię nigdy — zawołał Bill. — Lepiej niech się pan jeszcze zastanowi, sir. Mam nadzieję, że poweźmie pan inny zamiar. W każdym razie ja nigdy nie przyłożę do tego ręki. Stafford kocha dziewczynę, ona go również kocha, a pan nie ma prawa stawać na drodze do ich szczęścia.

— Kto panu powiedział, że Molly kocha Stafforda? — oburzył się generał.

— On sam święcie w to wierzy i prawdopodobnie ma słuszość.

— Bill wypowiedział te słowa głosem stłumionym, nie zdając sobie sprawy, że będą one powodem tak groźnej reakcji. Ku wielkiemu jego zdziwieniu twarz generała pokraśniała z gniewu.

— Stafford gotów panu powiedzieć, że każda kobieta na którą tylko raczy spojrzeć, jest w nim zakochana. Słowo honoru, Bill, że nawet na pastora jest pan zbyt naiwny. Czy może pan sobie wyobrazić, żeby moja mała Molly kochała się w takim nicponiu?

— Stanowczo jest to możliwe, niż gdyby miała kochać się w panu

— odciął się pastor.

Generał poruszył się jeszcze bardziej niespokojnie, lecz gniew jego przygasł.

— Do diabła, Bill! — zawołał. — Nie można powiedzieć, żeby pan był zbyt uprzejmy. Zamiaru mego jednak nie zmienię. Pan spełnił swój kapłański obowiązek, więc może raczy mnie pan uwolnić teraz od swego towarzystwa?

— Tak, sir, nie zamierzam tu dłużej pozostać — odparł Bill.

— Jestem pewny, że od dzisiaj będzie mnie pan uważać za impertynenta i przykro mi, że nasza przyjaźń może na tym ucierpieć. Chciałem panu powiedzieć jeszcze jedno, a mianowicie, że nadejdzie kiedyś dzień, w którym będziemy musieli zdać sprawę z naszych ziemskich czynów Najwyższemu naszemu Wodzowi. Nie wiem, jak pan się w takim dniu zachowa!

Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Przypuszczał, że generał dogoni go jeszcze i dlatego szedł przez hall wolnym krokiem' lecz nie dosłyszał niczych kroków za sobą.

\* \*

Wiadomość o zaręczynach Molly Morton ze starym generałem Farjeonem rozeszła się lotem błyskawicy po okolicznych miasteczkach i wsiach, usuwając na plan dalszy sensację bliskiego ślubu Lottie Morton z wikariuszem. Mimo to jednak przygotowania do ślubu Lottie postępowały śpiesznie naprzód. Z początku mówiono, że zaślubiny obydwu córek państwa Mortonów odbędą się w jednym dniu, Molly jednak nie chciała o tym słyszeć, tłumacząc, że nie lubi wszelkich świetnych uroczystości. Ostatnio nawet niechętnie mówiła na temat swego małżeństwa.

— Zaczekajmy, aż minie ta szopka z Lottie! — twierdziła. — Ogromnie nie lubię wszelkich publicznych wystąpień. O wiele lepiej będzie, gdy ja ze swym ślubem zaczekam jeszcze trochę.

Na uwagę Fanny, że takie podwójne zaślubiny wypadłyby o wiele bardziej ekonomicznie, Molly ogarnęła pasja.

— Sądysz może, że przez pomyłkę chciałabym zaślubić A. B.? Albo, że czekam tylko tej chwili, aby mi ślub dawał Bill Quentin? Nie, dziękuję bardzo. Wolę poczekać.

Na tym zazwyczaj urywały się wszelkie rozmowy i nastawały dni zupełnego milczenia.

Data ślubu Lottie zbliżała się jednak i biedna pani Morton całymi dniami czyniła gorączkowe przygotowania do rodzinnej uroczystości.

Pani Morton najbardziej bolała nad tym, że córka po ślubie będzie musiała wyjechać, wikariusza bowiem przenoszono z tych stron na stałe. Och, żeby tak ożenił się z nią Mr Quentin z Rickaby, wówczas Lottie byłaby chociaż blisko! W takich chwilach Fanny wtrącała swą uwagę, że Mr Ouentin absolutnie nie jest odpowiednim materiałem na męża i że ona, Fanny, osobiście wątpi, czy zdołałby uszczęśliwić jakąś kobietę.

**133**

— Moja droga, każdy mężczyzna jest do tego zdolny! — protestowała biedna zacofana pani Morton. — Spójrz na ojca! Po nim też byś się tego nie spodziewała. A przecież tyle lat żyjemy z sobą.

— A ty, mamo, spójrz na starego generała Farjeona! — odcinała się Fanny. — Czy sądzisz, że potrafi on Molly dać szczęście?

— Molly jest całkiem inna — upierała się pani Morton.

Starej pani Morton nigdy nawet na myśl by nie przyszło, że córka w małżeństwie z generałem Farjeonem mogłaby nie zaznać szczęścia. Między matką i córką nie istniała nigdy przyjaźń, a wrodzona samodzielność Molly imponowała nawet po trosze jej matce. Zresztą obecnie pani Morton była zajęta tylko Lottie. Okoliczności wymagały tego, aby Lottie miała huczne wesele. Należało się to mieszkańcom parafii Hatchstead. Istotnie, całe miasto już od kilku miesięcy o niczym innym nie mówiło, a dzień zaślubin córki pastora Mortona miał być uczczony nawet wywieszeniem flag na wszystkich miejscowych domach. Orkiestra złożona z obywateli, grać miała w kościele, dzieci zaś ze szkoły niedzielnej tworzyć miały szpaler na przestrzeni od Rektoratu do kościoła.

Sama Lottie spoglądała na te przygotowania z zupełną obojętnością. Cieszyła się tylko z tego, że przecież robiła lepszą partię od Molly. Wprawdzie wikariusz uważany był ogólnie za głupca, ale był jeszcze młody i bardziej odpowiedni wiekiem dla Lottie, niż dla Molly stary generał Farjeon.

Gdy nadszedł wreszcie dzień zaślubin, Lottie była nawet podniecona, chociaż prawdopodobnie raczej bardziej z powodu odbierania ślubnych prezentów niż z samego Alfreda Birda. W asyście swoich sióstr przyjmowała składających życzenia gości i ilekroć ktoś z przybyłych zaczynał mówić na temat zaręczyn Molly z generałem Farjeonem, Lottie ożywiała się bardzo.

Na samą Molly podczas ostatnich dni przygotowań ślubnych nikt prawie nie zwracał specjalnej uwagi, lecz wzbudziła ogólną sensację, gdy w dniu zaślubin siostry, wróciła do domu dwuosobowym nowiutkim samochodem.

— Samochód ten dostałam w prezencie od mego narzeczonego — wyjaśniła niedbale gromadce zebranych znajomych, którzy przybyli na herbatę. — O tak, oczywiście, że umiem prowadzić. Już dawno

nauczył mnie tej sztuki Stafford Kenyon. Pamiętasz przecież, mamó!

— dorzuciła trochę niecierpliwie, gdy pani Morton spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Istotnie, kochanie? — zdziwiła się matka. — Nic o tym nie wiedziałam. Musiało to mieć miejsce ostatniej zimy.

— Nie przypominam sobie dokładnie — odparła Molly, ściągając rękawiczki i ukazując zebrany cudowny brylant, otrzymany również od narzeczonego. — W każdym razie było to bardzo dawno. Ta maszynka jest ogromnie łatwa do prowadzenia. Może państwo zechcą przyjrzeć się jej bliżej?

Oczywiście, wszyscy przyjęli propozycję i dali się słyszeć coraz głośniejsze okrzyki zachwytu oraz serdecznych powinszowań, gdy Molly z prawdziwą dumą prezentowała gościom swój skarb.

— Moje dziecko, a gdzie jest generał? — zapytała pani Morton.

— Dlaczegoś go z sobą nie przywiozła?

— Wcale go dzisiaj nie widziałam — odrzekła Molly obojętnie.

— W powrotnej drodze z klubu wstąpiłam do garażu, aby się dowiedzieć, czy samochód już jest dla mnie gotowy. Generał zamówił go przed pięciu tygodniami. A propos, turniej tak wypadł, jak przypuszczałam. Teddy Wills i ja zostaliśmy zwyciężeni dzisiejszego popołudnia. Był to diabelski finisz. Jednak jestem zadowolona, że teraz będę grać mniej i poświęcę więcej czasu wycieczkom samochodowym.

— Ach Boże! Ach Boże! — jęknęła tragicznie pani Morton. Molly spojrzała na nią.

— Co się stało, mamó? Nie jestem wcale przygnębiona. Nie martw się o mnie!

— A co z generałem, kochanie! — zgorszyła się matka. — Przecież powinnaś pójść i podziękować mu za tak piękny upominek.

— O, zaczeka trochę — zaśmiała się Molly. — Prawdopodobnie jutro sam tutaj przyjdzie. Nie ma się czego śpieszyć. Ach, jest wreszcie ojciec! Ojczyzna potrzebna mi jest na garaż. Rowery przeniesie się do altany albo do piwnicy. Wszystko jedno, gdzie. Ja na swoim i tak już nie będę jeździła.

Pan Morton usiłował stawiać opór, lecz na próżno. Molly obstawała przy swoim.

— Przecież to i tak nie na długo — oświadczyła wreszcie. — Jesz-

cze przed zimą wyprowadzę się stąd. A właściwie co za różnica, gdzie się te graty postawi?

- Mylisz się, moja droga — wtrąciła całkiem nieoczekiwanie

Fanny. — Mój rower ma zaledwie dwa lata i nie można go zaliczać do starych gratów. Nie pozwolę go umieścić ani w altanie, ani w piwnicy.

— To go sobie postaw w sypialni! — odcięła się Molly. — W każdym razie do mego ślubu w wozowni zostać nie mogę. Rób, co ci się podoba. Na miłość boską, dajcie mi trochę herbaty! Umieram z pragnienia.

Trudno było podczas tych dni dyskutować z Molly. Z rozkapryszonego dziecka przeobraziła się nagle we władczą, pewną siebie kobietę. Nikt oprócz Fanny nie chciał jej teraz wchodzić w drogę, a nawet i ona w głębi duszy odczuwała pewien lęk przed siostrą.

Molly niedbałym ruchem opadła na krzesło, podczas gdy matka nalewała jej herbatę.

— Cóż za rumianek! — zawołała niechętnie, gdy postawiono przed nią filiżankę, mimo wszystko jednak wypiała herbatę pośpiesznie. — Mamo, odwiedziłaś już nową sympatię Billa Quentina? Ta dama jak słyszałam, stała się nagle zapaloną pracownicą społeczną.

— Kogo masz na myśli, kochanie? — zapytała pani Morton zdziwiona.

— Panią Rivers, oczywiście. Kogóż by innego. Nie sądzisz, żebym miała uważać za sympatię pastora panią Winch albo pannę Barnet! Pastor chodzi za tą damą jak cielę za krową. Nie wiesz o tym? Generał nazywa ją madame Verlines.

— Jakież straszne dał jej przezwisko! — zgorszyła się pani Morton.

— Dlaczego? — zawołała Molly wesoło. — Po prostu zamordowała swego męża, gdy go już miała dosyć. Miała się męczyć przez całe życie? Bardzo mądrze zrobiła.

Po raz pierwszy od wielu lat pani Morton zwróciła się z godnością do córki, aby ją zgromić.

— Moje drogie dziecko, wypraszam sobie tego rodzaju poglądy. Bardzo cię proszę, aby to więcej się nie powtórzyło. Molly spojrzała na matkę ze zdziwieniem.

— Przecież to jest prawda, nie? — zapytała. - Zamordowała swego męża, chociaż sąd uniewinnił ją z powodu braku dowodów, a może



dlatego że była bardzo piękna i któryś z sędziów z miejsca się w niej zakochał. Nikt jednak nie twierdził, że tego nie uczyniła

- Na ten temat wolałabym z tobą nie mówić, Molly - szepnęła pani Morton, mięknięc nagle.

- Mamo, co za skandal! - oburzyła się Molly. - Przecież wszyscy o tym wiedzą. Gotowani dać głowę, że wszyscy zebrani w tym pokoju znają proces pani Verlines od początku do końca.

Rozległ się niespokojny szmer wśród zebranych gości, a pani Morton jeszcze wyżej podniosła głowę.

- Nie zawsze wolno nam mówić o rzeczach, które znamy, moja droga - rzekła surowo. - W tym domu nie wspominało nigdy o tym nieprzyjemnym procesie i mam nadzieję, że nadal nikt nie ośmieli się o nim wspomnieć. Nie odwiedziłam jeszcze pani Rivers, bo przecież nie należy do naszej parafii, ale wpadnę do niej, gdy mi tylko czas pozwoli

- Nikt jej dotychczas nie odwiedził z wyjątkiem Billa — zachichotała Molly. - Zdaje mi się, że zakochał się w niej do szaleństwa a biedna stara pani Winch jest po prostu zrozpaczona. Pomyśleć tylko' że Rickaby przechodzi pod panowanie złego ducha'

Wszyscy goście odetchnęli z ulgą, gdy do pokoju weszły Berta.

1 Maude prosząc Molly, aby przymierzyła swą nową suknię, w której' miała wystąpić jako druchna Lottie. Ona sama zresztą zadowolona była z tego, że ktos przerwał tę dłużącą się już rozmowę.

Ślub miał się odbyć w poniedziałek, aby umożliwić wikariuszowi spędzenie dwunastu dni urolpu na wyspie Wight.

Pogoda była piękna po ustawicznych majowych burzach, lecz upały minęły

Wszyscy prorokowali, że dzień ślubu będzie również pogodny więc stosownie do tego czyniono przygotowania.

Jednogłośnie skonstatowano, że przyjęcie uda się lepiej w ogrodzie niż w starych ponurych pokojach Rektoratu, które były tak zimne i staroświeckie jak sama pan, Morton. Zresztą miało przybyć dużo gości włącznie z generałem Farjeonem, którzy najlepiej się czuli na otwartej przestrzeni Dla urozmaicenia postanowiono zbudować w ogrodzie wielki namiot, a nikomu nie przyszło na myśl, że właśnie tego dnia może spasc deszcz.

Sama panna młoda była przekonana, że jasne promienie słoneczne oddziałają kojąco na jej nastrój weselny. I chociaż dzień poprzedni był

niecو mglisty, wierzyła wciąż jeszcze święcie, że gdy się nazajutrz obudzi, ujrzy pogodny błękit nieba. Nie trudno sobie wyobrazić, jak lamentowała później pani Morton, bo oto w dniu ślubu, z samego rana pogoda była słotna i deszczowa, a nikt przecież na to nie był przygotowany. Uroczystość zaślubin miała się odbyć o drugiej, po ślubie zaś wszyscy goście zaproszeni zostali na przyjęcie. Jak można urządzić takie przyjęcie w ogrodzie, gdy deszcz pada? Pani Morton była bliska łez i wykazywała zupełną bezradność. Co miała począć z takim tłumem gości? Wszystkie pokoje na dole przepełnione były ślubnymi prezentami, których nie było gdzie ulokować. Gdy pani Morton tonęła w rozpacz, do pokoju wbiegła Molly w błyszczącym skórzanym płaszczu i maleńkiej czapeczce, w której wyglądała jeszcze bardziej dziecięco i powabnie.

— Ach, mamو, przestań wreszcie płakać! — zawołała. — Jest na to wszystko tylko jedna rada i mam zamiar natychmiast wziąć się do dzieła. Trzeba będzie urządzić przyjęcie w Hatchstead Place i mam właśnie zamiar pojechać tam natychmiast.

Oświadczenie Molly zaparło oddech w piersi całej rodzinie. Pani Morton jęknęła histerycznie. Molly jednak prawdopodobnie tak myślała, jak mówiła i była pewna, że jej zamiar zostanie zrealizowany, chociaż ojciec począł się rozwodzić, że pomysł jest niemożliwością.

Brama posiadłości Hatchstead Place przylegała prawie do kościoła i zasadniczo goście mieliby tam najbliżej, gdyby tylko generał Farejon przyjął ten projekt.

Molly jednak nie miała żadnych wątpliwości i zaraz po śniadaniu wyjechała swym dwuosobowym samochodem, aby przedłożyć narzeczonemu całą sprawę.

Nie widziała generała w ciągu ostatnich trzech dni. Uważała, że nie należało go psuć zbytnią czułością, zresztą nowe auto absorbowało ją zupełnie. Wiedziała jednak, że generał należy do tego typu wielbicieli, którzy zazwyczaj i w każdej sytuacji witają swe wybranki radośnie.

Naręczony siedział jeszcze przy śniadaniu, gdy Molly energicznie wpadła do pokoju.

— Hallo! Hallo! — zawołał radośnie. — W samą porę! Siadaj, kochanie i jedz.

— Dziękuję! Przed chwilą jadłam — odparła Molly. — Przyszłam, aby panu zakomunikować, że jesteśmy w okropnym położeniu. Wszelkie przygotowania ślubne nie były obliczone na taką pogodę. W całym Rektoracie nie ma ani jednego pokoju, w którym można by było przyjąć gości, więc chcieliśmy prosić o pański duży salon.

— Go takiego? — zawołał generał, spoglądając na nią ze zdziwieniem. — Chcecie urządzić przyjęcie weselne w moim domu?

— Czemuż by nie? — uśmiechnęła się Molly. — Przecież pan wkrótce sam zamierza się ożenić, nieprawdaż? Przysiadła na krawędzi stołu i przesłała mu uśmiech pełen czułości.

— To jednak będzie coś całkiem innego — tłumaczył się generał.

— Tak, to prawda — przyznała Molly. — Mam nadzieję, że przynajmniej my nie będziemy urządzali tej całej szopki. Ale zna pan przecież ludzi, którzy lubią wykorzystywać takie sposobności. Bądź dobry, staruszk, i oddaj nam salon! I tak sam nigdy go nie używasz.

— Zdaje się, że robotnicy jeszcze tam pracują — bąknął generał.

— Nie, już ich nie ma. Skończyli wszystko w zeszłym tygodniu. Sam mi pan o tym mówił. — Molly wypowiedziała te słowa całkiem swobodnie. — Jeżeli nie ma pan zamiaru zgodzić się na to, to proszę mi powiedzieć otwarcie, abym nie traciła czasu.

— Jesteś bardzo niecierpliwa, moja maleńka — mruknął generał.

— Tu nie idzie o cierpliwość, ale wszystko uzależnione jest od tego salonu. Jeżeli pan pozwoli, zostanę tutaj i sama zaaranżuję wszystko. Jeżeli nie, to sobie pójdę. — Zakołysała nogami w powietrzu i zeskoczyła ze stołu.

— Ach, nie trzeba się tak śpieszyć! — zaprotestował generał. — Nie dałaś mi ani chwili czasu do namysłu.

— Wystarczy, żeby pan powiedział „tak” albo „nie”; — zawołała Molly niecierpliwie. — Na nic więcej przecież nie czekam. Więc, nie?

Zabierała się już do wyjścia, lecz generał pobiegł za nią i zatrzymał ją już na progu.

Nie opierała się zbyt, przeciwnie, pozwoliła na to, aby ją wprowadził z powrotem do pokoju i usiadła mu nawet na kolanach, pragnąc tym samym odnieść zwycięstwo.

— A zatem „tak”? — zapytała.

— Tak mi się zdaje — odparł generał. — Ale zamierzam zatrzymać cię tutaj na kilka minut. Chyba tak się nie śpieszysz, abyś mi nie mogła poświęcić kilku minut.

— Dobrze, tylko proszę o papierosa — targowała się Molly. — Nie mogę przecież tak siedzieć beczynnio.

— Mała tyranka! — zawołał generał, podając jej swą papierośnicę. — Powinnaś dostać baty za to, że palisz w tak młodym wieku.

Oczy Molly zabłyśły, gdy usłyszała tę uwagę, lecz nie odpowiedziała na nią. Sięgnęła po papierosa i zapaliła go od zapałki, którą jej podała.

— Już w porządku? — zapytał generał. Skinęła głową.

— Nie skończy pan śniadania? Odsunął stojący przed nim talerz.

— Nie. Pragnę z tobą pomówić. Nie widziałem cię od dawna.

— Cała przykrość po pańskiej stronie! — uśmiechnęła się Molly.

— Coś w ciągu tych kilku dni robiła? — zapytał.

— Sama nie wiem. Jeździłam przeważnie po okolicy. A dzisiaj ten rozgardiasz ze ślubem Lottie. Nienawidzę takich uroczystości.

— Kiedy się odbędzie twój ślub? — zapytał generał.

— Nie mam pojęcia.

Powiedziała to tonem niezbyt zachęcającym, lecz generał nie wziął sobie tego do serca.

— Wkrótce stanie się to aktualne, prawda? Będziesz miała więcej swobody, jak wyjdiesz za mąż.

— No? — mruknęła Molly.

Była zwrócona twarzą ku niemu. Zdawała się tonąć w zadumie ze zmarszczonymi brwiami.

— O czym tak myślisz? — zapytał generał.

— O niczym — odparła.

— Ukrywasz coś przede mną. Cóż to takiego? — nalegał. Przesłała mu mimowolne spojrzenie.

— Zastanawiam się nad tym, czy będę musiała cerować te stare obrusy po każdym praniu!

— Z pewnością nie! — odrzekł poważnie generał. — Ale będziesz musiała robić to wszystko, czego nie lubisz.

— Wszyscy mężczyźni tak mówią przed ślubem — zauważyła Molly niechętnie. Odetchnęła głęboko, zaciągając się dymem papierosa i oparła główkę na jego ramieniu. Otoczyły ją ramiona generała. Głaskał teraz wyciągniętą jej dłoń.

— Myślę tak, jak mówię — wyszeptał.

— Zmęczona jestem! — rzekła z niewinną minką. Obydwoma dłońmi uniósł w górę jej głowę.

— Co się dzieje z moją Molly?

— Nic. Proszę mnie nie męczyć. Proszę mnie zostawić w spokoju.

Jakaś dziwna nutka brzmiąca w jej głosie skłoniła go do posłuszeństwa. Przez dłuższą chwilę siedzieli bez ruchu, po czym nagle Molly wyprostowała się.

— Czas ucieka! Idę już. Wrócę tutaj niedługo, ale muszę zawiadomić rodziców o wszystkim. Serdeczne dzięki! — odrzuciła do popielniczki papierosa i pocałowała generała przelotnie w czoło. — Pan jest jednak bardzo dobry, chociaż różnie mówią o panu. Jeśli pan chce, mogę zostać nawet jutro pańską żoną. Czy będziemy mieli większy samochód? Przydałby się, żeby zabierać na wycieczki zapasy żywnościowe i inne rzeczy.

— Będiesz miała wszystko, czego pragniesz — rzekł generał z niezwykłą wspaniałomyślnością. — A teraz jeśli potrzebna ci jest pomoc ogrodnika przy dekorowaniu salonu...

— Ach, oczywiście — przerwała Molly. — Będzie mi bezwarunkowo potrzebny. Do widzenia! Smacznego śniadania! Wrócę za pół godziny.

Poprawiła płaszcz i pobiegła ku drzwiom energicznym krokiem. Obejrzała się jeszcze od progu, przesyłając mu od ust pocałunek, po czym niby wicher wybiegła do hallu.

Deszcz jeszcze ciągle padał, gdy wsiadała do swego otwartego auta. Nie miała czasu nawet budy podnieść.

Energicznie przycisnęła starter i skierowała auto w stronę bramy.

Przy bramie dostrzegła drugie auto i omal na nie nie najechała. Powstrzymała swoją maszynę, patrząc niechętnym okiem na mężczyznę, siedzącego w tamtym samochodzie. Ku jej wielkiemu zdziwieniu nieznane auto zatrzymało się również i wyłoniła się zeń, spod opuszczonej budy elegancka postać Stafforda, który się do niej zbliżył.

Czekała na niego w milczeniu. Stanął na stopniu jej maszyny, pochylając się nad nią.

— Halo, Molly! — zawołał. Uczyniła bezradny ruch.

— Wynoś się, wyñoś! — zawołała. — Ja się bardzo śpieszę.

— Zaczekaj chwilę! — prosił Stafford.

Mówił spokojnie, lecz twarz jego mieniła się pod wpływem wewnętrznych uczuć. Położył dłoń na jej ręce. Spojrzała nań z niemą rozpaczą.

— Czego... czego chcesz ode mnie? Dlaczego jesteś tutaj?

Nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówiła, tak była przejęta tym spotkaniem.

— Chciałem być na ślubie — wyjaśnił Stafford, cedząc słowo po słowie. — Przypuszczam, że nie masz nic przeciwko temu?

— Przeciwko temu! — szepnęła Molly. — A cóż bym mogła mieć? Przecież to nie jest mój ślub!

— O, wiem o tym — uśmiechnął się Stafford. Wzrok jego tonał w jej oczach i w żaden sposób nie mogła tego wzroku uniknąć. — Ale zamierzam przyjechać i na twój, jeżeli pozwolisz.

— Co... co... nic nie rozumiem — mamrotała Molly i nagle poczęła drżeć na całym ciele. — Nie, nie chcę żebyś był na moim ślubie. Nie... nie zniosłabym tego!

— Nie zniosłabyś? — zdziwił się Stafford. Teraz pochylił się nad nią jeszcze niżej. Znajdowali się zupełnie sami przy bramie. Twarz jego przybliżała się coraz bardziej do jej policzka. — Nie zniosłabyś, Molly?

— powtórzył.

Usiłowała uwolnić się od niego. Jej zmieszanie było aż nadto widoczne, lecz dziecięco szczerze.

— Daj spokój! Daj spokój! — zawołała ze skargą w głosie.

— Dlaczego... po co przyjechałeś?

— Aby cię o coś zapytać — odpowiedział, zachowując z wysiłkiem równowagę. — Chciałabyś mnie, Molly?

Chciałabyś mnie?

Głos jego był spokojny, lecz oczy przemawiały do niej w ten sposób, że nie mogła się mylić. I nagle Molly wybuchnęła głośnym płaczem, zarzuciła mu ramiona na szyję i wyszłochała:

— Tak! Tak! Tak!

Deszcz padał bez ustanku przez cały ranek, lecz pani Morton nie miała już czasu dłużej narzekać. Obydwie z Fanny zostały w Rektoracie podczas, gdy trzy druciny pracowały gorączkowo w Hatchstead Place przy pomocy służby generała, przygotowując jadalnię i salon na przyjęcie gości. Sam generał Farjeon spacerował po pokojach, od czasu do czasu rzucając jakieś uwagi, które Molly przyjmowała niechętnie lub też zupełnie ignorowała. Molly była dzisiaj bardziej podniecona i niecierpliwa, niż zazwyczaj, więc generał wreszcie, stosując się do jej życzenia, przeszedł z gazetami do swego gabinetu, przekonany, iż tracił tylko niepotrzebnie czas, wtrącając się do weselnych przygotowań.

— Mała diabolic! — pomyślał. — Nie będzie mi urządziła takich kawałów po ślubie. — Powiedział to jednak bez przekonania, bo któż mógł poradzić sobie z Molly? Zresztą taki miała dziwny wyraz oczu tego ranka przy śniadaniu, że trudno się było na nią gniewać. Później jakoś nastrój jej uległ zmianie i prawdopodobnie najzupełniej bez powodu. Dopiero, gdy cisza zaległa w całym domu, generał wyszedł ze swego gabinetu, aby rozejrzeć się po mieszkaniu. Skonstatował, że wszystko było przygotowane, a druchen już nie było. Wszedł do jadalni, gdzie zastał stół uginający się pod półmiskami i baterią butelek. Salon zarzucony był kwiatami, lecz nikogo w nim nie było. Cofnął się z niechęcią.

— Dzięki Bogu, że na własnym ślubie nie będzie chciała takiej pompy! — rzekł. — Będę musiał doprowadzić wszystko do porządku, gdy tylko goście się wyniosą. Nigdy jeszcze nie miałem takiego rozgardiaszu w domu. W mrocznym hallu spotkał się oko w oko z siostrzeńcem Staffor-dem.

— Hallo! — zawołał ze zdziwieniem. — Halló! To ty? Stafford wyciągnął doń rękę. Nie widzieli się od owej pamiętnej nocy, kiedy szalała burza.

— Tak, sir, to ja — odparł chłodno. — Zjawiłem się na ślub i postanowiłem zajrzeć do ciebie.

Generał mruknął niechętnie. Był dziwnie zmieszany.

— Bardzo pięknie z twojej strony, przyznaję.

— Głupstwo — rzekł Stafford. — Ciekawy byłem, jak się czujesz. Dom już naprawiony go piorunie?

Generał znowu coś mruknął niewyraźnie. Stanowczo ten chłopak cieszył się z każdej jego przykrości.

— O, będzie w najzupełniejszym porządku, gdy go po mnie odziedziczysz — zawołał z ironią. — Ale lękam się, że długo jeszcze będziesz musiał czekać, prawdopodobnie dłużej, niż przypuszczasz.

Stafford przyjął ten wybuch obojętnie.

— Wcale się nie śpieszę — zapewnił. — Bardzo mi miło, że dobrze się czujesz. Wykazałeś dużo dobroci, pozwalając na urządzenie u siebie weselnego przyjęcia.

Generał spojrzał nań. Czyżby ten nicpoń silił się na uprzejmość?

— Istotnie, diabelnie jestem dobry — mruknął.

— A kiedy zamierzasz sam się ożenić, sir? — zapytał Stafford.

— A może cofnąłeś już ten zamiar?

Tego już było za wiele. Generał cisnął się jak rozdrażnione zwierzę.

— Nie, nie zaniechałem, do licha! Nigdy nie zaniecham, więc możesz się nie martwić. Mam już tego wszystkiego dość, tak samo, jak mam dość twego przyjaciela Billa Quentina.

— Istotnie, sir? — Stafford wiedział, jak udobruchać swego wuja.

— Więcej już o tej sprawie nie wspominał. Ale może zaciekawi cię wiadomość, że i ja wkrótce zamierzam się żenić.

— Spojrzał niedbale na zegarek. — Nie będę cię dłużej zatrzymywał. Przecież musisz się przebrać. Tak, dziękuję, jadłem śniadanie. Już bardzo późno. Więc tymczasem do widzenia!

Zamierzał odejść, lecz u drzwi zatrzymało go wołanie wuja.

— Z kim u diabła, masz się zamiar żenić? Stafford obejrzał się.

— Innym razem opowiem ci o mojej wybranej, sir. Generał spojrzał nań z niechęcią.

— Ale bardzo prędko się pocieszyłeś — mruknął.

— Nigdy nie płaczę nad rozlanym mlekiem — odparł Stafford z wymuszonym uśmiechem. — Przypuszczam, że ty także jesteś tego zdania, sir. — Otworzył drzwi i dostrzegłszy, że deszcz wciąż jeszcze



pada, dorzucił: — Ale leje! — podniósł kołnierz starannie. — Więc do widzenia! Zobaczymy się później.

— Nicpoń! — zawołał generał, gdy drzwi się za Staffordem zamknęły. — Nic dziwnego... nic dziwnego, że moja mała Molly nawet patrzeć nie chce na ciebie!

Spóźnił się na ślub, bo w ogólnym rozgardiaszu zapomniano zupełnie o jego drugim śniadaniu, więc musiał się zadowolić kilku zimnymi kanapkami, które mu podano do gabinetu. Gdy wreszcie zjawił się w kościele, było już po uroczystości i młoda para przeszła już do zakrystii. Amatorska orkiestra grała jeszcze *Marsza weselnego* Mendelsoona przy akompaniamencie organów. W programie było, że marsz ten odegrany zostanie po raz drugi przed kościołem, lecz z powodu deszczu okazało się to niemożliwe. Wreszcie orszak ślubny wyruszył z kościoła i skierował się w stronę Hatchstead Place.

Generał Farjeon nie interesował się tym wszystkim. W tłumie zebranych gości szukał Molly, którą wreszcie ujrzał wśród druchen, idącą przy boku Stafforda.

Po raz pierwszy w życiu na widok generała Molly zmieszała się, chociaż jej towarzysz nie utracił ani na chwilę spokoju. Generał przedarł się przez tłum, aby znaleźć się przy jej boku. Była to stanowczo impertynencja ze strony Stafforda! Jak śmiał zbliżyć się do Molly bez pozwolenia jej narzeczonego!

Generał zbliżył się do niej ignorując zupełnie siostrzeńca i gdy młoda para odjechała z kościoła wynajętym autem, on zabrał Molly do swego samochodu z miną pełną triumfu, pozostawiając przed kościołem Stafforda.

— Będzie miał nauczkę! — rzekł, zajmując miejsce przy Molly. — Przysięgam, że jeśli ośmieli się jeszcze raz zbliżyć do ciebie, gotów jestem go wychłostać.

Molly wybuchnęła niespodziewanym śmiechem. Wyglądała dzisiaj jeszcze piękniej w swej jasnej sukni niż rano w starym skórzanym płaszczu i generał nagle zapragnął ją pocałować. Słyszając jednak jej głośny śmiech, zorientował się, że nie była w odpowiednim nastroju do przyjmowania czułości.

— Co on ci mówił? — zapytał, gdy nie próbowała się nawet tłumaczyć. — Mówił ci, że się żeni?

— Tak — odparła Molly.

— A co ty na to? — przyjrzał się jej badawczo.

— Powinszowałam mu.

Generał mruknął coś niezrozumiale. Takiego zachowania nigdy w jego obecności nie demonstrowała.

— Mówił coś jeszcze? — zapytał po chwili.

— Tak — odrzekła Molly. — Pytał, czy będzie mógł przyjść na mój ślub.

— Niech się nie waży! — zawołał generał. — A coś ty powiedziała?

— Powiedziałam, że tak — odparła Molly.

Generał zapałał gniewem. Doszedł do wniosku, że Molly za wiele sobie pozwala.

— A kiedy to ma nastąpić — zapytał, ochłonawszy nieco.

— W najkrótszym czasie, gdy tylko będzie pozwolenie — brzmiała odpowiedź Molly.

Gniew generała przygasł.

— Czy istotnie tak myślisz?

Skinęła obojętnie głową ponad trzymanymi w ręku kwiatami.

— Więc zaraz jutro postaram się o pozwolenie — r oznajmił generał.

Wybuchnęła znowu wesołym, prowokującym śmiechem i zasłoniła twarz kwiatami.

Zaraz potem znaleźli się w Hatchstead Place i umknęła śpiesznie ku jego wielkiemu niezadowoleniu. Ale przecież Molly miała tak nierówne nastroje, że zmuszony był i z jej obecności zrezygnować.

Rozweselił się dopiero na widok Billa, chociaż od owej pamiętnej rozmowy nie widzieli się zupełnie. Wierzył, że Bill był doń przyjaźnie usposobiony, mimo to jednak nie miał zamiaru pierwszy wyciągać do niego ręki. Może lękał się, pokrzyżowania dalszych planów, a może wrodzona duma nie pozwalała mu czynić pierwszych kroków.

Teraz jednak, gdy się spotkali i gdy Bill zbliżył się doń z wyciągniętą dłonią, generał uradował się ogromnie.

— Gdzie się pan podziewał przez ten cały czas? — zagadnął porywczo. <sup>1</sup>

Bill był całkiem swobodny.

— Miałem mnóstwo zajęcia — tłumaczył.

- Ciągłe użeranie się z płcią piękną, jak zwykle? — uśmiechnął się generał.
- Czasami spełniam inne obowiązki, sir — odparł Bill, śmiejąc się również. — Widzę, że i pana przyparto do muru.
- Rozejrzał się wokoło, wskazując wymownym ruchem przepelniony gośćmi pokój.
- Więcej to się nie powtórzy! — zawołał generał z godnością.
- Nigdy, nigdy więcej!

Pastor zaśmiał się. Widok generała Farjeona wytrąconego z równowagi we własnym jego domu był naprawdę komiczny.

- To wkrótce minie — pocieszał Bill. — Wyjeżdżają o czwartej z minutami, a przedtem jeszcze muszą się przebrać. Twarz generała rozjaśniła się. Obecność Billa zawsze dobrze wpływała na jego nastrój.
- Ale przecież pan nie ucieknie — zawołał. — Zostanie pan u mnie na obiedzie.
- Dziękuję, sir. Lękam się, że nie będę mógł.
- Nie będzie pan mógł! — generał zmarszczył brwi gniewnie.
- Dlaczegoż to u diabła?
- Umówiłem się, sir — wyjaśnił Bill.
- No! — zaśmiał się generał. — Sądzę, że w Beech Mount?
- Istotnie — przyznał pastor. — Czytuję tam codziennie z młodym Riversem.

Ironiczny śmiech generała sprawił mu przykrość, lecz już po chwili przekonał się, że stary przyjaciel nie miał zamiaru atakować go.

Weselne przyjęcie Lottie udało się nadzwyczajnie, chociaż pani Winch zwróciła uwagę, że wesele urządzone nie w domu rodziców nigdy nie zwiastuje szczęścia w przyszłości. Mimo to jednak młoda para sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej, a jak twierdziła panna Barnet, ta kwestia była w danej chwili najważniejsza.

Wszystko udało się tak doskonale, że pani Morton ze łzami w oczach dziękowała generałowi, twierdząc, że nigdy nie zapomni okazanej w chwili potrzeby dobroci.

Generał chętnie uniknąłby tych zapewnień, lecz nie mógł się jakoś wymknąć, tym bardziej, że chciał zabrać Molly na herbatę do swego gabinetu, a nigdzie jej jakoś nie mógł znaleźć. Od czasu do czasu ukazywała mu się<sup>^</sup>; daleka wśród tłumu gości, lecz nie miała dla niego

ani chwili czasu. Uspokajało go tylko to, że ani razu nie widział przy niej Stafforda. Istotnie, Stafford na przyjęciu był zupełnie niewidzialny i generał utwierdzał się coraz bardziej w mniemaniu, że chłopak wcale tu z kościoła nie przyszedł. Postanowił jednak za wszelką cenę spędzić choć pół godzinki sam na sani z Molly. Przecież nawet ona musiała przyznać, że zasłużył na taką nagrodę, narażając się na podobny nieporządek w domu.

Nikt jednak nie miał pojęcia, gdzie się Molly podziała. Twierdzono, że prawdopodobnie umknęła do domu i żpgnano się, nie myśląc o niej. Wszyscy goście wynieśli się wkrótce. Miejscowi muzykanci zapakowali swe instrumenty i również opuścili dom generała. W pokojach zapanowała pustka. Tylko narzeczony Molly czekał wciąż jeszcze, pocieszając się nadzieją, że nie mogła wyjść nie pożegnawszy się z nim uprzednio.

Widział ją wszakże w hallu przed wyjściem młodej pary, a od tej pory śledził każdego wychodzącego gościa, więc nie mógłby Molly nie zauważyć.

Najprawdopodobniej szykowała dlań jakiś kawał, ta niesforna dziewczyna! Jeśli tak... Odwrócił się nagle i wpadł niemal na Billa, który zapinał płaszcz, gotując się do wyjścia.

— Już po wszystkim, sir! — zawołał pastor wesoło. — Przyjęcie było wspaniałe! Goście musieli się dobrze bawić.

— Gdzie Molly? — wybuchnął generał.

— Nie mam pojęcia — odparł Bill.

— Czy wyszła? — indagował dalej generał. Bill uniósł brwi ku górze.

— Naprawdę nie wiem, sir.

— A dlaczego pan nie wie? — generał niecierpliwił się coraz bardziej.

W tej chwili zjawił się służący z trochę zgniecionym bukietem kwiatów, który uroczyście podał generałowi.

— Cóż u diabła... — zaklął pan domu.

— Panna Molly Morton prosiła, abym to wręczył panu, sir — wyjaśnił lokaj — gdy wszyscy już wyjdą.

Generał zaintrygowany wziął bukiet. Wciąż jeszcze spodziewał się jakiegoś kawału. Zapach zwiędłych róż przeppełnił powietrze.

— I żadnej karteczki? — zapytał.

— Mam wrażenie, że jest tam jakaś karteczka, sir — odparł służący.

Generał dostrzegł małą kopertkę przypiętą do bukietu. Niecierpliwie otworzył ją, oddając kwiaty służącemu. Palce mu drżały. Coś błyszczącego upadło na podłogę i potoczyło się do nóg Billa. Pochylił się i podniósł ów przedmiot. Był to zaręczynowy pierścionek Molly.

Po chwili generał podał mu kartkę.

— Czytaj pan! — rozkazał charkotliwie. Bill przeczytał:

„Żegnam! Zawsze będę pana kochać, ale wolę być pańską siostrzenicą niż ciotką Stafforda. Pozdrowienia od Molly”

— Na miłość boską! — zawołał Bill. .

— To pańska robota! — jęknął generał.

— Moja?

— Jeszcze pan śmie mi zaprzeczać! — rzekł generał głosem przyciszonym i bardzo spokojnym. — Po prostu uciekli, a pan należał do spisku.

— Ja, sir? Pod słowem honoru nie! — Bill uspokoił się już i począł traktować całą sprawę z innego punktu widzenia.

— Tak, doradzałem im — przyznał ponuro, — Ale nie wiedziałem, że mnie posłuchają.

— Tak sądziłem — rzekł generał. — Przestańmy mówić o tym! Możliwe, że kiedyś, potrafię jej wybaczyć i nawet — chrząknął niespokojnie — temu nicponiowi Staffordowi. Tylko panu nie wybaczę tego nigdy! Gdy się nadarzy okazja, zrujnuję pańską przyszłość, jak pan zrujnował moją!

Na tym zakończył. Bill zdał sobie z tego sprawę i nie wyraził ani słowa protestu. Chciał już odejść, lecz zorientował się, że w rękę trzyma pierścionek Molly, przystanął więc i położył go na stoliku. Potem nasunął kapelusz na oczy i wyszedł.

— Diablica! — pomyślał, gdy znalazł się w ogrodzie.

### III

Studia Billa z Gaspardem miały charakter raczej spotkań przyjacielskich, bo stan zdrowia chłopaka uniemożliwiał mu naukę. Wprawdzie Gaspard nie przesiadywał już teraz stale w swoim pokoju. Przeciwnie, często nawet odbywał krótkie przejażdżki samochodem w towarzystwie Billa, lecz nie miał sił do bardziej absorbujących poczynań a doktor twierdził, że serce ma bardzo nadwątlone. Właściwie Gaspard nie miał do niczego ochoty i częstokroć nawet obecność Billa ogromnie go męczyła. Mimo to jednak zawsze witał pastora z radością, a potem żegnał go z żalem. Godziny spędzane w towarzystwie proboszcza ogromnie podniecały Gasparda, toteż Bill niejednokrotnie zastanawiał się nad tym, czy przypadkiem nie wyrządza chłopakowi krzywdy. Gaspard jednak nawet słyszeć nie chciał o przerwaniu tych spotkań, a matka jego potrzasała przecząco głową, gdy proboszcz usiłował jej coś tłumaczyć na ten temat. Twierdziła, że stan zdrowia Gasparda nie pogorszył się z tego powodu i że prawdopodobnie wkrótce będzie się czuł jeszcze lepiej. Tymczasem Bill wyświadczał chłopakowi więcej dobra, niż sobie wyobrażał i pani Rivers często mawiała, że Gaspard rozchorowałby się, gdyby ksiądz któregoś dnia nie przyszedł. Sama pani Rivers, chociaż nie unikała Billa, starała się jednak jak najrzadziej przebywać z nim sam na sam, a w swym zachowaniu względem niego była przyjazna, lecz obojętna. Dzięki swym odwiedzinom w dzielnicy ubogich zaskarbiła sobie przyjaźń nawet pani Winch, a panna Barnet była już jej prawdziwą wielbicielką. W dzielnicy ubogich pani Rivers stała się wyrocznią. Wydzierano ją sobie z rąk do rąk i każdy błagał, aby odwiedziła jego skromną izbę. Pani Rivers przychodziła tam coraz częściej, siadała w mrocznych izbach przy tłących kominkach i zaprzyjaźniła się z miejscowymi mieszkańcami. Przynosiła często pudding dla chorej żony Joe Pembertona i słuchała jej ustawicznych wyrzekań z prawdziwym zaciekawieniem. Czasami służyła radą, czasami zjawiała się z jakimś domowym lekarstwem, które sprawiało więcej ulgi choremu, niż lekarstwo przepisane przez doktora Brace. Zasadniczo ostatnio Bill mało o niej wiedział, lecz przekonał się, że godziny, spędzone z Gaspardem wolałaby raczej przepędzić wśród swych nowych przyjaciół w dzielnicy ubogich.

Dziwił się również, że pani Rivers nie wykazywała już takiego niepokoju o zdrowie syna. Zdawać się mogło, że przyzwyczaiła się do stanu Gasparda i trwała w mniemaniu, że i tak mu nic nie pomoże. Ostatnio Gaspard nie miewał ataków serca, więc doktor Brace też rzadziej zaglądał do Beech Mount. Bill niejednokrotnie myślał o tym, że gdyby był upoważniony, bezzwłocznie zawiózłby chłopca do któregoś ze znanych londyńskich lekarzy. Z Gaspardem stanowczo było coraz gorzej. Jego ponure nastroje, bezsenność, straszliwy lęk przed samotnością, wszystko to wskazywało na stan anormalny, który Billa bardzo niepokoił. Dawne podejrzenia, że Gaspard musiał coś ciężkiego przeżyć nie opuszczały Billa, a podejrzenia łączył z religijnym zwątpieniem Gasparda, do którego wprowadzie przykładał mniej wagi. Niepokoił się jednak o chłopca i dałby dużo, aby pozostawiono mu wolną rękę w zakresie opieki nad nim.

— Czy twoja matka nigdy nie wyjeżdża? — zapytał go pewnego dnia, gdy przestali czytać i obydwaj siedzieli w obszernej altanie, spoglądając na spokojne morze.

— Oczywiście, że nie! — odparł Gaspard, nagle zalękniony.

— A dlaczego?

— Zastanawiałem się nad tym — rzekł Bill po namyśle — że gdyby kiedyś wyjechała, mógłbyś przenieść się do mnie na plebanię.

— Jak to! Bez Benedykta! — zawołał chłopak.

— Oczywiście, po cóż ci Benedykt? — zdziwił się Bill. — Przypuszczam, że po prostu zajmuje się tylko twoim ubraniem i bielizną, prawda? Wtedy mogłaby się tym zajmować moja pani Henderson, tak samo, jak zajmuje się moimi rzeczami.

— Sypia zawsze w pobliżu i mogę go w każdej chwili zawołać

— wyjaśnił Gaspard trochę spokojniej. — Nie lubię, gdy go nie ma przy mnie w nocy.

— To ja bym go mógł zastąpić — zaofiarował się Bill.

— Ach, tobie nie chciałbym przeszkadzać. — Gaspard mówił z niepokojem, wyraźnie szukając jakiegoś pretekstu.

— Mam przecież takie okropne noce!

— Mnie by to wcale nie przeszkadzało — uśmiechnął się Bill.

— Chociaż się w nocy obudzę, to potrafię natychmiast zasnąć. Dla-

czego nie miałbym spróbować i zwolnić na pewien czas Benedykta? Z pewnością czułbyś się lepiej bez niego.  
— To niemożliwe. Nigdy się z nim nie rozstaję. Benedykt rozumie mnie doskonale i zawsze wie, co robić, gdy... —  
urwał z widocznym zażenowaniem.

— Jestem pewien, że czułbyś się lepiej bez niego — powtórzył Bill. — Trzeba kiedyś spróbować, Gaspardzie. Sam  
jesteś winny, że nie wracasz do zdrowia. Nie starasz się o to.

— Owszem. Staram się! — zaprotestował Gaspard nerwowo. — Ty nic nie wiesz... nic nie rozumiesz. W gruncie  
rzeczy jest to o wiele trudniejsze, niż przypuszczasz.

— Wiem o tym — odparł Bill dobrotliwie, wzruszony zapewnieniem chłopca. — Nie opuszczaj głowy. Jestem  
gotów pomóc ci w każdej chwili.

— Nie możesz mi pomóc — wyszeptał Gaspard i znowu rozpacz zabrzmiała w jego głosie. — Właściwie nikt nie  
może.

— Ty mnie nie znasz! — zaśmiał się Bill. — Cięższe obowiązki jakoś mi się jeszcze nie znudziły. Ale wiesz, mój  
chłopcze, że niedobrze jest uzależnić się od jednej osoby. Uważam, że mógłbyś sobie jakoś dać radę bez Benedykta.  
Prawdopodobnie masz słuszność, że Benedykt jest bardzo pożyteczny, ale nie powinien się stać dla ciebie osobą  
niezastąpioną.

— Ty nic nie wiesz — powtórzył znów Gaspard, a potem nagle całkiem nieoczekiwanie wyznał: — Ja nie lubię  
Benedykta, nigdy go nie lubiłem. Jednak bez niego nie mogę się obyć. Żaden inny służący me potrafiłby tak ze mną  
postępować jak on.

— Więc go nie lubisz? — zdziwił się Bill.

Gaspard spojrział nań śpiesznie przerażonym wzrokiem, Jego nerwy widocznie tego popołudnia były wyjątkowo  
naprężone.

— Nieszczerólnie. Benedykt przypomina raczej dozorcę więziennego. Ale dobry z niego służący, nieprzeciętnie  
dobry. Nie mógłbym się go pozbyć.

— Mógłbyś, gdybyś spróbował — zapewnił Bill.

— Nie, nie. Nie mógłbym. — Chłopak mówił teraz z gorączkowym uporem. — Benedykt jest już u nas od wielu lat.  
Mama nie chciałaby o tym słyszeć.



— Twoja matka uczyni wszystko dla twego dobra — zauważył Bill z przeświadczeniem.

— Ale ja bym jej nawet nie prosił o to — oznajmił Gaspard gwałtownie. — Zresztą to by wcale nie było dla mego dobra. Na pewno bym wówczas skończył samobójstwem.

Bill odwrócił się spokojnie i spojrzał na Gasparda. Na czole chłopaka dostrzegł kroplisty pot, Gaspard oddychał pośpiesznie.

— Nie bądź głupi! — rzekł Bill łagodnie. — To nie jest takie ważne. Mówisz nierozsądnie, twierdząc, że nie mógłbyś żyć bez kogoś, kogo nie lubisz. Gdybyś opuścił Benedykta i przeniósł się do mnie na pewien czas, to zaręczam, że nigdy nie odczujesz jego braku.

— Nie mogę! — zawołał Gaspard. — Na miłość boską, dajmy temu spokój! Nie mogę tego uczynić.

— Niech i tak będzie — zgodził się Bill, wyjmując z kieszeni papierośnicę.

Przez chwilę palił papierosa w milczeniu, aż wreszcie usłyszał przyciszony głos Gasparda:

— Słuchaj, Bill!

— Cóż takiego?

— Jesteś zły? — zapytał Gaspard z niepokojem.

— O co? — zdziwił się Bill.

— O Benedykta.

— Ależ nie! Wcale nie myślałem o Benedykcie. — Przesłał chłopcu przyjazny uśmiech.

— A o czym myślałeś? — zapytał znów Gaspard, niezupełnie przekonany.

Bill uśmiechnął się.

— Myślałem o tym, że bardzo bym chciał być twoim ojcem

— Kim?

Głos Gasparda przeraził Billa. Odwrócił się pośpiesznie i dostrzegł wyraz przerażenia na twarzy chłopca, taki sam, jak wówczas, owej pamiętnej nocy, kiedy szalała burza. Instynktownie wyciągnął doń rękę.

— Co ci jest, Gaspardzie? Co się stało?

Gaspard chwycił rękę proboszcza i przywarł do niej kurczowo. Mówił teraz z trudnością.

— Wszystko dobrze... dobrze. Tak mi serce jakoś dziwnie za-

biło. Przeszło już. Coś powiedział przed chwilą? Nie słyszałem, coś mówił.

Dlaczego ten chłopak kłamał? Bill odczuł zdziwienie, lecz zorientował się, że nie należało na ten temat zadawać żadnych pytań.

— Uspokój się, mój drogi — rzekł łagodnie. — Lękam się, żeśmy rozmawiali zbyt dużo.

— Nie... nie... broń Boże! — zaprzeczył Gaspard gorączkowo.

— Coś powiedział? Coś na temat... że chciałbyś być moim ojcem?

— zmusił się do uśmiechu. — Całe szczęście, że nim nie jesteś! A gdyby tak nawet było, to co?

— Byłoby wówczas całkiem inaczej — odparł Bill ponuro, lecz dobrotliwie. — Z pewnością bym cię wykurował, skończyłbyś z tym ciągłym leczeniem się.

— Ja nigdy nie będę zdrowy — westchnął Gaspard.

— Nie mów w ten sposób nigdy w mojej obecności! — oburzył się Bill.

— Ale to jest prawda.

— Prawda z twego punktu widzenia — odparł Bill z powagą. — Na samym sobie polegać nie wolno. Zarówno twój stan fizyczny, jak i duchowy zależny jest pod wielu względami od twego własnego nastawienia.

Gaspard nagle zarumienił się.

— Nic nie rozumiesz — wyszeptał.

— Mój drogi chłopcze, rozumiem o wiele lepiej, niż przypuszczasz

— perswadował proboszcz. — Przechodzisz teraz ciężki okres. Jesteś chory na ciele i na umyśle. Ten objaw uważam za całkiem naturalny. Lecz tajemnica twego wyzdrowienia znajduje się w twym własnym posiadaniu. Nikt nie może ci pomóc, jeżeli sam sobie nie zaczniesz pomagać.

Gaspard wymamrotał coś niechętnie.

— Tak, wiem — ciągnął dalej Bill. — Ale to nie jest sposób. Matka twoja wspominała mi kiedyś, żeś się chciał poświęcić sztuce, mimo to jednak nie widziałem cię nigdy z ołówkiem w ręku.

— Po co zaczynać — wyszeptał Gaspard z westchnieniem pełnym smutku. — Wszystko, czego dotykam, obraca się w gruzy.

— Brednie! — oburzył się Bill.

Wzrok Gasparda poszybował w daleką przestrzeń.

— A jednak tak jest. Ty tego nie rozumiesz. Zresztą pragnę najprzód przestudiować życie. Nie będę nigdy twórcą krajobrazów. Gdybym zaczął rysować, byłoby mi przykro przerwać pracę z powodu choroby, a przecież okresy osłabienia przychodzą na mnie dość często.

— Co nazywasz tymi okresami? — zapytał Bill.

Gaspard milczał przez chwilę, wciąż wpatrzony w przestrzeń. Wreszcie odezwał się:

— Mówiłeś mi, nie tak dawno, że nie wierzysz w złe duchy, że się ich nie lękasz?

— Więc cóż?

— A ja jestem... jestem prześladowany.

— Co to ma znaczyć? Gaspard lekko potrząsnął głową.

— Nie umiem tego wytłumaczyć. Po prostu... jestem prześladowany. Czy to możliwe?

— Ależ oczywiście! — zawołał Bill tonem pełnym powagi. — Wielu jest takich ludzi na świecie. Czasami prześladowuje człowieka jakiś nałóg, chociażby pijaństwo albo nałóg palenia papierosów. Ja na przykład jestem nałogowym palaczem. Ale i na to jest rada.

— Otóż właśnie. — Gaspard zwrócił się nagle ku niemu. Oczy jego przybrały szklany blask. — Jest rada, Bill, gdy... gdy... coś przed chwilą powiedział, jest rada?

Nie pytał już teraz, lecz nalegał. Bill odczuł wzruszenie, lecz postanowił nie okazać tego chłopakowi. Pozostał nadal spokojny i wesoły. Uważał, że jest to jedyne antidotum na przykry nastrój młodzieńca.

— Jeżeli mówisz o wyrzutach sumienia — rzekł wreszcie — to oczywiście, że znajdzie się na to rada w każdej chwili. Codziennie masz możliwość zasięgnąć tej rady u Boga. Zasięgnij jej i bądź wdzięczny!

— A jeżeli nie można zapomnieć? — zapytał Gaspard.

— Bo nie chcesz — odparł Bill łagodnie. — To jednak nie jest miarą miłosierdzia boskiego. Pamięć czegoś, często również może być pomocą.

Gaspard zmarszczył brwi.

— Chciałbym i ja w to wierzyć — wyszeptał.

Bill zamilkł. Po dłuższej chwili ciszy Gaspard zaczął mówić z nerwowym podnieceniem, co wywarło na Billu znowu przykre wrażenie.

— Bill — rzekł — jesteś takim mądrym i szczerym człowiekiem. Wyjaw mi swoje zdanie\*na pewien temat, dobrze?

— Bardzo chętnie — odrzekł Bill.

Nie patrzył teraz na Gasparda, tylko zamyślonym wzrokiem błądził po spokojnej tafli morza.

— Otóż — rzekł Gaspard z wahaniem, lecz jeszcze ciągle tak samo gorączkowo — czy człowiek może być odpowiedzialny za coś, co usiłował zrobić, lecz później nigdy nie jest pewny, czy to zrobił?

— Moralnie jest odpowiedzialny.

— A duchowo? Myślę właśnie o duchowej stronie. — W głosie Gasparda brzmiała rozpacz.

— Pytasz, czy jest odpowiedzialny przed Bogiem? No tak, jesteśmy odpowiedzialni przed Bogiem za wszystko, co zamierzamy uczynić.

— Bill wypowiedział te słowa z najzupełniejszym spokojem.

— Przed Bogiem! Tak, ale nie... przed kimś innym — Gaspard nagle pochylił się naprzód z rękami przyciśniętymi do policzków.

— Ktoś, kogo skrzywdziłem w przeszłości, taki ktoś, czy może wrócić po śmierci?

— Nie! — odparł Bill z przeświadczeniem.

Pytanie to zaskoczyło go. Po raz pierwszy zwątpił o przytomności Gasparda. Chłopak nie był fizycznie normalny i nagle Billowi przyszło na myśl, że i zmysły jego musiały być nie w porządku. Mówił przecież o Benedykcie jako o dozorczy więziennym, a po chwili twierdził, że bez niego musiałby z sobą skończyć.

Bill spoglądał przez chwilę na bladą twarz chłopca, na której odzwierciedlało się paniczne przerażenie.

— Głupstwa pleciesz, mój drogi — uśmiechnął się łagodnie.

— Nie pojmuję, dlaczego tak mówisz — zawołał Gaspard niecierpliwie, — Przecież taka teoria istnieje od wieków, zupełnie niezależnie od religii. Nie możesz się z nią nie zgadzać, prawda?

Bill zastanowił się nad tą kwestią. Przypomniał sobie przestach Gasparda tamtej nocy podczas burzy, przypomniał sobie jego dziwaczne późniejsze zapytania. -Wówczas składał to wszystko na karb his-

teryecznych iluzji wywołanych jakimś podświadomym widzeniem. Teraz ujrzał to w całkiem innym świetle i zwątpił. — Nie zgadzam się z tym tylko dlatego — rzekł wreszcie — bo twierdzę, że duchy i zjawy nie będą tracić czasu na to, aby ukazywać się przeciętnym śmiertelnikom. Wykracza to poza granice mego rozumowania, Gaspardzie, i stanowczo w to nie wierzę.

— A przecież w tyle rzeczy wierzysz, które sprzeciwiają się zdrowemu rozsądkowi.

— To zależy — odparł Bill spokojnie — teraz trudno nam będzie na ten temat dyskutować. Jeżeli istnieje duch, który cię prześladowa, to postaram się przekonać cię o całym tym nonsensie, jeżeli przywołasz mnie do siebie w chwili, gdy ci się duch ukáže.

Nagły dreszcz przeniknął Gasparda.

— Na twój widok z pewnością by się rozpląnął. Nie miałbyś możliwości ujrzenia go.

— Pozwól mi spróbować!

Gaspard uczynił mimowolny ruch w jego stronę. Bill położył dłonie na ramionach chłopca.

— Słuchaj, mój drogi! Powinieneś ufać mi, jeżeli ci mogę w czymś pomóc. Kiedy cię to najbardziej prześladowa? W nocy?

Gaspard skinął głową, opuszczając wzrok ku ziemi.

— Każdej nocy?

Nie, nie każdej — odparł niechętnie Gaspard. Zdawać się mogło, że chłopak lęka się powiedzieć za dużo.

— Jak często? — nalegał Bill.

Wzrok Gasparda spoczął na jego twarzy z dziwną niepewnością.

— Ale nie powiesz nikomu... nawet doktorowi Brace?

— Nikomu — odparł Bill krótko.

— Przysięgasz?

— Na wszystko, co mi jest święte.

— A zatem — zaczął Gaspard prawie szeptem, rozglądając się dokoła nerwowo — widziałem go dwa razy od czasu, jak tu mieszkam. Raz... tamtej pamiętnej nocy, kiedy była burza, a później... dopiero wczoraj.

— Wczoraj? — przeraził się Bill.

— Tak. Była pełnia księżyca. Benedykt przyszedł później niż zwykle

z lekarstwem, które zawsze biorę na sen. Siedziałem przy oknie czekając. Ujrzałem go w świetle księżyca, stojącego pod tą wysoką jodłą... w tym samym miejscu, gdzie ujrzałem go podczas burzy. Nie mogłem nawet zawołać. Zdaje się, że zemdlałem. Gdy Benedykt wszedł, spojrzałem znowu przez okno, ale jego już nie było. Benedykt dał mi proszek i trochę koniaku. Całą noc jednak nie spałem i dlatego tak się źle czuję. Dlatego... — urwał nagle, przyciskając znów policzki dłońmi, aby, powstrzymać nerwowe drżenie.

Bill ciągle jeszcze trzymał dłonie na jego ramionach.

— Dobrze — rzekł — wszystko w porządku! Teraz słuchaj! Trzeba temu położyć koniec. Czy zawsze bierzesz proszki nasenne?

— Przeważnie — odparł Gaspard.

— A nigdy nie próbujesz zasnąć bez proszka? — Pytał Bill, spoglądając mu prosto w oczy.

— Lepiej nie próbować — odparł Gaspard bezradnie.

— Spróbujesz — nalegał Bill — po prostu dlatego, żeby mnie sprawić przyjemność. A ja ci obiecuję, przysięgam, przepędzić taką noc razem z tobą. Nie zasnę ani na chwilę.

Gaspard spojrzał nań z nagłym zdziwieniem.

— Nie zdobędziesz się na to — oświadczył.

— Zobaczymy.

— Ale... ale... — Gaspard począł się jękać — to nie sprawi żadnej różnicy. Nie mógłbym nie przyjąć proszka wówczas^ gdy... gdy zobaczę ducha.

— Pojmuję, lecz jakoś się temu zaradzi. Musisz mi zaufać, w zupełności. Znajdę przecież jakiś sposób, Gaspardzie. Innego wyjścia nie ma.

Powiedział to z większym przekonaniem niż kiedykolwiek. Rozwidniło mu się nagle na umyśle i zorientował się, jak należy postępować w takiej sytuacji.

— Przecież ja ci ufam — zawołał Gaspard. — Ale, gdybym nie mógł zasnąć, oszalałbym chyba.

— Nic ci nie będzie — przekonywał Bill. — Już pozostaw mnie to wszystko. Powiedz mi tylko, czy jeżeli twoja matka zgodzi się, przeniesiesz się na tydzień do mnie na plebanię?

— Wątpię, czy matka się na to zgodzi — rzekł Gaspard.

— Owszem, tak. Powiem jej o tym. Jestem pewny, że się zgodzi.

— A co z Benedyktem? — zapytał nagle chłopak.

— Postąpisz z nim, jak będziesz chciał — odparł Bill. — W każdym razie nie będzie przy tobie czuwał w nocy. Ten obowiązek spadnie na mnie.

— Nie wierzę w to, aby Benedykt chciał się przenieść na plebanię.

— To niech zostanie tutaj.

— A moja matka, nic jej nie mówiłem o wczorajszej nocy. Jest pewna, że ja sobie wszystko imaginuję.

— Mniejsza o to, jakie ma o tym zdanie! — rzekł Bill. — Czyń tak, jak ci radzę. Postaram się, aby ów duch przestał cię prześladować, musisz jednak dopomóc mi w działaniu.

— Uczynię wszystko — zawołał Gaspard nagle.

— Czy to jest obietnica? — zapytał Bill.

— Tak — Gaspard odwrócił się impulsywnie i wyciągnął doń rękę. W oczach jego ukazały się łzy. — Jesteś taki szlachetny, Bill. Jeżeli ktokolwiek na świecie chciałby mi pomóc, to na pewno ty byłbyś pierwszy.

Bill uściskał wyciągniętą dłoń chłopaka i zaśmiał się, nie dostrzegłszy w jego oczach łez.

— Tak, to będę ja, mój drogi chłopcze — odparł. — Możesz zawsze na mnie liczyć. Wszystko biore w swoje ręce. Pragnąłem ci pomóc już dawno a teraz nareszcie nadeszła pora.

\* \*

Bill pożegnał tego ranka Gasparda z głębokim postanowieniem w duszy. Nadeszła chwila działania, którego od tak dawna pragnął. Gaspard twierdził, że matka nie przyjmie planu proboszcza, lecz Bill był najzupełniej przekonany, że zgodzi się na wszystko. Po pożegnaniu z Gaspardem, począł szukać pani Rivers w domu i w ogrodzie. Doszedłszy do wniosku, że wyszła, opuścił Beech Mount, postanawiając wrócić wieczorem.

Lecz gdy schodził po pochyłości pagórka, dostrzegł ją stojącą w towarzystwie panny Barnet przed bramą ogrodu pani Winch.

Panna Barnet zauważyła go pierwsza, a twarz jej rozjaśniła się radością, z którą zawsze go witała. Dziwne, że i on pierwszy przemówił do panny Barnet, chociaż serce mu zabiło mocno na widok ukochanej kobiety.

— Chciałem panią prosić w przyszłym tygodniu o pomoc w organizowaniu sportów dziecięcych, panno Barnet — rzekł. — Mogę liczyć na panią?

— Chętnie uczynię wszystko — odparła z uśmiechem. — Ale przypuszczam, że mógłby pan znaleźć kogoś bardziej kompetentnego niż ja.

— Nie ma o tym mowy — zawołał Bill. — Nikt tak nie potrafi bawić się z dziećmi. Widziała pani kiedyś pannę Barnet wśród dzieci? — zwrócił się do pani Rivers. — Panna Ellen pod tym względem posiada prawdziwy dar.

— To jest wielka zaleta — odrzekła pani Rivers. — Sama przyjdę popatrzeć, jak tylko będę mogła. Teraz pan wyszedł od Gasparda?

— Tak. Jest dzisiaj w marnym nastroju.

— Zauważyłam to z samego rana — szepnęła. Panna Barnet otworzyła furtkę ogrodową.

— Już państwa pożegnam — szepnęła. — Pani Winch czeka na mnie.

Bill pośpieszył, aby przytrzymać zamykającą się furtkę.

— Zjawię się któregoś dnia, to wszystko omówimy — powiedział.

— Naturalnie, naturalnie! — odrzekła panna Barnet z rumieńcem na twarzy. — Będę bardzo rada, gdy zdołam panu w czymś pomóc.

Szybko pobiegła ścieżką, a Bill zamknął furtkę. Pani Rivers czekała, jakby specjalnie prosił ją o to przed chwilą.

Spojrzenia ich spotkały się na jedną krótką chwilę.

— Chciałem z panią pomówić — rzekł Bill.

Poczęli iść wolnym krokiem w stronę plebanii. Pani Rivers nic nie mówiła, lecz w milczeniu jej wyczuwał coś, jakby niechęć w stosunku do siebie.

— Chciałem pomówić z panią jak przyjacieli.

— Ależ naturalnie! — zawołała, jakby nieco zdziwiona. — Doskonale to rozumiem.



Był zupełnie świadom tego, że zachowywała pewną rezerwę, bo przecież ostatnio starała się widywać z nim jak najrzadziej.

— Wstąpi pani, żeby zobaczyć aloes? — zapytał. — Zaczyna już kwitnąć.

— Bardzo chętnie zobaczę — odparła.

Gdy zbliżyli się do ogrodu plebanii, Bill otworzył furtkę i przypomniał sobie nagle, że ta kobieta już od dawna progę jego nie prze-stępowała. Całkiem mimo woli myśli swe wypowiedział słowami:

— Po raz ostatni, gdy była burza!

Pani Rivers uśmiechnęła się, nic nie mówiąc. Tak często przecież spotykali się w Beech Mount, że prawdopodobnie tamtą scenę uważała za skończony rozdział.

Weszli do ogrodu i ramię przy ramieniu poczęli iść szeroką aleją. Zbliżyli się do rozkwitającego aloesu, gdzie pani Rivers przystanąła oczarowana.

— Podoba się pani? — zapytał Bill. Spojrzała na rozwijające się powoli pączki.

— Wygląda jak coś bardzo świętego — szepnęła.

— Dlatego pragnąłem, aby pani go zobaczyła — rzekł Bill. — Ten kwiat tak dziwnie pasuje do pani.

— Cóż to takiego, co mi pan chce powiedzieć o Gaspardzie? — zagadnęła.

Pytanie to było niby rozkaz królewski. Mógł tylko ten rozkaz spełnić.

— Dziś rano miałem z nim szeroką rozmowę — odparł.

— I cóż?

Zdobył się na ostateczną odwagę.

:— Czy pani nigdy się o niego nie obawia? — zapytał.

— Często — odparła pani Rivers. — A dlaczego?

— Uważam, że można byłoby coś zrobić — wyszeptał.

— Mianowicie?

Bill począł walczyć z samym sobą, jakby czynił wysiłki, opierając się jakiemuś przemożnemu żywiołowi.

— Stan zdrowia Gasparda nie poprawia się, lecz z każdym dniem najwidoczniej się pogarsza.

Uczyniła niewyraźny ruch, który jego zdaniem był ruchem protestu.

— Czy on sam tak twierdzi? — zapytała.

— Ja to twierdę również — odparł.  
— A czy on tak panu powiedział?  
— Tak, powiedział mi, zresztą sam widzę to dokładnie. Nerwy ma zupełnie roztrzęsione. I wybaczy pani, ale wątpię, czy w obecnych warunkach może się to zmienić na lepsze.  
— Ma pan na to jakiś sposób? — zapytała pani Rivers.  
— Owszem, mam. — Bill zwrócił się do niej twarzą. Wolałby, żeby nie stała tak bez ruchu tuż przed aloesem. Chociaż przemawiała doń uprzejmym tonem, nie wyczuwał w nim jednak tej zwykłej nuty szczerości. — Mam sposób — powtórzył. — Nie wiem tylko, czy pani przystanie na moją propozycję.  
— Właśnie zastanawiałam się nad tym — wyszeptała. — Będę musiała pomyśleć. Nie wolno mi w takich razach decydować zbyt gorączkowo.  
— Uważam, że należy działać jak najspieszniej — rzekł Bill. Gdyby to nie była ona, z pewnością zaniechałby dalszych wywodów. Ale przecież ją ciągle jeszcze uwielbiał, była dlań świętą, pozbawioną wszelkich wad.  
— Więc co pan chce zrobić? — zapytała.  
— Chcę go przenieść do innej atmosfery — odparł Bill. — Pragnę go wyrwać spod wpływu Benedykta.  
— I mego? — dorzuciła pani Rivers. Zdziwił się. Tego od niej nie oczekiwał.  
— Po tysiąc razy nie! — zawołał. — Co panią naprowadziło na tę myśl?  
— Zastanawiałam się właśnie — powtórzyła znowu, unikając jego wzroku.  
— Na to z pani strony nie zasłużyłem.  
— Dlaczego to pana tak dotknęło? — zapytała szeptem. — Wprawdzie nigdy nie wywierałam na Gasparda specjalnego wpływu, ale możliwe, że moje towarzystwo źle na niego działa.  
— Pani! — zawołał Bill. — Pani mu może tylko dać dużo dobrego! Sądzi pani, że ja tego nie pojmuję?  
— Sądzę, że nie jest pan zupełnie sprawiedliwym sędzią — odparła z bladym uśmiechem. — Ale niechże usłyszę tę pańską propozycję. Może zgodzę się na nią natychmiast.

— Jestem pewny, że nie — wyszeptał Bill ze smutkiem — chociaż przysięgam, że czynię ją jedynie ze względu na chłopca.

— Ależ oczywiście, wiem o tym dobrze! — odrzekła.

— Może również ze względu na panią — dorzucił żartobliwie.

— Uczyniłbym dla pani wszystko, jak już zresztą kiedyś zaznaczyłem.

— Serdeczne dzięki — rzekła z powagą. — Ale mówiliśmy przecież o Gaspardzie.

— Tak, przyznał Bill. — Wracajmy do niego. Opowiadał mi, że miewa okropne noce i że przyzwyczał się do przyjmowania środków nasennych.

— O nie! — zaprotestowała pani Rivers. — To pomyłka. Doktor Brace nic mu nigdy nie dawał, oprócz środków uspokajających bóle.

— Może właśnie to lekarstwo miał na myśli. W każdym razie tak się do niego przyzwyczał, że twierdzi, iż nie mógłby się bez tego środka obyć. Wie pani chyba, że dla każdego człowieka taki narkotyk nie jest dobry, a szczególnie dla chłopca o jego temperamencie.

— Doktor Brace zapewnił mnie, że to nie jest żaden narkotyk

— rzekła. — Lekarstwo to uspokaja mu jedynie nerwy.

— Cokolwiek by to nie było, to jestem pewien, że nie wychodzi mu na dobre. — Gaspard jest stale osłabiony i podrażniony, więc uważam, że należałoby położyć temu koniec.

Odwróciła się doń z wolna, jak ktoś, kto po dłuższym namyśle powziął wreszcie jakieś postanowienie.

— Mr Quentin — rzekła przyciszonym głosem — ma pan słuszność, mówiąc, że Gaspard jest rozdrażniony. Stał się po prostu niewolnikiem własnej imaginacji. Myli się pan jednak sądząc, że wywołuje to zażywane przez niego lekarstwo. Proszę mi wierzyć, że nigdy nie pozwalałam mu przyjmować żadnych narkotyków.

— Więc czemu przypisuje pani to jego rozdrażnienie? — zapytał Bill.

— Roztrzęsionym nerwom. — Patrzyła nań teraz i był już pewien, że wywodów jego słuchała uważnie. — Rozdrażnienie to pochodziło od dawnych czasów, kiedy był ciężko chory. Zdaje się, że wspominałam panu, iż w czternastym roku życia przechodził straszliwą chorobę, bardzo zbliżoną do zapalenia mózgu. Nigdy potem nie wrócił do zdrowia.

Umilkła i Bill zauważył, że z wysiłkiem zachowywała spokój. Wzrok miała teraz opuszczony ku ziemi, a pierś jej falowała przyspieszonym oddechem. Wreszcie po dłuższej chwili poczęła mówić dalej:

— Gaspard cierpi \$d czasu do czasu na jakąś duchową depresję, podczas której utwierdza się w mniemaniu, że popełnił jakiś potworny czyn. Nie wiem, czy kiedyś wspominał panu o tym. Może ja właśnie powinnam pana ostrzec. W każdym razie zapewniam pana, że syn mój nie popełnił w swym krótkim życiu żadnego grzechu, który by zasługiwał na to miano.

Przestała mówić i Billowi zdawało się, że niecierpliwie czeka jego odpowiedzi. Była już mniej chłodna, lecz mimo wszystko zdawał sobie sprawę, że zaporą, istniejąca między nimi, wzrosła nagle.

— Doskonale to rozumiem — odezwał się wreszcie. — W każdym razie jednak należy coś uczynić, aby umysł jego zaznał trochę spokoju. Jestem pewien, że jeżeli fizyczny stan ulegnie poprawie, wszystkie cierpienia moralne same miną.

— Więc jakie są pańskie plany?

— Po prostu pragnę, aby mu pani pozwoliła przenieść się do'mnie na tydzień próby. Jeżeli to przyczyni się do poprawy jego zdrowia, pozostanie u mnie dłużej. Jeżeli nie...

— Tutaj! — przerwała mu nagle. — Tutaj, na plebanię?

— Tak — odparł Bill, orientując się już, że cały jego plan upada.

— Bardzo mi przykro — szepnęła. — Pan jest niezwykle szlachetny, ale niestety, nie uważam, aby to było możliwe.

— Jeszcze się pani nie zastanowiła nad tą propozycją.

— Istotnie — brzmiała jej odpowiedź — to pan się nad nią nie zastanowił.

Doszedł do wniosku, że decyzja jej była ostateczna. Wskazał ręką ławkę ogrodową, stojącą w cieniu.

— Może usiądziemy? — zaproponował.

Poszła za nim, lecz nie było ochoty w jej zachowaniu.

— Bardzo mi przykro — powtórzyła znowu tonem pełnym żalu.

— Mniejsza o to! — uśmiechnął się Bill. — Pomyślimy o czymś innym.

Dużo go kosztował ten wysiłek, bo sprawa leżała mu na sercu. Smutek jednak uwidaczniający się na jej twarzy zmył całą gorycz, która

zjawiała się w jego duszy. Pani Rivers odwróciła się i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Jest to największa dobroć, jaką pan kiedykolwiek wyświadczył

— rzekła.

Dotknął jej dłoni nieśmiało.

— Nie należy mówić o jakiejś tam dobroci. Pragnę tylko pomóc.

— Wiem — odparła. — Dlatego tak panu ufam. Tym razem jednak muszę odmówić. — Spojrzała na swą rękę, spoczywającą w jego uścisku. On zauważył to i cofnął rękę. — Muszę myśleć o skutkach takiej propozycji, chociaż pan o nich ani przez chwilę nie pomyślał.

— O jakich skutkach? — zdziwił się Bill.

Spojrzała nań znowu. Oczy jej błyszczały złościście pod wpływem pieśczozy słonecznych promieni.

— Mam na myśli to, co niegdyś panu powiedziałam — odparła łagodnie — że człowiek znajdujący się pod pręgierzem opinii, winien jest pewną odpowiedzialność, której mu nie wolno ignorować.

— Nie rozumiem.

Wzrok jej poszybował w daleką przestrzeń.

— Nie wolno dopuścić do tego — mówiła dalej — aby tutaj ktoś mógł o panu źle mówić z mego powodu.

— Nie rozumiem — powtórzył Bill jakimś nie swoim głosem.

— Owszem, rozumie pan — odparła ze spokojnym przeświadczeniem. — Wie pan dobrze o tym, że mój syn nie mógłby tu mieszkać, nie wzbudzając swą obecnością ludzkich komentarzy. Co by powiedziała pani Winch, doktor Brace, generał? Sądzi pan...

— Więc to jest powód? — przerwał jej Bill.

— W każdym razie jeden z powodów.

— A czy pani sądzi, że dbam o to, co ci wszyscy ludzie powiedzą?

— Ja dbam za pana — odparła.

— Pani dba... — pochylił się w jej stronę. — Powtórzy to pani raz jeszcze? — zapytał szeptem.

Odsunęła się, po czym wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Jakiż z pana dzieciak! — zawołała.

— Więc jest jeszcze inny sposób — rzekł po chwili zastanowienia

— lecz zanim go pani wyjawię, pragnę przekonać panią, że nie mam

zamiaru łamać danego słowa, które wzięła pani ode mnie owej nocy podczas burzy. Chyba mi pani wierzy?

— Naturalnie — odparła. — Ale czy musimy ten temat poruszać?

— Uważam to za konieczne. Tym razem jednak przedstawię pani tylko handlową propozycję, nic więcej. Wiem, że pani kocha Gasparda i wierzę w to, że pragnie mu pani pomóc. Pomóc będę mu mógł wtedy, gdy otrzymam zupełną swobodę działania. Nie mogę przecież teraz walczyć z Benedyktem.

— Ani ze mną? — zagadnęła pani Rivers.

— Pani będzie także pomagala, jeżeli przystanie pani na to, co zaproponuję. Musimy obydwójce ratować Gasparda. Jeżeli mi pani zaufa, przedsięwzięmę coś, czego nie będzie pani żałowała ani ze względu na siebie, ani też ze względu na niego. Czy wie pani, do czego zmierzam?

— Nie jestem pewna.

Siedziała bardzo spokojnie z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Z twarzy jej znikł uśmiech i była teraz martwa jak maska.

— Pozwala mi pani wyrazić tę propozycję słowami? — zapytał Bill. ---Proszę! — odparła spokojnie.

Zawahał się przez chwilę.

— A nie będzie pani obrażona?

— Nie — odparła tym samym tonem. — Nie potrafiłabym się na pana obrazić, Mr Quentin.

Zaczerpnął w płuca powietrza.

— Mogę panią przerazić — rzekł po chwili — ale nie przypuszczam. Otóż, mam wrażenie, że gdyby pani zdecydowała się zostać moją żoną, Gaspardowi wyszłoby to na dobre. Zamknęłoby to wreszcie usta tym wszystkim, którzy mogą moje współdziałanie komentować. Jednocześnie przysięgam pani, że choćby pani nawet nie przystała na moją propozycję, może pani liczyć na mnie do końca życia.

Umilkł. Pani Rivers spoglądała nań poważnie i badawczo. Na jej twarzy nie było ani cienia gniewu. Gdyby dostrzegł w tej chwili łzy napływające jej do oczu, zorientowałby się, że wzruszył ją do głębi tym swoim wyznaniem.

Milczała dość długo, po czym zdecydowała się odpowiedzieć.

— Proszę mi wybaczyć! Niezupełnie dobrze zrozumiałam. Czy

proponuje mi pan małżeństwo jako tarczę, jako wyjście z sytuacji, bez dalszych zobowiązań?

— Tak — odparł Bill z prostotą.

— Mam otrzymać wszystko — wyszeptła — i nic w zamian nie ofiarować?

— Nie — zawołał Bill. — Nie jestem takim głupcem, aby nie orientować się, że związek ze mną będzie dla pani dość dużym poświęceniem. Uważam jednak, że mogłaby się pani na to zdobyć, choćby ze względu na Gasparda.

— A co dla pana? — zapytała.

— Dla mnie wystarczy; zawsze będę zadowolony, gdy będę mógł się pani przysłużyć — odparł z najzupełniejszą powagą. — Jeżeli pani przyjmie moją propozycję, będę się uważał nawet za szczęśliwego. Jeżeli zaś nie, to postaram się pomagać pani w jakiś inny sposób.

— Wiem o tym — rzekła pani Rivers i zapadło między nimi dłuższe milczenie.

Bill czekał. Kapelusze zdjął już dawno, a teraz na jego czole ukazały się krople potu, który z pewnością nie był powodem upalnego dnia. Nie zdradzał jednak ani cienia emocji. Utrzymywał wszystkie zmysły na wodzy, oczekując jej decyzji.

Lecz nagle stało się coś, co poderwało panią Rivers z ławki. Było to skrzypnięcie furtki ogrodowej.

Pani Rivers stała przez chwilę, nasłuchując, po czym rzekła:

— Tak. Doskonale pojmuję pańskie dążenia, lecz przedmiot ten wymaga dłuższego zastanowienia. Nie należy nic postanawiać zbyt śpiesznie. Można byłoby potem żałować. Biedna kobieta nie zdaje sobie jeszcze sprawy, co byłoby lepsze. Ale powtórzę jej pańską radę i prawdopodobnie otrzymamy jej decyzję.

Po tych słowach odwróciła się od niego i spokojnie postąpiła kilka kroków na spotkanie pani Winch, wyłaniającej się z zarośli, i — Ciekawa jestem, czy przyszła pani z tą samą misją? — zapytała, podając przybyłej rękę. — Idzie tu o biedną panią Pemberton.

Pani Winch spojrzała na nią ostro, po czym ostentacyjnie zwróciła się do proboszcza.

— Nie — rzekła. — Przybyłam do pana, aby omówić sprawę sportów dziecięcych. Słyszałam od panny Barnet...,

— Ach, wobec tego do widzenia! — wtrąciła pani Rivers z uśmiechem. — Naprawdę, mr Quentin, muszę już iść. Do widzenia!

Wyszła. Furtka ogrodowa znowu skrzypnęła, a Bill nacisnął kapelusz na oczy w najwyższym zdenerwowaniu. W tej chwili uczuł wyraźną niechęć do pani Winch.

\*

Gdy tego wieczoru proboszcz po odprawionym nabożeństwie wrócił do domu, dostrzegł w hallu na stoliku jakąś kartkę, na widok której serce mu bić przestało. Mrok już zapadał, a on stał, spoglądając na kartkę i nie mając odwagi po nią sięgnąć. Wreszcie zabrał ją i wszedł do swego gabinetu.

Zamknął za sobą drzwi, po czym podszedł do biurka, gdzie tak niedawno jeszcze klęczał przed siedzącą panią Rivers. Było już późno. W sąsiedniej jadalni pani Henderson nakrywała do kolacji. Uszu jego dobiegał brzęk talerzy i nakryć, wpadający jeszcze głośniejszym hałasem w atmosferę śmiertelnej ciszy gabinetu. Dopiero po kilku sekundach zdecydował się otworzyć kopertę, trzymaną w ręku.

W niespełna pięć minut potem zjawił się przed panią Henderson w jadalni, która na widok jego bladej twarzy omal nie wypuściła z rąk trzymanej w ręku salaterki ze świeżymi kartoflami.

— Boże święty, sir! — zawołała — jakże mnie pan przestraszył.

— Przepraszam — wyszeptał Bill. — Chciałem pani powiedzieć, że muszę natychmiast wyjść. Młody panicz z Beech Mount ciężko zachorował. Proszę na mnie nie czekać z kolacją. Możliwe, że wrócę dopiero rano.

— Boże święty, sir! — powtórzyła pani Henderson. — Więc pan nawet nic nie przekąsi?

— Nic absolutnie, dziękuję. Nie mam ani chwili czasu. Jeżeli będę bardzo głodny, to zjem, jak wrócę.

Wybiegł i po chwili dosłyszała już tylko śpieszne jego kroki w hallu. Po pięciu minutach furtka ogrodowa skrzypnęła.

Kartka, znajdująca się w kieszeni Billa, zawierała treść krótką, lecz wymowną:



„Niech pan natychmiast przyjdzie do Gasparda. Jest bardzo chory. Ewa Rivers.”

Ewa! Ewa! Imię to dzwoniło w jego uszach, gdy biegł pod górę w zapadających coraz szybciej ciemnościach.

Dotychczas nie znalazł jej imienia, a jednak zdawało mu się, że przeczuwał je od dawna. Jakież inne mogłoby mieć imię, jeżeli nie Ewa? To imię było najbardziej kobiece i najbliższe jego sercu. <sup>v</sup>

Brama w Beech Mount stała otworem. Począł iść szeroką aleją lipową, która również tonęła już w mroku. Z okien mieszkalnego domu padał blask na ogród, lecz nie przenikał przez gęste konary drzew.

Dotarł do dwóch wysokich jodeł i minąwszy je odczuł nagle, że go ktoś z daleka obserwuje. Wkrótce jednak doszedł do wniosku, że to przywidzenia. Drzwi domu były zamknięte tylko na klamkę, toteż wszedł do wnętrza, nie wahając się ani chwili.

W mieszkaniu panowała zupełna cisza i hall tonął w ciemnościach. Zatrzymał się na chwilę w progu, po czym zamknął za sobą drzwi. Panowała tu jakaś dziwna atmosfera, coś tajemniczego i strasznego zarazem. Postąpił kilka kroków naprzód, po omacku odnalazł schody i począł wspinać się na nie. Nagle na górze otworzyły się jakieś drzwi, -drzwi pokoju Gasparda i lekkie kroki rozległy się w korytarzu.

— Ach! To pan przyszedł! — rzekła pani Rivers.

Dostrzegł ją na górnej platformie schodów z twarzą bladą, lecz spokojną.

— Przyszedłem natychmiast, gdy tylko przeczytałem pani kartkę — odparł. — Co się stało? Serce?

— Nie wiem — wyszeptała. — W każdym razie jakiś atak. Doktora nie ma w domu, więc wysłałam Benedykta autem, aby go u któregoś pacjenta odnalazł. Dotychczas jeszcze nie wrócił. Niech pan wejdzie! Wątpię, czy Gaspard pana pozna.

Wprowadziła proboszcza do pokoju. '

Palila się tu jedna lampa, a na kanapie leżał Gaspard z poszarzałą twarzą, najwidoczniej oddychając z trudem. Oczy miał zamknięte, lecz pod opuszczonymi powiekami gałki oczne poruszały się niespokojnie. Ręce spoczywały sztywno na kanapie.

Bill podszedł, pochylił się i przyjrzał się twarzy chłopaka.

— Czy kiedykolwiek były już takie objawy? — zapytał.

— Raz, gdy był jeszcze dzieckiem — odparła pani Rivers.

— I co lekarz wówczas mówił?

— Podejrzał, że to rezultat jakiejś trucizny, ale nie był pewny. Później mówił, że to zwykły atak. Nie miałam do niego jednak wielkiego zaufania.

Bill nagle spojrzął na nią, przejęty dziwnym brzmieniem jej głosu. Twarz jej jednak pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Pani Rivers w tej chwili nawet nań nie patrzyła. Miała wzrok utkwiony w bladej twarzy syna.

— Wie pani, co o tym myślę? — zagadnął nieoczekiwanie Bill. Pochylił się jeszcze niżej nad Gaspardem i dotknął jego śmiertelnie bladej twarzy. Była zimna jak lód. — Wie pani, co o tym myślę? — powtórzył.

— Co pan myśli? — zapytała szeptem. Wyprostował się i znowu spojrzął na nią.

— Myślę, że to jest zatrucie opium — odparł.

— To zupełnie niemożliwe.

— I mnie się tak zdaje — odparł Bill. — Nie możemy mu jednak pozwolić leżeć dłużej, Trzeba, żeby się ruszał.

— A serce?

— Musimy zaryzykować — rzekł stanowczo.

Nie powiedziała nic więcej i był pewny, że mimo rozpaczki nie będzie protestowała. Było dlań jasne, iż sądziła, że Gaspard już umiera.

Ten sam lęk zrodził się i w jego sercu, nie zdradził się jednak najdrobniejszym ruchem. Od tej chwili zaczął działać, jakby się znajdował zupełnie sam w pokoju.

Pochylił się i podniósł Gasparda. Najprzód posadził go, a potem siłą postawił na nogi.

Gaspard nie był zupełnie nieprzytomny, bo wybąkał coś w rodzaju protestu i otworzył na sekundę oczy, lecz natychmiast znowu je zamknął. Sprawiał wrażenie raczej automatu niż żywego człowieka i całe ciało miał zeszywniałe.

Bill nie wahał się już zupełnie. Jednym spojrzeniem objął sytuację i postanowił działać. Trzymając Gasparda wpół, próbował go zmusić do posuwania nogami.

Pani Rivers obserwowała tę scenę w zupełnym milczeniu, nie pomagając proboszczowi ani też nie utrudniając mu akcji. Twarz jej była spokojna i sprawiała wrażenie maski.

Bill nic do niej nie mówił. Całą duszą oddany był teraz temu, co czynił, usiłując za wszelką cenę wyrwać chłopca ze śmiertelnego snu. Trzymając go wciąż w silnych ramionach, oprowadzał po pokoju tam i z powrotem. Kilkakrotnie Gaspard zatrzymywał się, bo kolana się pod nim uginały. Głowę miał pochyloną na piersi i przy każdym ruchu przechylała się ona bezwładnie z ramienia na ramię. Od czasu do czasu wydawał jakiś dźwięk, jakby usiłował coś powiedzieć.

Minęła dłuższa chwila. Bill wciąż ciągnął tam i na powrót bezwładne ciało chłopaka. Przychodziły momenty, kiedy mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa i był prawie pewien, że nie zdoła swego dzieła doprowadzić do końca.

Gaspardowi przytomność wracała powoli i wyraźniej już teraz prosił, aby mu pozwolono odpocząć, Bill jednak za każdym razem odmawiał, zmuszając go wciąż do dalszego ruchu.

Wreszcie Gaspard otworzył oczy i spojrzał na matkę.

— Mamo! — wyszeptał nieco wyraźniej.

Pani Rivers stała wciąż bez ruchu, spoglądając na syna, lecz nie odpowiedziała mu ani słowem. Bill miał wrażenie, że ta zrozpaczona kobieta w tej chwili nie mogła dobyć z siebie głosu.

Pociągnął Gasparda znowu w stronę okna, lecz chłopak nagle zaczął krzyczeć i czynić rozpaczliwe wysiłki, aby się wyswobodzić z objęć proboszcza.

— Muszę odpocząć! — wrzeszczał. — Nie mogę już dłużej. Mamo, mammo, pozwól mi się położyć i zasnąć! Chcę spać. Chcę spać.

— Nie możesz — odparł Bill stanowczo. — Położysz się później, ale jeszcze nie teraz.

Gaspard jednak począł się coraz energiczniej wyrwać i coraz błagalniej spoglądał na matkę, jakby był małym bezradnym dzieckiem.

Wreszcie Bill zwrócił się do pani Rivers.

— Sądzę, że lepiej będzie, gdy pani stąd wyjdzie — rzekł.

Tym razem również nie odpowiedziała. Widział, jak pierś jej zafalowała lekko, jak odwróciła się bez słowa i przeszedłszy przez pokój, wyszła, zamykając cicho za sobą drzwi.

Potem nastąpiła najcięższa dla Billa chwila, bo Gaspard stracił zupełnie panowanie nad sobą, gdy się zorientował, że matka wyszła, a on został z człowiekiem, który nie miał dla niego w tej chwili odrobiny litości. Wybuchnął potokiem niezrozumiałych słów. Wreszcie zorientowawszy się, że nie wywiera to żadnego wrażenia, począł walczyć z Billem zawzięcie. Siły jednak opuściły go wkrótce i wybuchnął głuchym szlochem, zupełnie złamany i bezradny. Bill lękał się, że jego również siły wkrótce opuszczą, gonił już przecież resztkami. Wszakże dwie godziny minęły od chwili, gdy rozpoczął swe nadludzkie dzieło. Te dwie godziny przetrwał, nie tracąc cierpliwości.

Za oknem zapadała coraz gęstsza noc, gdy nagle uszu jego dobiegł warkot motoru. Mógł on oznaczać przybycie lekarza albo też jedynie powrót Benedykta. Bill nie miał czasu zastanawiać się nad tym. Lecz gdy po minucie drzwi się otworzyły i dwaj mężczyźni weszli do pokoju, proboszcz odetchnął z ulgą.

— Myślałem, że pan już nigdy nie przyjdzie, Brace — zawołał. Doktor Brace zbliżył się. Był to niski, korpulentny człowieczek

w binoklach, spoza których przenikliwym wzrokiem przeszywał pacjentów, jakby chcąc się zorientować, do jakiego typu ludzi należą.

Teraz uważne spojrzenie zatrzymało się na Gaspardzie. Gaspard przymknął oczy.

— Może go pan już teraz posadzić — rzekł doktor. — Niech chłopak wypocznie. Senność minęła.

Przeniósł wzrok na Billa z miną pełną niedomówień. Benedykt podszedł do Gasparda i otoczył go ramieniem. Jego szczupła twarz jak zwykle była bez wyrazu.

Gaspard wsparty na służącym, bliski omdlenia, pozwolił się podprowadzić do kanapy. Ułożono go na niej, po czym Bill, doktor i Benedykt zajęli się doprowadzeniem chłopaka do przytomności.

Pragnienie snu u Gasparda minęło, lecz osłabienie wzrastało z każdą chwilą i chociaż chwilowo niebezpieczeństwo przestało zagrażać, Bill zorientował się, że doktor Brace nie jest zadowolony ze stanu pacjenta.

Nie zdziwił się więc, gdy doktor po kilku minutach zwrócił się doń szeptem:

— Nie lubię takiego wyglądu. Muszę tu zostać na noc.

— Czy mu lepiej? — zapytał Bill.

— Owszem, lepiej. Ale szkoda, że nie przyszedłem wcześniej. Znalazłbym może jakiś radykalniejszy środek. Przyznaję, że uczynił pan wszystko, czego się można spodziewać od amatora. Ja także zmusiłbym go do ruchu, ale przydałby się jakiś zastrzyk.

— A co to jest? Opium? — spytał Bill.

Doktor Brace podniósł jedną brew i spojrział na Benedykta, stojącego przy kanapie, pochylonego nad nieprzytomnym Gaspardem.

— Nie wiem — odparł. — W każdym razie bardzo dziwna historia. Dobrze, że mu pan nie pozwolił zasnąć. Teraz już może spać spokojnie. Niebezpieczeństwo minęło.

— Chętnie bym został przy nim, żeby pana zastąpić — zaofiarował się Bill.

Doktor Brace potrząsnął głową.

— Dziękuję! I tak ma pan dosyć. Już ja się tym zajmę przez dzisiejszą noc. Prawdopodobnie rano będzie się czuł lepiej. Może pan pójść do domu, drogi przyjacielu. Uczynił pan już i tak bardzo dużo.

— O, ja się tak prędko nie męczę — zaprotestował Bill.

Mimo to jednak przeżycia ostatnich trzech godzin wyczerpały go do tego stopnia, że z wielką ulgą odetchnął, gdy obowiązek dalszego pielęgnowania chorego mógł złożyć na barki lekarza. Orientował się, że był tu teraz zupełnie niepotrzebny, tym bardziej, że Benedykt miał zostać lekarzowi do pomocy. Poczęła go dręczyć całkiem nowa myśl. Gdzie była Ewa? Dlaczego nie wchodziła do pokoju? Czyżby się także załamała pod ciężarem rozpaczy?

W korytarzu i w hallu było widno. Bill zszedł na dół gdzie przystanął, nasłuchując.

Nigdy jeszcze nie był w salonie, ale wiedział, które drzwi doń prowadziły i po kilku chwilach skierował się w tę stronę. Drzwi były otwarte, przepuszczając smugę światła z wnętrza. Zawahał się na progu.

— Proszę wejść! — usłyszał z salonu głos pani Rivers. Otworzył szerzej drzwi i wszedł.

Pani Rivers siedziała w kręgu lampy przy małym stoliku. Lampa rzucała czerwony blask na ten jeden kącik, reszta zaś pokoju tonęła w mroku.

Miała na sobie tę samą suknię, w której ją widział owej pamiętnej majowej nocy, gdy wleniu aloesu dziękowała mu za uratowanie życia Gaspardowi.

Zwróciła się ku niemu, gdy przystanął niepewnie na środku pokoju, bo dopiero teraz dostrzegł, że coś pisała.

— Jak on się czuje? — zapytała.

Głos jej był przyciszony, lecz spokojny. Zdawał się dobiegać jego uszu z jakiejś dalekiej odległości. Przypomniawsobie nagle ostatnie przejścia i niepokoje i uświadomił sobie, że ta kobieta cierpiała przecież jeszcze bardziej od niego. Pośpieszył ją uspokoić.

— O wiele lepiej — rzekł. — Najgorsze minęło, lecz jest bardzo osłabiony. Bracie ma zostać przy nim przez całą noc.

— Ach! — westchnęła. — Jak miło z jego strony! Czy ma wszystko, czego mu potrzeba? Już się Benedykt tym zajmie.

— Tak, Benedykt jest na górze — szepnął Bill.

— A pan? — zawołała nagle pani Rivers. — Nic pan nie jadł przez cały czas!

Głos jej zadźwięczał dziwnie srebrzyście na samym dnie jego duszy. Więc potrafiła nawet o tym myśleć w chwili tak panicznego niepokoju.

— O, o mnie nie trzeba się troszczyć! Wcale nie jestem głodny. Wstała. Odłożyła pióro i zbliżyła się doń.

— Niech pan siada! — rzekła. — Musi pan być bardzo zmęczony. Przecież tam na górze wszystko w porządku.

Przyniosę panu coś do jedzenia.

Nim zdążył zaprotestować, wyszła, a on stał wciąż, spoglądając przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. Był zmęczony, bardziej zmęczony moralnie niż kiedykolwiek w życiu.

Dopiero po chwili zorientował się, że przez cały czas miał wzrok utkwiony w skórze lamparta zawieszanej nad kanapą licząc mechanicznie punkciki światła odbijające się od niej. Tańczyły one przed jego oczami, aż wreszcie musiał przymknąć powieki. Potem usłyszał, że pani Rivers wróciła i postąpił na jej spotkanie.

Niosła tacę, którą chciał jej z rąk odebrać, lecz nie pozwoliła na to.

— Nie, nie! Niech pan siada! — zawołała. — Tam na kanapie. Tak mi przykro, że pan przez cały czas nic nie jadł. Usłuchał.

Przysunęła do kanapy mały stoliczek, po czym postawiła na nim tacę.

— Niech pan się najprzód napije! — rzekła, stawiając przed nim kieliszek już napełniony. — To koniak.

Znowu usłuchał i wypił.

Pani Rivers wróciła na swoje dawne miejsce przy biurku.

— Musi pan także coś zjeść — odezwała się po chwili. — Sądzę, że pani Henderson już śpi od dawna.

Sięgnęła znowu po pióro i odwróciła się od niego. Orientował się jednak, że jest to raczej pretekst. Przecież nie pisała. Aby jej sprawić przyjemność, zjadł jedną z kanapek, które mu przyniosła i wypił dwa kieliszki koniaku. Rozgrzało go to i oprzytomniało nieco.

Spoglądał na nią, na jej nieskazitelną linię szyi, na złociste bogactwo włosów. Dziwił się, dlaczego siedziała tak spokojnie z piórem w drżącej ręce. Czy chciała, żeby wstał i wyszedł? Czy obecnością swą sprawiał jej przykrość?

Ciągle zwrócona plecami ku niemu, poczęła nagle mówić nieoczekiwanie:

— Muszę panu podziękować. Nigdy nie zapomnę tego wszystkiego, co pan dla mnie uczynił.

— Nie powinna pani tego poczytywać za jakąś zasługę z mej strony

— odparł Bill z prostotą.

Uczyniła jakiś ruch, lecz pozostała nadal w tej samej pozycji.

— Z mego punktu widzenia nie było to niczym innym — rzekła.

— Wie pan, co teraz robię, co usiłowałam robić w ciągu dwóch ostatnich godzin?

— Nie wiem — odparł Bill. Odłożyła pióro.

— Usiłowałam napisać do pana.

— Do mnie! — Bill pochylił się naprzód. — Ale po co... skóro jestem tutaj?

Zwróciła się doń wolno, lecz z odwagą.

— Posłałam po pana, wiedziona pierwszym impulsem. Byłam ogromnie przerażona. Teraz widzę, że byłam w błędzie. Byłoby lepiej... lepiej nawet... — umilkła, nie mogąc dokończyć.

— Mój Boże! — westchnął Bill. Żadne inne słowa nie cisnęły mu się na usta. Pani Rivers uczyniła gest protestu.

— Nie chciałam pana przerażać. Ale dzisiaj... dopiero dzisiaj zorientowałam się, że Gaspard nigdy nie powróci do zdrowia. Uratował go pan tylko na pewnien czas, ale nie na długo. Ten chłopak niknie w oczach. Nie mam prawa... wiem, że nie mam prawa przyjmować pańskiej przyjaźni, pańskiego poświęcenia tylko dlatego, że jest mi pan pomocny we wszystkim. Był pan dla nas za dobry, a ja zawsze korzystałam z tej pańskiej dobroci.

— Dajmy temu spokój! — zawołał Bill. Mówił głośno, niemal gniewnie, lecz gniewu nie było w jego spojrzeniu, gdy na nią patrzył. Wyciągnął rękę w jej stronę. — Niech mi pani da ten list, który usiłowała pani napisać! — zażądał.

Zawahała się.

— Nie jest skończony. Nawet połowy tego w nim nie napisałam, co pragnęłam powiedzieć.

Ręka jego pozostała wyciągnięta.

— Niech mi go pani da! — rozkazał. Sięgnęła po list niepewnie.

— Niezbyt dobrze to wszystko wyraziłam. Wolałabym raczej, żeby go pan nie czytał.

Podniósł się z kanapy i podszedł do niej. Ukląkł u jej nóg jak niegdyś w swoim gabinecie. Teraz jednak nie wyciągnął do niej ramion, tylko otoczył nimi jej kibić.

— Ewo — wyszeptał — usiłujesz powiedzieć mi prawdę, czy chcesz ją przędę mną zataić?

Uczyniła ruch, jakby pragnęła wyswobodzić się z jego objęć, lecz po chwili siedziała znowu spokojnie, nie mówiąc, nie oddychając nawet, z przymkniętymi oczami. Zauważył, że była śmiertelnie blada.

— Czy się mnie lękasz? — zapytał. Potrząsnęła wolno głową.

— Nie masz powodu — mówił dalej. — Ale ukrywasz coś przede mną jednocześnie. Cóż to takiego? Czy ten list mi powie?



Nic nie odrzekła.

— Ewo! — wyszeptał znowu.

Nagle dreszcz przeniknął ją od stóp do głowy. Podniosła drżącą dłoń i położyła na jego ramieniu. Nie usiłowała go jednak odepchnąć od siebie. Po chwili dopiero zaczęła mówić, mając oczy ciągle zamknięte.

— Chcę ci powiedzieć, że Gaspard był synem najbardziej nieszczęśliwego małżeństwa. Wierzę nawet w to, że skazany jest na wczesną śmierć i oswajam się powoli z tą myślą. Dotychczas byłam zawsze sama. Jedynym moim przyjacielem był Benedykt. Ale ty, dzięki swej dobroci, stałeś mi się bliski, ale ja nie zawsze uczciwie z tobą postępuję. Właśnie dlatego napisałam ten list. Wolałabym jednak, abyś go nie czytał.

— Nie mam ochoty go czytać — odparł Bill. — Pragnę raczej wszystko wyczytać z twoich oczu. Historii twego małżeństwa domyślałem się od dawna. Co do Gasparda, to się z tobą nie zgadzam, ale nie pora teraz mówić o tym. Pragnę tylko wiedzieć jedno. Czy ten mężczyzna nauczył cię niewiary do wszystkich ludzi? Czy wszyscy mamy być potępieni przez niego?

— Nie — szepnęła z zapartym oddechem. Zaledwie usłyszał tę jej odpowiedź.

— Czy chcesz spojrzeć na mnie? — zapytał.

Otworzyła oczy, lecz spojrzenie jej pomknęło w stronę leżącego na stole listu.

— Czyż ten list ma mi wyjaśnić to, czego pragnę się dowiedzieć? — zapytał.

— A co cię tak zaciekawia? — zapytała pani Rivers. Poruszył się. Ujął ją za ramiona.

— Ewo — zaczął teraz również stłumionym głosem — jak ci mam to wszystko wytłumaczyć? Pragnę twojej duszy, nie twego ciała.

— A skąd wiesz, skąd wiesz, że dusza moja właśnie jest tak szlachetna? — szepnęła.

Głos jej drżał. Drżała również na całym ciele, lecz nie odsuwała się od niego. Po chwili dopiero jej wzrok spoczął na jego twarzy. Oczy jej błyszczały.

Przyciągnął ją do siebie.

— Nie, nie mylę się — zawołał. — Ubóstwiam twoją duszę i ciało, a Bóg jeden wie, jak wielką jest moja miłość. Czyżbyś się bała mi zaufać?

— Ufam ci bardziej niż sobie samej — odparła. — Zaczekaj jednak, zaczekaj! To jeszcze nie wszystko. Istnieją w moim życiu takie rzeczy,  
o których nigdy z nikim nie mówiłam, nawet z tobą. Musisz się o tym dowiedzieć. Musisz wiedzieć o wszystkim.  
— Istnieje dla mnie tylko jedno. Ty — odrzekł Bill. — Powiedziałaś mi kiedyś, że nie mogę mieć nadziei, że mnie nigdy nie pokochasz. Tego się pragnę tylko dowiedzieć. Czy to jest prawda?  
Nie unikała już teraz jego wzroku.  
— A jeżeli nie? — zagadnęła. — Jeżeli przeżyłam już wszystko i nic we mnie nie pozostało ani dla ciebie, ani też dla innych mężczyzn?  
— Musiało coś pozostać — upierał się.  
— Czy to by cię zadowoliło? — zapytała. — Czy nie sądzisz, że któregoś dnia obudziłbyś się, mając w ustach smak popiołu? Czy zdobyłbyś się na to, aby poświęcić jasność dla cienia?  
— Co masz na myśli? Odwróciła się od niego.  
— Mam ci powiedzieć, co myślę? Sam nie pojmujesz? Uścisk jego dłoni na jej ramionach stał się mocniejszy.  
— Powiedz, co masz na myśli? — powtórzył. Odwróciła głowę i znowu spojrzała na list.  
— Czy powinnam ci o tym mówić? — wyszeptwała.  
— Przypuszczam, że to nie uczyni żadnej różnicy — odparł głosem dziwnie ponurym., — O ile się orientuję...  
— Ach! Tak mówisz — przerwała. — Za chwilę jednak będziesz mógł stwierdzić własną omyłkę. Tak, powiem ci, bo jesteś szczerym człowiekiem i uważam, że powinieneś wiedzieć. Mówiąc o jasności i o cieniu, miałam na myśli, że ta pierwsza jest tak blisko ciebie, wówczas... — umilkła. — Nie powinniśmy rozmawiać o tym. Czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że w Rickaby jest ktoś... kobieta o szlachetnym sercu... która się głęboko tobą interesuje? Jeśli wiesz o tym, nie odpowiadaj, bo jest to zbyt święte. Jeżeli nie wiesz, postaram się to wyjaśnić.  
— Któż to taki? — zapytał Bill, ale wiedział, jaką otrzyma odpowiedź.  
— Ellen Barnet.  
— Mówiła ci o tym?

— O nie! — zaprotestowała. — Czyżbym wszczynając ten temat z tobą, gdyby mi mówiła? Jestem pewna, że nie wspomniała o tym żywej duszy, nawet z samą sobą o tym nie mówi. Ale to jest prawdą, czymś realnym, godnym ciebie. Nie należy odrzucać tak cennego daru.

— Proszę cię, przestań! — po raz pierwszy w życiu Bill przemówił z taką stanowczością. — Nie może być mowy o odrzuceniu, tylko o tym, że po prostu nie mogę przyjąć tego daru. Nie pojmujesz? Ona to na pewno dobrze rozumie.

— Tak, ona rozumie — przyznała pani Rivers. — Ale czy ci nie szkoda?

— Nie — zawołał z uporem. — Nigdy o tym nie będzie mowy. Możesz być pewna. Może nie chcesz się przyznać, ale w głębi serca masz również to przeświadczenie, że los chciał, abyśmy się spotkali i pokochali. — Wypowiedział to z niezwykłą siłą, a jej twarz znowu nagle posmutniała. — Tak, to jest miłość, chociaż ty się do tego nie przyznajesz. Gdyby to nie była miłość wzajemna, z pewnością przeczułbym. Dałabyś mi znać o tym. Możesz mnie odegnąć od siebie, ale nigdy nie zmusisz mnie do tego, abym uwierzył, że nie jesteś zdolna mnie pokochać.

— Owszem, potrafiłabym cię zmusić, potrafiłabym cię przekonać — wyszeptła z pochyloną głową.

— To uczyn to! — zawołał. — Uczyn to! Spójrz na mnie i spraw, abym uwierzył!

Poruszyła się niespokojnie w jego uścisku.

— Puść mnie! — szepnęła.

Wzruszyło go całkiem co innego, nie jej prośba. Opuścił ręce i podniósł się.

— Teraz! Uczyn to teraz! — nastawał.

Siedziała bez ruchu, z pochyloną nisko głową. Potem z głębokim westchnieniem nagle wstała. Spojrzeli na siebie w przyćmionym blasku lampy. Bill czekał. Pani Rivers sztywnym ruchem podniosła w górę rękę i wskazała drzwi.

— Proszę wyjść! — rzekła przyduszonym szeptem.

Spojrzał na nią i zrozumiał, że chciała powiedzieć coś całkiem przeciwnego. Ręka jej nagle opadła i zauważył, że znowu drżała. Podbiegł śpiesznie i chwycił ją w ramiona.

— Ewo! — zawołał z zarem w głosie — Ewo, moja najdroższa! Pod wpływem jego dotknięcia przestała drżeć i przytuliła się doń mimo woli. Upór jej był złamany.

Trzymał ją czule objęciach, zaskoczony niemal tym nagłym poddaniem, nie wierząc po prostu w jego prawdziwość i tak trzymając ją, zorientował się w pewnej chwili, że płakała. Przytulił swą twarz do jej włosów.

— Co to? — zapytał szeptem. — Powiedz, powiedz mi! Nie żałujesz tego?

Zarzuciła mu ramiona na szyję i już pewny był teraz, że należy do tych kobiet, które nie cofają nigdy tego, co powiedziały.

Wreszcie jej płacz przycichł, chociaż piersią wstrząsał jeszcze głuchy szloch. Gdy po dłuższej chwili poruszyła się w jego ramionach, odważył się przemówić znowu:

— Nigdy nie lękaj się, że będę chciał dowiedzieć się tego, co wolisz zamknąć w swym sercu! Przysięgam ci, że nigdy nie będę tego od ciebie wymagał.

Podniosła głowę, którą przedtem oparła na jego ramieniu i spojrzała mu w oczy. Oczy jej pałały teraz blaskiem.

— Nie — wyszeptała, a w głosie jej była radość, jakiej nie słyszał nigdy dotychczas. — Nie będę się już lękała, mój szlachetny rycerzu.

Zdało się, że płomień wielkiego uczucia rozgorzał między nimi. Widział ją znowu taką, jak wówczas tej wiosennej nocy, swoją czarodziejkę, boginię swoją, swój cel w życiu.

Bez słów przyciągnął ją do siebie i ucałował gorąco jej namiętne wargi. Znowu ramiona kobiety opasały jego szyję. Czuł jej dłonie na swoim karku. Westchnęła cichutko i odwzajemniła mu się również gorącym pocałunkiem. Potem całkiem spokojnie wyswobodziła się z jego ramion.

— Dostyc na dzisiaj — szepnęła. — Czy wiesz, która godzina? Musisz już iść, Bill.

Nie puszczał jej jeszcze. Wspomnienie tych pocałunków było niby upajające wino.

— A jeżeli pójdę — uśmiechnął się — będziesz taka sama, gdy wrócę znowu? Ewo, przyrzekasz mi?

— O nie! — odparła. — Przyrzeczenia istnieją między ludźmi, którzy sobie wzajemnie nie ufają.

— Przebacz! — zawołał. — Ale nie wiem, jak będę cię mógł zostawić. Ja cię tak szalenie Kocham!

Łagodnym ruchem uwolniła się z jego objęć.

— Ja cię także Kocham — odparła — za bardzo cię Kocham, abyś mógł tu zostać. Nie, Bill, nie! Musisz: już iść.

— Nie pocałujesz mnie raz jeszcze, żebym mógł uwierzyć, iż to wszystko jest prawdą?

— Nie, ani razu — odrzekła. — Może to nie jest prawdą. Może śnimy. Przekonamy się, gdy ranek nadejdzie. Ale dzisiaj już dosyć.

Usłuchał i wyszedł do cichego hallu, a potem przed dom, zabierając z sobą palące wspomnienie jej pieszczot i pocałunków. Teraz o niczym innym już nie pamiętał.

\*

\* \*

Generał Farjeon był chory. Tym razem nie podagra mu dokuczała. Nikt na pewno nie wiedział, co mu było, bo nie zgadzał się na wizytę lekarza, a służba nie miała odwagi wzywać doktora bez pozwolenia generała.

Leżał spokojny i sam, mrużąc niechętnie, gdy ktokolwiek wchodził do jego pokoju. Nie narzekał na żadne bóle, nie był osłabiony, mimo to jednak leżał w łóżku, nie interesując się niczym, co go otaczało.

Pan Morton z prostego obowiązku złożył generałowi wizytę, lecz nie został przyjęty.

— Powiedz mu, żeby się wypchał! — brzmiała niechętna uwaga generała, którą taktowny lokaj powtórzył mniej więcej w ten sposób: — Pan generał bardzo przeprasza, sir, ale dzisiaj jest ogromnie osłabiony i nie może nikogo przyjąć.

Dni mijały za dniami, dni złocistego lata, a generał wciąż leżał w łóżku.

Służba szeptała między sobą rozmaicie, tylko stara gospodyni twierdziła, iż generał ma wyraźne objawy złamanego serca. Murarz, który naprawiał kiedyś komin, dorzucił również swą uwagę, a miano-

wicie, że „choć trudno jest przewidzieć nieprzewidziane okoliczności, to jednak on tę chorobę przewidywał”. Żadna jednak z tych uwag nie docierała do generała, leżącego samotnie w jasnej sypialni, obserwującego z godziny na godzinę wędrujące po pokoju promienie słoneczne i śpiącego w nocy tak lekko, że mógł liczyć dokładnie każde bicie zegara.

Codziennie przynoszono mu gazety, lecz nawet do nich nie zaglądał i zabierano je znowu nie rozwinięte, w takim samym stanie, w jakim tutaj trafiały.

Gdyby jakiś postronny obserwator widział generała, wyczułby panującą w sypialni samotnego starca dziwną atmosferę wyczekiwania.

Ileć wspomniano o generale, pani Morton zawsze uroniła kilka łez. Było to jedyne, co mogła dlań uczynić, chociaż Fanny i za to ją gromiła. Na usprawiedliwienie Fanny należy dodać, że generał nigdy nie wkroczył w sferę jej zainteresowań, przeciwnie odczuwała doń zbyt dużą niechęć, aby miała zapragnąć nagle polepszenia losu starca. Doszła do wniosku, że zarówno on, jak i jej młodsza siostra przeżyli wprawdzie krótki, ale szczęśliwy okres, nie podzielała jednak żalu swej matki, która biadała, że okres ten skończył się tak prędko. Myśl o Molly nigdy nie była dla Fanny radosna. Przecież Ellen była starsza od niej o pięć lat, więc mowa o jej małżeństwie z młodym pastorem była po prostu zabawna.

Tymczasem Stafford i Molly przebywali w Paryżu, wydając tam pieniądze, o czym Molly donosiła zazwyczaj w króciutkich listach pisanych do matki.

Tylko dwa takie listy nadeszły od chwili jej ucieczki; pierwszy, donoszący swobodnie o zawartym małżeństwie ze Staffordem, drugi — komunikujący, że miesiąc miodowy spędzają w Paryżu. Lecz pewnego ranka, mniej więcej w dwa tygodnie po sensacyjnym wyjeździe Molly z rdzinych stron, nadszedł list trzeci, opatrzony londyńskim stemplem pocztowym.

Pani Morton otworzyła go z drzeniem przy śniadaniu. Nikt właściwie nie wiedział, dlaczego Molly uważana była w całej rodzinie za ulubienicę matki. Sama pani Morton też nie potrafiłaby tego wytłumaczyć, chociaż, jak twierdziła nieco złośliwie Fanny, działało się to

prawdopodobnie dlatego, że Molly przysparzała zawsze rodzicom więcej trosk niż inne córki.

Pani Morton spojrzała znad arkusza papieru, trzymanego w ręku.

— Ach, Tom — rzekła drżącym głosem. — Molly przyjeżdża na niedzielę do domu.

Fanny spojrzała ostro, nim jeszcze ojciec zdołał odpowiedzieć.

— Więc zamierzasz ją mimo wszystko przyjąć? — zapytała'.

— Dlaczego, oczywiście, oczywiście! — zawołała pani Morton ze łzami w oczach. — Moje biedne opuszczone dziecko zawsze będzie miało dom, do którego może wrócić, dopóki matka ma dach nad głową.

Pan Morton chrząknął znacząco. Nie był taki czuły jak jego żona, lecz nie lubił z zasady sprzeciwiać się kobietom.

— Wraca sama? — zapytał.

Pani Morton spojrzała nań spoza mgły łez z prawdziwym oburzeniem.

— Ależ nie! Oczywiście, że nie! Przyjeżdżają razem. Major Kenyon wystarał się o urlop. Molly nie pisze na jak długo, pisze tylko, że postanowili przyjechać na niedzielę, aby zobaczyć, czy wszystko stoi na swoim miejscu. Moja kochana, maleńka Molly! — otarła łzy i po raz drugi poczęła odczytywać list. — Muszę przygotować dla nich pokój. Żebym tylko nie zapomniała przenieść dywanu z pokoju Fanny, aby nim zakryć dziurę w podłodze.

— Też pomysł! — mruknęła Fanny.

— Jakże się cieszę, że ją znowu zobaczę! — ciągnęła dalej pani Morton. — Tak często się o to modliłam.

— A co z generałem? — zwróciła się Fanny do ojca. — Jak będziecie mogli po tym wszystkim spojrzeć mu w oczy?

— Moje drogie dziecko, trudno! — zaprotestowała matka. — Biedny generał jest chory i może się wcale o tym nie dowiedzieć.

Pan Morton wstał z trochę zmartwioną miną.

— Sądzę, że dzwony będą zbyt liczne? — rzekł niespokojnie. Dzwony kościelne były już przez całe popołudnie, aby uczcić radosną

chwilę powrotu wikariusza i jego żony.

— Ach, nie! — zawołała pani Morton. — Moja maleńka nie potrzebuje dzwonów, które by zwiastowały jej powrót do rodziny.

Z tymi słowy pani Morton odeszła, aby przygotować dom na przyjęcie młodej mężatki.

Do niedzieli brakowało zaledwie jeden dzień, a major Kenyon był dość ważnym gościem, Pani Morton postanowiła wystąpić przed nim godnie.

W nocy poprzedzającej przybycie nowo zaślubionej pary, pani Morton prawie wcale nie spała. Utrata Molly była dla niej tak straszna, że teraz jej nagły powrót wydał się matce snem, który w świetle dnia mógłby się rozplątać we mgle. Pani Morton po prostu lękała się zasnąć.

Przyjechali po południu samochodem Stafforda. Pani Morton wyszła na ich spotkanie, gotowa przebaczyć i błogosławić, lecz powstrzymała się w ostatniej chwili na widok swego zbłąkanego dziecka. Oto Molly, która wyskoczyła z samochodu, aby ją przywitać, na pierwszy rzut oka niepodobna była zupełnie do tamtej dzikiej, nieposłusznej dziewczyny, która opuściła dom rodzicielski, dopiero przed trzema tygodniami. Miała na sobie elegancki paryski płaszcz, istny poemat barw oranżowej z żółtą i obdarzyła matkę czułym choć milczącym uściskiem przy akompaniamencie sztucznego śmiechu, który brzmiał bardzo chłodno.

— Jak się wszyscy macie? — zawołała. — Mam nadzieję, że nic się nie zmieniło? Jak tu dziwnie wygląda!

Pani Morton onieśmiewiona elegancją córki, wybąkała coś od rzeczy.

— Ach! My tu nie będziemy spali — zaśmiała się Molly. — Zbliź się do nas, Staffordzie! Zatrzymamy się w hotelu, to będzie o wiele wygodniejsze.

— Ależ... ależ ja dla was wszystko przygotowałam, kochanie — zaprotestowała biedna pani Morton, ściskając z nerwową serdecznością dłoń Stafforda.

— To nic nie szkodzi — odpowiedziała Molly. — W drodze

zmieniliśmy zamiar. Stafford nie znosi rodzinnych modlitw, a ja muszę przyznać, że także nie jestem nimi zachwycona. Herbata gotowa?

— Gotowa, gotowa, oczywiście — zawołała pani Morton, polykając łzy, które cisnęły jej się do oczu. — Ojciec i dziewczęta oczekują was w salonie. Za chwilę pewno będą w hallu, tylko ja pragnęłam pierwsza was powitać.



— Ach, Boże! — westchnęła Molly. — Cóż za uroczystość! — przesłała mężowi znaczące spojrzenie i skinęła głową. — Przypuszczam jednak, że to przeżyjemy. Wejdźmy więc i skończmy z tą ceremonią! Odrzuciła z ramion oranżowy płaszcz, ukazując elegancką suknię cytrynowo-czarną dopasowaną do jej zgrabnej talii. Matka otworzyła przed nią drzwi salonu, Molly zaś weszła kołysząc się w biodrach, jak zawsze dawniej, gdy chciała zaznaczyć, że nic sobie z niczego nie robi.

— Hallo, wszyscy! — zawołała. — Cieszę się, że was znowu widzę. Nie uważacie, że jest za gorąco na pocałunki? Hallo, ojczy! Kiedy wreszcie oczyścisz ten swój stary surdut? Podobnie brudnego ubrania w życiu nie widziałam. Hallo, Fanny! Znowu opaliłaś sobie loczki. Dlaczego nosisz taką staroświecką fryzurę? Zresztą właściwie wcale mnie to nie obchodzi! Hallo, Berta i Lucy! Czy to są wasze suknie druchen? Moje drogie dziewczynki przecież to już dawno przestało być modne. Jeżeli mnie choć trochę lubicie, to więcej nie będziecie mi się w tych sukniach pokazywały! Siadaj, Staffordzie!

Po tej przemowie Molly eleganckim ruchem siadła na fotelu. Wyglądała istotnie pięknie i widocznie była świadoma tego.

Reszta rodziny zajęła swe miejsca w pełnej zażenowania ciszy. Stafford po zamienieniu uścisku rąk ze wszystkimi z uwagą teraz przyglądał się swoim butom.

Zaległo wszechwładne milczenie, które nagle przerwane zostało wtargnięciem foxteriera Jacka, który wbiegł z ogrodu z głośnym skowytym i rzucił się z radością na Molly.

Zerwała się gniewnie, odganiając go od siebie. Psiak jednak nie ustępował, skacząc coraz wyżej i plamiąc jej suknię zabłoconymi łapami, liżąc kapelusz, włosy, ręce, po prostu tarmosząc ją z radości. Aż wreszcie ściągnął jej kapelusz z głowy i wybiegł z nim do ogrodu.

Rodzina obserwowała tę scenę z oddali, Stafford ze śmiechem, do którego przyłączyła się złośliwa Fanny. A gdy Molly wróciła potargana i zabrudzona, płonąca gniewem, jedynie matka okazała jej współczucie.

Zbliżyła się zaraz do niej ze słowami czułości.

— Kochanie, wybacz! Możesz włożyć którąś ze swych letnich sukienek, naprawdę lepiej ci w niej będzie. Chodź i przebierz się zaraz! Ja ci pomogę.

— Zabiję to wstrętne psisko — zawołała Molly, wymierzając w przejściu szturchańca mężowi. — To zakała całego domu! Dlaczego nie trzymacie go na łańcuchu? Spójrzcie na mnie! Cała suknia w strzępach.

— Mniejsza o to! — odparł Stafford, powstrzymując konwulsyjny śmiech. — Niewiele była warta.

Molly porwała z krzesła swój oranżowy płaszcz i rzuciła go na podłogę.

— Możesz to sobie wziąć na pamiątkę, ty idiotko! — zawołała w stronę Fanny.

Fanny wstała z godnością i kopnęła płaszcz nogą.

— Jak śmiesz! — zawołała Molly, przyskakując do niej. Matka wmieszała się w tę sprawę.

— Nie, kochanie, nie! Fanny tak nie myślała. Fanny, daj spokój. Chodź Molly, moje kochanie!

— Nie chcę! Nie chcę! — wściekła się Molly. — Zostanę w tych łachmanach, aby wam zrobić wstyd.

— O nie, tego nie uczynisz! — wtrącił nagle Stafford. — Zrobisz tak, jak ci mówią, moja droga! Przestałaś już panować nad sobą. Idź, przebierz się i ochłoń trochę!

Wszyscy spojrzeli nań ze zdziwieniem, nie wyłączając Molly. Stafford zbliżył się do niej swobodnie.

— Idź prędko! — rzekł, klepiąc ją po ramieniu. — nie bądź głupia. Uczyniła ruch, jakby go chciała ugryźć, lecz powstrzymała się w ostatniej chwili.

— Nie pójdę! — odparła już z mniejszą pewnością siebie.

— O, pójdziesz! — odrzekł stanowczo major. — Chodź, kochanie! Chodź zaraz!

Spoglądał na nią przez chwilę surowym wzrokiem, którego Molly zaczęła lekliwie unikać. Potem z głośnym śmiechem zbliżył się i chwycił ją na rękę.

— Zechce pani wskazać mi drogę? — zwrócił się do teściowej. Molly wierzgała nogami i wyrywała się, lecz trudno było się oprzeć

silnym muskułom Stafforda. Poprzedzany przez zaleknioną i zgorszona panią Morton, niósł rozhisteryzowaną żonę po schodach.

— Już ja ją utemperuję! — rzekł, spoglądając przed siebie ponad

głową Molly, a gdy wreszcie dotarł do pokoju, przygotowanego dla nich obojga, dorzucił: — Zaraz będzie spokojna. Zechce nas pani łaskawie pozostawić samych!

— Ale pan jej nie wyrządzi żadnej krzywdy! — wyszeptała błagalnie pani Morton ze łzami w oczach.

— Z pewnością nie! — odrzekł Stafford.

Widocznie dotrzymał słowa, bo w kilkanaście sekund pp wyjściu pani Morton, hałas na górze ucichł, a po pół godzinie Molly, bardzo spokojna, lecz ze śladami też w oczach zeszała na dół, ubrana w jedną ze swych starych sukienek, trzymając męża pod ramię.

Rodzina skończyła już herbatę i uspokoiła się. Tylko pani Morton wciąż czekała, przejęta nerwowym niepokojem. Stafford zbudził się z dotychczasowego milczącego nastroju i wszczął ogólną rozmowę. Tak, bardzo mile spędzili czas w Paryżu, dużo ciekawych rzeczy widzieli. („Tak, napij się herbaty, kochanie! Dobrze ci to zrobi”). Czy pani Morton zna Paryż? Ach, jaka szkoda! W dzisiejszych czasach podróżowanie jest o wiele łatwiejsze niż dawniej. Ale mimo wszystko Anglia jest stanowczo najprzyjemniejszym krajem. Czy pani Morton tak nie uważa? („Kawałek ciasta, kochanie? Proszę cię, zrób to dla mnie!”) Każdy zresztą musi w końcu dojść do tego wniosku. Trudno powiedzieć, dlaczego Anglia posiada tyle zalet, lecz sądząc z długiego doświadczenia, podobnie miłego kraju nie ma w całej Europie. („Za gorącą masz herbatę? Pozwól, że ci doleję trochę mleka!”) A czy starsza córka pani Morton już wróciła z podróży poślubnej? Wróciła? Wobec tego major musi ją koniecznie odwiedzić. Billa Quentina również! Musi znaleźć chwilę czasu, aby wpaść do niego. A stary z Hatchstead Place? Jakże się miewa?

— Chory jest — odparła pani Morton. — Już od dziesięciu dni leży w łóżku. Nikt nie wie dokładnie z jakiego powodu, lękamy się jednak, że to raczej jakieś duchowe cierpienie.

— Dlaczego u licha nic nie mówiliście? — zawołała Molly.

— Moja droga! — zgromiła ją matka.

— Uspokój się, Molly! — zawołał Stafford. Przycichła znowu.

— Przepraszam! — szepnęła błagalnie. — Muszę natychmiast odwiedzić biednego staruszka, Staffordzie.

— Oczywiście, kochanie. Jest to obowiązkiem nas obojga — odparł Stafford. — Bardzo mi przykro słyszeć o jego chorobie. Udamy się tam, jak tylko skończysz herbatę.

— Muszę wrócić do hotelu i przebrać się w coś przyzwoitego

— rzekła Molly.

— Całkiem zbyteczne — zaprotestował Stafford. — Z pewnością w tej sukience będziesz mu się lepiej podobała. Nie wiem nawet

— dorzucił z uśmiechem — czy i mnie się w tym stroju nie podobasz bardziej.

— Ach, tobie! — wydeła Molly usta z dawną swą pogardą. Stafford spojrział na nią uważnie.

— Co mnie, kochanie? — zapytał.

— Nic — odrzekła Molly niechętnie i zarumieniła się pod wpływem jego wzroku. — Nic absolutnie! — dodała po chwili jeszcze ciszej.

— Wobec tego wszystko w porządku — rzekł uspokajająco.

— Skończ herbatę, a potem, jeśli pani Morton pozwoli, pojedziemy do Hatchstead Place.

Pani Morton nie miała żadnych sprzeciwów. Była jedynie zainteresowana metodą Stafforda. Przecież dotychczas nikt nie mógł sobie poradzić z Molly, a Stafford najwidoczniej potrafił jej nawet rozkazywać.

— Jakim cudem zdołał ją tak utemperować? — zdziwiła się pani Morton w duchu.

Lecz na to pytanie znali tylko odpowiedź — Stafford i jego młoda żona.

\*

\* \*

— Kto? — zapytał generał. — Czyż nie mówiłem ci, że nikogo nie przyjmuję? Dlaczego, u diabła...

— Bardzo mi przykro, sir, zaprotestował niespokojnie lokaj. — Powiedziałem jej, sir. Ale w ogóle nie słuchała mojej odpowiedzi. Widząc, że nie ma innego wyboru, postanowiłem pana uprzedzić, zanim wpadnie tu jak burza.

**189**

— Co takiego? — huknął generał. — Ja bym jej dał nauczkę! Któż to może być, u diabła? Powiedz jej, żeby sobie poszła do...

— Właśnie wchodzę, tylko spokojnie — odezwał się kobiecy głos od progu.

— Co takiego? Kto to? — Szepnął generał, siadając na łóżku. A potem całkiem już innym głosem, w którym zabrzmiała nuta radości:

— Molly, ty mała diablico! Więc wróciłaś!

Poskoczyła doń z impetem i ramionami objęła starca razem z poduszkami.

Mruknął coś z zadowoleniem, lecz nie uczynił żadnego wysiłku, aby się wyswobodzić z jej objęć.

— Biedny kochany staruszkule! — wołała Molly. — Dlaczego położyłeś się do łóżka? Wstań natychmiast i zejź na dół!

— Wolnego! wolnego! — szeptał generał, usiłując wyzwolić się z jej uścisków. — Jestem chory, do licha! Nie widzisz, że jestem chory?

— Brednie! — odrzekła ze śmiechem. — Ja wiem lepiej. To tylko boli serduszko. Zaraz będziesz zupełnie zdrow.

— Jeżeli nawet, to nie dzięki tobie! — mruknął generał. — Niech ci się przyjrzę, skoro już jesteś tutaj. Po coś wróciła? Czy w jakimś specjalnym interesie?

— Oczywiście! — odparła Molly, absolutnie nie zmieszana. — Nie mogłam pozostawić cię tak, staruszkule, a wiedziałam, że mi przebacysz. Z pewnością zostałamby twoją żoną, gdyby nie Stafford.

— Jestem naprawdę rozczulony. Więc teraz pragniesz, abym was obydwójce pobłogosławił, prawda?

— O, możesz robić, co ci się podoba — zawołała Molly swobodnie.

— Nie mam zamiaru niczego ci dyktować. Ale jeżeli chcesz, możesz nam nawet udzielić swego błogosławieństwa.

— Rozumiem — rzekł generał w zamyśleniu. — Uważasz, że powinienem zapomnieć o przeszłości. Czy tak?

— Właśnie tak — uśmiechnęła się Molly.

— Ogromnie lubię twą twarzyczkę — zauważył generał z nagłą czułością.

— Zawsze ją lubiłeś, prawda? — przymiliła się Molly, siadając na krawędzi łóżka. — Tak samo, jak ja lubiałam twoją elokwencję. — Ale teraz nie będziesz już chorował dłużej? Wstań.

— Czy przywiozłaś z sobą Stafforda? — zapytał generał. Wydeła pogardliwie wargi.  
— Nie przypuszczasz chyba, abym miała przyjechać tutaj sama?  
— Nadejdzie dzień, kiedy cię będzie miał dosyć — mruknął niechętnie starzec.  
Molly zaśmiała się i strzepnęła palcami.  
— Do tej pory nie okazuje jeszcze znudzenia.  
— Poczekaj, a przekonasz się! — ostrzegał generał. — Już Bill Quentin wpłynie odpowiednio na twego męża.  
— Jakoś w to nie wierzę! — zawołała Molly, zrywając się na równe nogi.  
Widząc jej zagniewaną twarzyczkę, generał mimo woli wybuchnął głośnym śmiechem.  
— Cicho, cicho! — począł ją uspokajać. — Biegnij teraz do niego, kochanie, a ja za chwilę zjawię się na dole.  
Molly wybiegła z pokoju jak wicher, pozostawiając go z uśmiechem rozradowania na twarzy.  
W niespełna dziesięć minut potem generał zjawił się w bibliotece, gdzie czekali nań Molly i Stafford.  
— Hallo! — powitał siostrzeńca, który przezornie nie wyciągnął doń ręki. — Więc jednak wróciłeś?  
— Postanowiliśmy odwiedzić rodzinę Molly, sir — wyjaśnił Stafford ze zwykłą swobodą. — Zatrzymaliśmy się w hotelu, a przecież nie mogłem stąd wyjechać, nie zobaczywszy się z tobą.  
— Bardzo ładnie, bardzo ładnie! — pochwalił generał. — Widzę, że się trochę ustatkowałeś. Jestem oczarowany.  
Proszę was, rozgośćcie się tutaj, jak u siebie w domu.  
— Wolałabym zamieszkać tutaj niż w hotelu — wtrąciła Molly. Generał zwrócił się do niej z głębokim ukłonem.  
— Pani, twoja łaskawość oszałamia mnie. Proszę, abyś zechciała uważać ten dom za swój własny. Jeżeli zdecydujesz się zamieszkać w nim, będę uszczęśliwiony. Co do twego męża, to zamierzam go tolerować tylko ze względu na ciebie.  
— Staffordzie — szepnęła Molly — pozwól, żebyśmy tutaj zostali! Od dłuższej już chwili Stafford przyglądał się swoim butom.  
— Jeżeli sobie życzysz, nie mam nic przeciwko temu — rzekł.

— Jesteś niezwykle łaskawy! — mruknął generał. Tu nagle Molly przeobraziła się w anioła pokoju.

— Nie widzisz, staruszkule, że on tylko żartuje? — zawołała, wyciągając ręce do generała. — Jestem pewna, że również pragnie tu pozostać. Pozwól, aby pojechał po nasze rzeczy i odwiedził po drodze Billa Quentina.

Ja'tymczasem zostanę z tobą!

Oczy generała zabłyśły młodzieńczo, gdy gładził rękę swej ulubienicy.

— Ma odwiedzić Billa Quentina? Cudownie się składa! Nie mówiłem ci?

— Tak — odparła Molly z uśmiechem. — Ale nie ma się o co martwić. Nie wyszłabym za niego, gdybym nie miała najzupełniej-szego pod tym względem zaufania.

— Ho, ho! — zdziwił się generał. — Ja osobiście nie potrafię go sobie tak wybielić! Na szczęście Bill Quentin jest zupełnie zaabsorbowany swoją panią Verlines. Nie wiem nawet, czy go jeszcze dotychczas nie uwiodła. Ty może łatwiej będziesz mógł to skonstatować.

Ostatnie zdanie skierował w stronę swego siostrzeńca, którego ta wiadomość najwidoczniej zdziwiła.

— Więc ta dama jest w tych stronach? Nie miałem pojęcia.

— Ależ nie! — wtrąciła Molly. — Staruszek nazywa w ten sposób panią Rivers z Beech Mount, którą Bill jest podobno bardzo zajęty. Zaręczam, że nie ma nawet między nią i panią Verlines najmniejszego cienia podobieństwa, bo pani Rivers nawet nie jest ładna.

— Pani Verlines też nie wyróżniała się zbytnią urodą — rzekł Stafford.

— Ach, zapomniałam. Przecież ty ją znasz. Więc jak wygląda? — Molly spoglądała nań teraz z ciekawością.

Zabroniony przez rodziców temat zawsze ją ogromnie pociągał.

Stafford jednak potrząsnął głową. Może i on uważał, że takiego tematu nie należało'poruszać w obecności młodej żony.

— Naprawdę nie potrafiłbym opisać jej wyglądu — odparł po chwili. — Było to już bardzo dawno, a nasza znajomość była tak przelotna, że wątpię, czy bym ją teraz poznał. Więc zostajesz tutaj z generałem? ,

— Tak — rzekła Molly. — Możesz przekazać ode mnie pozdrowienia Billowi. Mam nadzieję, że go już nigdy nie zobaczę. Pozdrów również panią Winch i tę miłą, lecz głupią pannę Barnet.

— A od ciebie, si\$. — zapytał Stafford wuja.

— Kogo? — zdziwił się generał. — Pannę Barnet? Tak, powiedz jej, aby teraz zajęła się dla odmiany zielskiem w ogrodzie Billa. Nie, nie mam nic przeciwko Billowi i dlatego zamierzam razem z tobą tam pojechać. Miejscowe plotkarki będą chociaż miały zajęcie, gdy zobaczą nas razem, ja zaś jestem ciekawy, jak daleko zaszedł jego romans.

\*

\* \*

Dokoła plebanii dnia tego wrzało. Był to ów uroczysty dzień sportów dziecięcych, uczczonych smacznym podwieczorkiem, przygotowanym przez opiekunów parafii. Zebrało się tego drobiazgu z całej wsi mnóstwo i podczas, gdy Bill zajmował się swymi małymi gośćmi, kilka pań, z panią Winch i panną Barnet na czele, nakrywało ustawione w ogrodzie stoły, przystrajając je pełnymi półmiskami kanapek, słodczy i owoców.

Panna Barnet była nieoceniona. Dzieciaki nie odstępowały jej ani na chwilę, na co pani Winch patrzyła przeważnie ze zgorzeniem. Stanowczo panna Barnet posiadała umiejętność zabawiania dzieci, lecz tym razem bezwarunkowo czyniła to przeważnie ze względu na proboszcza.

O czwartej dzieciaki zasiadły do podwieczorku, Bill zaś dopiero wówczas odetchnął i otarłszy czoło zroszone potem, począł zabawiać rozmową starsze panie, a w szczególności panią Winch.

Jeszcze spożywano podwieczorek z apetytem, gdy nagle zjawiała się w ogrodzie postać w bieli i w czarnym dużym kapeluszu, która zatrzymała się przy kwitnącym aloesie.

Bill dostrzegł ją pierwszy, a panna Barnet, będąc bliżej, powitała ją z radością, mali zaś Phippsowie z okrzykiem radości pozrywali się od stołów.

Bill przerwał ożywioną rozmowę, prowadzoną z panią Winch i panną Mason, po czym również zbliżył się do nowego gościa.

— Jak ładnie, że pani przyszła! — zawołał, wyciągając do niej rękę.



— Mam nadzieję, że nie odmówi pani filiżanki herbaty. Młodociane towarzystwo poczytywać to sobie będzie za wielki zaszczyt.

Pani Rivers uśmiechnęła się przyjaźnie i podeszła do pani Winch, aby się z nią przywitać. Cała atmosfera uległa naglej zmianie po jej przybyciu. Dzieciaki nie posiadały się z radości, pani Winch nawet spoglądała na młodą kobietę jakimś łaskawszym wzrokiem. Pani Rivers tymczasem przeszła dookoła stołów, rzucając każdemu z dzieci jakieś miłe słówko, aż wreszcie zajęła miejsce przygotowane dla niej przez pannę Barnet. Billowi przyszło na myśl, że nigdy jeszcze tak uroczo nie wyglądała, jak tego letniego popołudnia. Cały świat naraz zmienił się w jego oczach. Nagle, gdy poczęto już uprzętać stoły, za furtką ogrodową rozległ się warkot motoru, później trzask otwieranych drzwiczek auta i skrzypnięcie furtki.

Bill był zbyt zajęty dziećmi, aby to wszystko słyszeć. Stał w pobliżu aloesu, śpiewając wraz z dziećmi i błędząc spojrzeniem po ukochanej postaci kobiety. Myśli jego były wyłącznie nią zajęte. Nie zauważył również na ścieżce ogrodowej wśród zarośli dwóch mężczyzn, którzy przystanęli w cieniu, oczekując widocznie końca chóralnej pieśni. Bill nie zdawał sobie sprawy z ich obecności, nie widział, jak weszli. Jedynie panna Barnet dostrzegła panów, stojących za krzewami, dostrzegła również wyraz zdziwienia na twarzy młodszego, gdy spojrzał na panią Rivers, stojącą u boku Billa. Pełne niepokoju przeczucie zrodziło się w sercu panny Barnet. Nie знаła Stafforda, lecz poznała od razu generała, więc nietrudno było jej się domyśleć, kim był towarzysz starca. Generał obserwował zabawę dzieci ze zmarszczonymi brwiami, a kilka słów wypowiedzianych przez siostrzeńca, skierowało jego uwagę na panią Rivers, której się teraz bacznie począł przyglądać.

Stafford obserwował ją także badawczo. Dlaczego? Dlaczego? Ellen Barnet zapytywała samą siebie z mocno bijącym sercem. Obydwaj panowie zdawali się patrzeć na młodą kobietę z dziwną podejrzliwością. Patrzyli tak, jakby ujrzeli w niej nagle coś niebezpiecznego, coś, czego nie oczekiwali. Panna Barnet pragnęła ją ostrzec, lecz znajdowała się w tej chwili dość daleko. Zresztą, co by jej mogła powiedzieć? Stała więc, przejęta przeczuciem, że za chwilę przed jej oczami rozegra się jakaś tragedia.

Śpiew wreszcie umilkł. Zabawa się skończyła. Nauczyciel szkoły wiejskiej wezwał dzieci do odwrotu.

Bill zwrócił się do pani Rivers z jakąś żartobliwą uwagą, a w tej samej chwili generał Farjeoji i Stafford postąpili kilka kroków naprzód, w stronę kwitnącego aloesu.

Spojrzenie pani Rivers poszybowało w ich kierunku. Uśmiech zamarł na jej ustach. Zesztywniała jakby pod wpływem dotknięcia zimnego ostrza stali.

Bill zwrócił się pośpiesznie, aby spojrzeć w stronę, w którą przeniósł się jej wzrok.

— Hallo! — zawołał, po czym spojrział na towarzyszkę nie pojmując jej nagłego zmieszania.

— Przecież pani ich zna? — rzekł, zdziwiony nieco. — W każdym razie zna pani generała. Ten drugi, to Stafford, jego siostrzeniec.

Uśmiechnęła się do niego niewyraźnie z twarzą skamieniałą.

— Znam ich obydwóch — wyszeptała.

— Co to ma znaczyć — zawołał Bill z niepokojem.

Nie odpowiedziała. Bill wyciągnął rękę do gości, którzy już byli tuż przy nim.

Dzieci gromadnie opuszczały plebanię. Starsi rozmawiali z sobą. Panna Barnet ostrożnie podeszła do pani Rivers.

— Dzieci pragną się z panią pożegnać — szepnęła. — Są takie uszczęśliwione z tej zabawy.

Niestety było już za późno. Pani Rivers uczyniła niewyraźny ruch i panna Barnet nie była nawet pewna, czy słyszała jej słowa.

Bo oto spośród wrzawy dziecięcych głosików rozległ się despotyczny głos generała:

— Tak, Bill, urządził pan prawdziwą ucztę! Przyjechaliśmy ze Staffordem, aby się temu wszystkiemu przyjrzeć.

Stafford i pani Verlines są dawnymi przyjaciółmi, o ile panu wiadomo.

Głowy wszystkich zwróciły się w tę stronę. Było to całkiem nieoczekiwane. Głos generała, nabrzmiały ironią, podwajał jeszcze sensację. To, co mówił, było niejako wyzwaniem. Starzec ruszył naprzód, zatrzymując się dopiero przed pobladałą kobietą, stojącą pod aloesem.

— Więc to jest pani Verlines, prawda? — rzekł donośnym głosem. — Przypuszczam, że się nie mylę?  
A kobieta o bladej twarzy odpowiedziała mu wśród martwej ciszy panującej dokoła, głosem, w którym zdawało się nie być ani odrobiny życia:  
— O, nie, pan się nie myli.

#### IV

Dla Billa ta rewelacja była tak straszna, jak zatonięcie okrętu, na którym znajdowało się wszystko, co w życiu posiadał. Uderzenie pięścią między oczy byłoby dlań z pewnością o wiele mniejszym ciosem. Nie miał czasu na zastanawianie się, na przygotowanie, na zaczerpnięcie powietrza. Był niby człowiek, którego oślepiła błyskawica. Ujrzał ją, tę swoją boginię z wypalonym na czole piętnem morderstwa, które cały świat cywilizowany potępiał, lecz w które wierzył. Yvonne Verlines, Angielka, która zamordowała swego męża Francuza w afrykańskiej pustyni, mniej więcej przed pięciu laty, kobieta uniewinniona ze względu na brak dowodów, a jednocześnie dlatego że posiadała czar, który wywarł potężne wrażenie na sędziach! To była ta kobieta, którą trzymał w objęciach, która płakała na jego piersi, kobieta, którą ubóstwiał, w którą wierzył więcej nawet niż we własną religię. A teraz z jej własnych ust usłyszał to okrutne samooskarżenie.

Jednak nawet w chwili, gdy wypowiadała te słowa, posiadała tyle dystynkcji, że mimo woli musiała wzbudzać szacunek. Tylko jej blada twarz była odzwierciedleniem tego, co się działo w duszy. Chłodno, prawie bezdźwięcznie odpowiedziała na zarzut generała tym jednym prostym zdaniem, które demaskowało całą jej przeszłość.

Wypowiedziawszy je, odwróciła się spokojnie.

Dookoła panowało ponure milczenie. Dzieci opuściły już plebanię. Zostali tylko starsi, milcząc z ouszczonymi głowami, wyraźnie unikając jej wzroku.

Wszyscy oprócz jednej osoby, najskromniejszej i najmniej ważnej w tym towarzystwie, oprócz Ellen Barnet, która podeszła do bladej kobiety, ujęła ją pod ramię i wraz z nią opuściła plac boju.

Potem, jak człowiek wracający do przytomności po nagłym wstrząsie, Bill uczynił nadludzki wysiłek, aby odzyskać pewność siebie. W tej samej chwili zbliżyła się doń pani Winch z wyciągniętą ręką.

— Naprawdę muszę już iść, Mr Ouentin — rzekła. — Uważam, że zabawa doskonale się udała i winszuję panu serdecznie.

— Pani jest bardzo dobra! — szepnął Bill. — Nie mogłaby pani jeszcze dłużej zostać? Zdaje się, że pani zna pana generała Farjeona. Pozwoli pani, że jej przedstawię majora Kenyon.

Pani Winch skłoniła się z godnością obydwu panom.

— Nie, istotnie nie mogę zostać — odparła. — Ale spędziłam bardzo mile popołudnie, za które jestem panu serdecznie wdzięczna.

Odeszła wyniośle, za nią zaś poczęły żegnać się inne damy.

Bill znalazł się sam zę złością ironią generała Farjeona i podejrzliwą rezerwą Stafforda. I nagle owładnęło Billem pragnienie zemstczenia się na tym człowieku za krzywdę wyrządzoną, za przekroczenie progu jego jedynej świątyni. Miał ochotę zamordować tego obleśnego starca i śmiać się potem patrząc na jego męki.

Staczał z samym sobą chwilową walkę, zacisnąwszy pięści i drżąc na całym ciele.

Generał spoglądał nań obojętnie, a po chwili patrzył już z zachwytem na kwitnący aloes. Nie przypuszczał, że złośliwość jego odniesie aż taki sukces.

— Wspaniały! Naprawdę wspaniały! — zawołał. — Szkoda, że nie można tak pięknego kwiatu zawieźć na wystawę. Podobnego okazu nie znajdzie się w całej okolicy. Lękam się, żeśmy panu przeszkodzili, Bill. Ale sądziłem, że będzie pan zadowolony, widząc znowu swego przyjaciela Stafforda. Obydwoje z Molly zatrzymali się na pewien czas u mnie. Może zechce pan przyjść do nas na obiad?

Czoło Billa było wilgotne, a twarz szara jak popiół, lecz zapanował nad sobą, udzielając starcowi odpowiedzi.

— Dziękuję panu, sir — rzekł. — Dzisiaj nie będę mógł.

— Jakieś przyjemniejsze zajęcie? — podchwycił generał z ironią. Bill wyprostował się. Wzrok jego był stanowczy i nieugięty.

— Tak, sir — odparł z absolutną prostotą. — Pójdę do kościoła.

Odwrócił się z tymi słowy, jakby pragnąc przerwać dalszą rozmowę. Nie potrafił być gościnny. Pragnął tylko nade wszystko uwolnić się od gorzkich słów, które prawdopodobnie miał usłyszeć.

Gdy się oddalił, generał zapalał gniewem.

— Biedny kretyn! — zawołał. — Chodź, Staffordzie! Wracamy. Gdy motor samochodu zawarczał na drodze, Bill wchodził do

mrocznego kościoła. Nie było tu nikogo. O tej porze kościół świecił zawsze pustkami. Podeszedł do ołtarza i uczynił ruch, jakby miał klęknąć na stopniach. Lecz gdy pochylił się, rozpacz owładnęła nim na nowo i z głośnym okrzykiem, niemal szlochem, padł twarzą na zimną posadzkę. Woń świeżych lilii, przyniesionych tu rano unosiła się nad jego rozkrzyżowanym ciałem.

— Mój Boże! — wyszeptał. — Mój Boże! Mój Boże! — żadna inna modlitwa nie przychodziła mu teraz na myśl. Minęły dwie godziny, a może więcej, bo słońce przestało już zaglądać w okno od zachodu i nawa kościelna zatoneła w mrokach, gdy drzwi, którymi wszedł uchyliły się cichutko i rozległ się odgłos przyśpieszonych kroków.

Bill nie zauważył tego. Nie myślał o niczym przez cały ten czas, leżąc tak w bezradnej rozpacz, jak ktoś wyklęty ze świata. Nie podniósł głowy, chociaż kroki się zbliżały. Nie dbał teraz o to, że ktoś go zobaczy w takim stanie. A może podświadomie wyczuł, że osoba, która weszła do kościoła, nie była intruzem, lecz aniołem zesłanym przez niebiosy. Śpieszne kroki zbliżały się. Ktoś, prawdopodobnie kobieta, podeszła do ołtarza, zawahała się przez chwilę i uklękła tuż przy nim w ciemnościach. Kobięcy przyciszony głos począł wymawiać słowa modlitwy:

— Rozjaśnij nasze mroki, błagamy Cię, o Boże, i Swą litością zbaw nas od grzechu i niebezpieczeństwa nocy przez miłość dla Twego Syna, Zbawiciela, naszego Jezusa Chrystusa.

Zapadła cisza. Bill poruszył się wreszcie, zmuszając swe zeszywniałe członki do działania. Ukląkł przy jej boku i trwał tak przez chwilę, po czym podniósł się wreszcie.

— Niech Bóg panią za to błogosławi, Ellen — wyszeptał. Wstała również.

— Pragnę pomówić z panem — rzekła. — Zgadza się pan?

— Czy się zgadzam! — wyszeptał.

— Usiądźmy na chwilę w jednej z ławek — zaproponowała nerwowo.

Zrozumiał i poszedł za nią. Nogi miał jeszcze ciągle sztywne i był osłabiony długim leżeniem na zimnej posadzce. Posuwał się wolno, krok za krokiem. Wyciągnęła doń rękę. Ujął ją w silny uścisk i zatrzymał. Prowadziła go jak małe, zabłąkane dziecko. Prowadziła go ku pierwszej ławce.

— Proszę usiąść! — rzekła łagodnie.

Padł na twardą deskę i siedział bez ruchu, z rękami skrzyżowanymi na kolanach.

Ellen Barnet zajęła miejsce przy nim.

— Pragnę panu coś powiedzieć.

— Cóż takiego? — zapytał Bill.

— Otóż — głos jej był bardzo spokojny, lecz brzmiący prawdziwą serdecznością — ona wyjeżdża do Francji, gdzie spotka się z Gaspar-dem, gdy tylko chłopak wróci do zdrowia. Tutaj nie przyjedzie już więcej. Jej plenipotent londyński zarządzać będzie domem. Prawdopodobnie dom zostanie sprzedany razem z meblami. Prosiła, aby pan nie starał się z nią zobaczyć, ani też odwieść ją od zamiaru, który uważa za jedyne wyjście z sytuacji.

Ellen Barnet milczała przez chwilę.

— Czy to wszystko? — zapytał Bill.

— Prawie wszystko — odparła wreszcie. — W ostatniej chwili, gdy się z nią żegnałam, rzekła jeszcze: „Niech mu pani powie, aby szedł do światła i zapomniał o cieniu!” Powiedziała, że pan to zrozumie.

— Tak — odparł Bill. — Czy to wszystko? — powtórzył znowu. Zawahała się, po czym odrzekła w zamyśleniu:

— Wszystko ważniejsze.

— Powtórz mi pani wszystko, co mówiła? — zapytał Bill bez ruchu.

— Oczywiście,! — odparła z prostotą. — Ostatnie jej słowa były: „Niech pani zostanie jego przyjaciółką!” Jakby sądziła, że przyjaźń jest panu potrzebna.

Skończyła tonem usprawiedliwienia, odsuwając się nieco od niego, jakby w obawie, że może ją źle zrozumieć.

Wyciągnął rękę i położył ją na jej ramieniu.

— Zawsze była pani moją przyjaciółką — wyszeptał.  
— O nie! — zaprotestowała nerwowo. — Naprawdę nie!  
— Najlepszą przyjaciółką, jaką człowiek kiedykolwiek może się poszczycić — ciągnął dalej Bill. — Niejednokrotnie myślałem nad tym.  
— Naprawdę, to pan zawsze był dla mnie bardzo dobry. Sprawiało mi przyjemność, wielką przyjemność, gdy czymkolwiek mogłam się panu przysłużyć.  
— Ellen — zawołał — na miłość boską niech mnie pani nigdy dobrym nie nazywa!  
Odwrócił się do niej z tymi słowami, nie cofając ręki z jej ramienia.  
— Mam pani powiedzieć, co pani dla mnie uczyniła? — zapytał.  
— Nic! Jestem pewna, że nic! — odparła z powagą.  
— Czy można nazwać niczym niesienie pochodni przyjaźni przed człowiekiem, który stoczył się w ciemności?  
— Ach, cicho! — wyszeptała. — Cicho!  
— Nie chcę! Nie mogę! Muszę powiedzieć pani coś o sobie, jeżeli zechce pani posłuchać.  
— Ależ naturalnie!  
— Tak, wiem — skinął głową. — Zawsze słuchała mnie pani chętnie. Niejednokrotnie prosiłem panią o przyjaźń i zawsze pani mnie wysłuchała. Niejednokrotnie potrzebna/mi była pani słodczy i dobroć. Była pani moją ostoją. Była pani zawsze gotowa stanąć przy mnie i walczyć. Jeszcze raz zamierzam wykorzystać tę przyjaźń. Może to już będzie po raz ostatni. Zależy to od pani decyzji.  
Zaprotestowała przyciszonym głosem.  
— O, przecież zawsze... przecież zawsze...  
— Chwileczkę! — przerwał jej łagodnie. — Niech się pani nie lęka, dobrze? Złamany zostałem dzisiaj i jeszcze teraz z trudnością trzymam się na nogach. Pani może mnie zdruzgotać do reszty. Proszę posłuchać, Ellen! Nawiedził mnie sen i był wspaniały przez cały czas trwania. Ale zniknął... przestał istnieć! Zostałem takim, jakim byłem przedtem, nim ten sen przyszedł, tylko jest mi o wiele gorzej, jestem bardziej samotny, bardziej łaknący przyjaciela u boku. Nie wiem, czy będę mógł znieść dłużej tę samotność, tę pustkę. Pani była zawsze moim przyjacielem. Czy mogę prosić, aby teraz stała się pani kimś więcej, teraz, kiedy jestem złamany i wyczerpany? Czy mogłaby się pani na to zdobyć?  
Ellen, gdyby

pani mogła... — głos jego załamał się nagle. Przysłonił twarz dłońmi i począł szlochać.

— Ach, Boże! — zawołała Ellen Barnet. — Ach, Boże! A potem uczyniła rzecz zadziwiająca: Opasała go ramieniem i przyciągnęła do siebie.

— Nie trzeba się poddawać! — szeptała. — Wszystko się ułoży. Opanował się ostatnim wysiłkiem.

— Proszę mi wybaczyć! — wyszeptał.

Jej szczupłe ramię drżało nerwowo. Mówiło więcej niż słowa.

— Nie trzeba — szeptała. — Naprawdę nie trzeba. Powiedziałam panu wszystko, co mówiła, wszystko, co chciała.

Ale pan przecież tego nie robi, prawda?

— Co pani ma na myśli? — zapytał z twarzą ukrytą wciąż jeszcze w dłoniach.

Odpowiedziała mu z zapartym oddechem, lecz z podziwu godną energią:

— Myślę... że gdybym kochała kogoś bardzo, bardzo mocno, jak przypuszczam, że pan ją kocha..., nic by mnie nie mogło odsunąć od tej osoby. W ten sposób zapatruję się na miłość, jak na uczucie, które nigdy nie wygasa.

Poruszył się, podniósł głowę i chwycił jej rękę, która opasywała jego ramiona.

— Tak, pani miłość byłaby z pewnością taka — szepnął.

— A pana? — zagadnęła Ellen, czując, że palce jej drżą w jego uścisku. — Czy kocha ją pan mniej teraz dlatego, że jest tą, którą jest? Czy nie kocha jej pan mimo wszystko?

— Nie wiem.

— Więc pozwoli jej pan odejść? — zapytała Ellen Barnet głosem, który brzmiał niemal groźnie. — Kobieta, którą pan kocha, która kocha pana! Czy zapomniał pan o tej niewieście w Biblii, której grzechy zostały odpuszczone dlatego, że prawdziwie kochała? Jeżeli nasz Pan rozgrzesza takie istoty, to my śmiertelnicy, czy mamy prawo nie odpuszczać im grzechów? Zresztą, skąd pan wie, że ona zgrzeszyła? Nie ma pan tej pewności. To, co świat nazywa grzechem, nie zawsze jest grzechem w obliczu Boga. A jeżeli nawet to uczyniła, to grzechy zostały jej odpuszczone i jest bliższą teraz Królestwa Niebieskiego od nas wszyst-



kich. Czy mamy prawo ją sądzić? Czy mamy prawo nie przyznawać się do naszej miłości? Z pewnością byłby to z naszej strony grzech największy!

Przestała mówić. Bill podniósł głowę i spoglądał na nią, choć w kościele panował mrok.

— Ellen — odezwał się wreszcie — czy pani się orientuje, co pani każe mi robić. A co parafia, co dziewięć dziesiątych wierzących ludzi na to powie? Czy mam prawo...

— Jakie prawo? — przerwała Ellen Barnet. — Czy ma pan prawo iść za rozkazami Wszechmogącego? Czy ma pan prawo zostać wiernym sobie i kobiecie, którą pan kocha? Czy zważył pan w jej miłość? Na pewno nie!

— A pani?

— Ja? O nie! — odparła. — Dla mnie jest ona najszlachetniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałam, a uszlachetniła ją potęgą miłości. Kimkolwiek jest, kocha pana. Widzi pan, że wszyscy ją kochają! Nawet pani Phipps, która nigdy nikogo nie obdarzyła dobrym słowem! I stary Sammy Cross, który teraz żyje tylko jej odwiedzinami. Czy nie orientuje się pan, ile dobrego uczyniła podczas tych kilku tygodni pobytu tutaj? Zbudziła nas wszystkich do życia. Czy... czy zła kobieta mogłaby tego dokonać?

— Bóg jeden wie — szepnął Bill.

— Tak, on wie. — Łagodnie wyswobodziła swą rękę i zdjęła ją z jego ramion. — On wszystko wie — rzekła — A czy nie sądzi pan, że właśnie On zesłał ją tutaj? Ja jestem pewna. Jestem tego pewna najzupełniej. Wszechmocny myślał o panu.

Nagły dreszcz wstrząsnął ciałem Billa.

— I ja kiedyś ośmieliłem się tak myśleć — zawołał.

— Otóż właśnie — odpowiedziała Ellen Barnet tonem najzupełniej-szego przeświadczenia. — Bóg chciał, abyście byli razem, On to obdarował was uczuciem. Nie zesłał jednak tego uczucia za nic. Należycie do siebie. On tak chce. W słowach jej brzmiała powaga. Choć znał ją od dawna, nigdy jeszcze nie wywarła na nim tak silnego wrażenia. Gdyby niebiosy zesłały mu anioła w tej chwili potrzeby, z pewnością nie byłby jego obecnością tak przejęty.

Ale fakt zostawał faktem. Kobieta, którą kochał, była Yvonną Verlines, której nazwisko przed pięciu laty stało się publiczną sensacją, była tą, która oskarżona została o morderstwo.

— Nie wiem, co mam robić — odezwał się wreszcie. — Gdyby to nawet było możliwe, gdyby się ona zgodziła, nie mógłbym sprowadzić jej tu na powrót. Nie mógłbym skazywać jej na takie męki.

— A wie pan, co ja bym zrobiła? — zapytała Ellen Barnet.

— Niech pani powie!

Podniosła się, jakby uważała rozmowę za skończoną i stanęła ze spokojną twarzą zwróconą w stronę ołtarza. Nastął moment uroczystej ciszy.

— Poszłabym do niej! — rzekła przyciszonym głosem, który dźwięczał dziwnie w pustym kościele. — Należy pamiętać, że taka jest wola Boga. Winien Mu pan posłuszeństwo! A potem... jestem najpewniejsza. .. On sam panu powie, gdy nadejdzie pora, co dalej czynić panu przystoi.

\* \*

Dla Billa decyzja była czynem i to czynem natychmiastowym. Cokolwiek miałoby się stać, wiedział, że obrał prawą drogę i przepojony radością czy smutkiem, już by się z niej nie cofnął. Nie lękał się już mroków, nie lękał się zaczajonej w nich tajemnicy.

Rozstali się na cmentarzyku w pogodny letni wieczór. Tarcza słoneczna zniknęła już zupełnie, a powietrze tchnęło wonią opadającej świeżej rosy.

— Zobaczę panią dziś jeszcze? — zapytał Bill.

— Z pewnością nie! — odparła Ellen Barnet. Przez dłuższą chwilę trzymał jej rękę w swej dłoni.

— Nigdy nie zapomnę tego, co pani dla mnie uczyniła.

— Ach, niech pan przestanie! — prosiła.

— Nie. Mówię szczerze. Takich przyjaciół się nie znajduje. Ellen, czy pani rozumie? Mówiłem poważnie przed chwilą, gdy zwróciłem się do pani z prośbą, aby została pani moją towarzyszką życia. Bóg jeden

203

wie, że posiadam za mało dobroci. Myślałem wówczas poważnie. Pani również wiedziała, co miałem na myśli?  
— Owszem, wiedziałam — rzekła łagodnie. — Ale... byłoby to niemożliwe, chociaż... jestem panu ogromnie wdzięczna. Byłoby to niesłuszne. Zostańmy lepiej przyjaciółmi, jak byliśmy dotychczas! Dla mnie ta przyjaźń jest prawdziwą radością.

— Niech panią Bóg błogosławi! — powtórzył.

Odeszła, lecz po chwili znów ją dogonił. — Jeszcze jedno chciałem powiedzieć! Czy nie będzie pani miała przykrości ze strony pani Winch? Spojrzała nań z bladym uśmiechem.

— O nie! Wcześniej zmówiliśmy pacierz i pani Winch poszła już spać. Wymknęłam się dopiero potem.

— Więc wcale nie będzie wiedziała! Doskonale! — ucieszył się Bill, odczuwając jeszcze większą, sympatię do Ellen Barnet.

— Nie, nigdy się nie dowie — odparła Ellen. — Jak to dobrze, że pan i o tym pomyślał! Do widzenia! Proszę nie zapomnieć, że jutro mamy niedzielę.

Kościelny zegar wybił dziesiątą, gdy Bill wychodził z cmentarza furką prowadzącą do jego ogrodu. Przechodząc obok aloesu, mimo woli zatrzymał się na chwilę, jakby wpatrzony w wizję wysokiej kobiecej postaci, która stała tutaj przed kilku godzinami. Ach! Uciekła teraz od niego, a jego serce przepojone było bólem. Czy utracił ją na zawsze? Wolnym krokiem wszedł do wnętrza domu.

Pani Henderson spała już, lecz zimna kolacja czekała nań w pustej jadalni. Zjadł i wypił, stojąc. Nie spocznie, dopóki jej nie zobaczy. Ostatnie słowa Ellen Barnet zadźwięczały mu w uszach.

— Proszę nie zapominać, że jutro mamy niedzielę!

Jakie to było do niej podobne! Nie, z pewnością nie zapomni.

Na niebie nie było księżycy, tylko niezliczone miliardy gwiazd połyskiwały na granatowym tle. Pusta droga znaczyła się przed nim jasnym konturem. Począł się wspinać po pochyłości pagórka, zdając sobie sprawę, że nie wolno mu przystanąć. Cokolwiek oczekiwało nań, musi z tym czymś stanąć twarzą w twarz.

Instynktownie przyśpieszył kroku. Zobaczyć ją raz jeszcze, raz jeszcze mieć ją w swych objęciach! Wszelkie słowa będą zbyt cenne.

Miłość zwycięży, gdy trzymać już będzie tę kobietę w swych ramionach!

Dotarł do wysokich jodeł i coś go nagle zastanowiło. Jak niegdyś, tak i teraz, tylko z większą, mocą, uświadomił sobie, że jest przez kogoś obserwowany.

Noc była zupełnie bezwietrzna i cicha, tylko od strony morza dochodził pomruk fal, rozbijających się o skaliste wybrzeże. Wysokie jodły w swej ponurej ciszy zdawały się tchnąć tajemnicą, wyglądały jak dwa olbrzymy, stojące na straży.

Otrząsnął się z nieprzyjemnych myśli i wyszedł na otwartą przestrzeń. Widocznie nerwy zaczęły mu odmawiać posłuszeństwa. Minął podjazd i zbliżył się do domu. Drzwi nie były zamknięte na noc. Otworzył je i wszedł z dziwnym wrażeniem, że czeka go nieznane niebezpieczeństwo.

Wewnątrz wszędzie panowała cisza. Lampa paliła się na niskim stoliku. Zamknął drzwi i przystanął, nasłuchując. Potem z wysiłkiem otrząsnął się znowu. Musi ją przecież gdzieś znaleźć. Drzwi salonu były zamknięte, on zaś nie skierował się nawet w tę stronę. Był pewny, że tam, jej nie ma. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że nie ma jej w domu. Dom wydawał się pusty, po prostu niezamieszkały.

— Pójdę na górę do Gasparda — rzekł i począł wstępować na schody.

Przed drzwiami pokoju Gasparda przystanął. Jeżeli chłopak spał, nie należało go budzić. Ale przecież musi kogoś odnaleźć. Żaden szmer nie dochodził, więc ostrożnie przycisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

W duszy jego zrodziła się rozpacz. Odczuł nagły lęk, nie znając powodu. Zdecydował się i zapukał po chwili namysłu.

— Gaspard! — zawołał. — Gaspard! Nie śpisz jeszcze?

Nie było odpowiedzi, w całym domu panowała cisza. Czekał chwilę, a potem znowu:

— Gaspard! Wpuść mnie! To ja, Bill.

W pokoju coś się poruszyło, a potem znowu cisza.

— Wpuść mnie! — powtórzył. — Otwórz drzwi! Prędko, chłopcze! Właściwie czego się tak lękał, stojąc w ciemnościach? Nie obawiał się o siebie, a jednak serce biło mu mocno i niepokój ogarniał coraz większy.

Wreszcie klucz został przekreślony w zamku, drzwi się otworzyły. Na progu stał Gaspard.

— Więc przyszedłeś! — szepnął.

Bill wszedł do pokoju. Gaspard był zupełnie ubrany. Twarz miał śmiertelnie bladą, lecz oczy gorzały mu niesamowitym blaskiem.

— Dostałeś ode mnie wiadomość? — zapytał.

— Jaką wiadomość? — zdziwił się Bill.

— Posłałem Benedykta przed kilku godzinami. Czekałem na ciebie. Bill zamknął drzwi i ujął chłopaka dobrotliwie pod ramię.

— Co się stało? — zapytał. — Dlaczegoś sam do mnie nie przyszedł?

— Nie mogłem — odrzekł Gaspard. — Chciałem, ale nie mogłem. Czy... czy spotkałeś kogoś w lipowej alei, gdy szedłeś tutaj?

— Nikogo — odparł Bill. Gaspard odetchnął głęboko.

— To dlatego, że ty wierzysz w Boga. Duchy nie mają do ciebie dostępu. Ach, Bill! — umilkł, drżąc nerwowo.

— Usiądź! — zwrócił się do niego Bill. — Pozwolisz mi zapalić?

— Nie, daj spokój, daj spokój! — zawołał Gaspard. — Chcę pomówić z tobą, chcę ci się wyświadczyć. Pamiętasz, powiedziałeś mi kiedyś, że mógłbyś wysłuchać mojej spowiedzi?

Bill spojrział nań badawczo.

— Oczywiście, że mogę, jeżeli sobie życzysz — rzekł. — Ale o co chodzi, chłopcze? Czy nie możesz ze mną pomówić jak z przyjacielem?

— Nie! — zawołał znowu Gaspard. — Nie! Pragnę wyświadczyć się przed tobą jak przed księdzem, abyś mógł powiedzieć Bogu, że mi ufasz i prosić Go o rozgrzeszenie. Gdy grzechy moje będą odpuszczone, łatwiej umrę.

— Ale będziesz żył i czynił dobro ludziom — podchwycił Bill. — Słuchaj, chłopcze, nim zaczniesz mi opowiadać, chciałbym wiedzieć, co tu się stało! Gdzie twoja matka?

— Wyjechała — odparł Gaspard.

— Wyjechała! Tak szybko! Dokąd?

— Wyjechała do Francji, bo nie ma tu już dla niej miejsca, skoro wszyscy wiedzą.

— A ty pojedziesz do niej?

— Możliwe. Nie wiem. Może nie. — Gaspard unikał wzroku Billa. Mówił tak, jakby ten temat był dlań zupełnie obojętny.

Bill nie nalegał. Widoczne było, że Gasparda absorbuje tylko jedna myśl. Zauważył, jak ^amykał za nim drzwi na klucz, zauważył również, że okna były zamknięte i zasłonięte.

Gaspard w pewnej chwili zbliżył się doń.

— Uklękę — rzekł — lecz muszę cię poprosić, abyś modlił się razem ze mną, bo sam nie potrafię. Trzymaj mnie za ręce i nie odchodź... nie odchodź... choćby się nie wiem co stało.

Bill zgodził się w milczeniu. Lecz gdy Gaspard ukląkł przed nim i gdy ujął w swe dłonie jego drżące ręce, odczuł dziwną ulgę w głębi serca. Widocznie pomoc w dźwiganiu czyjegoś ciężaru uczyniła lżejszym jego własny.

Gaspard zaczął mówić.

— Wyznaję Wszechmogącemu Bogu... — powiedział i umilkł. — Musisz mnie poprawić, jak będę mówił źle, Bill.

— Mów dalej! — szepnął Bill łagodnie.

Palce Gasparda zacisnęły się dokoła jego dłoni tak samo rozpaczliwie, jak owego dnia, gdy wyciągał go z basenu. Chłopak drżał na całym ciele.

— Wyznaję Wszechmogącemu Bogu — zaczął znowu — że popełniłem grzech morderstwa i do dzisiaj prześladuje mnie duch człowieka, którego zabiłem.

— Kogo zabiłeś? — zapytał Bill.

Spojrzał na pochyloną ciemną głowę chłopca z prawdziwą litością. W głosie jego nie było przestachu, była tylko dobroć i wyrozumienie.

Minęła dłuższa chwila, nim Gaspard odpowiedział. Zdawał się czynić próżne ku temu wysiłki, aż wreszcie rzekł chrapliwym głosem:

— Bill! Bill! Ja tego nie zniosę. To zbyt straszne, aby wyrazić słowami.

Coś wzruszyło Billa. Czuł, jak nowa iskra rozgorzała w jego mrocznej duszy.

— Mój Boże! — pomyślał, po czym zwrócił się do Gasparda: — Nie lękaj się. Nie ma nic tak straszego, czego by Bóg nie mógł przebaczyć. Przecież odczuwasz skruchę.

— Tak, tak! I zostałem ukarany. Ach, Bill, zostałem! — Słowa te były niby płacz zranionego dziecka. Gaspard począł szlochać głucho, nie mogąc mówić dalej.

Bill pochylił się nad nim, ściskając mocno dłonie chłopaka.

— Gaspard, uspokój się, chłopcze! — szeptał. — Sądzę, że wiem, co mi chcesz powiedzieć. To był twój ojciec.

— Mój ojciec... tak! I ona... przyjęła na siebie winę. Powiedziała, że sama to uczyniła. To nieprawda, Bill! To mój grzech. Mój! — Nagle podniósł głowę. Oczy jego jaśniały niesamowitym blaskiem. — Ja go zabiłem! — zawołał. — Było to przed czterema laty... na pustyni... w Egipcie. Był złym człowiekiem... strasznym... najgorszym tyranem. Traktował ją okrutnie. Ja się go bałem. Nienawidził mnie i chociaż ją niegdyś kochał, zazdrosny był o każdego mężczyznę, z którym rozmawiała. Upijał się absyntem i wówczas stawał się najstraszniejszy. Czasami i mnie maltretował. Był zazdrosny o jej uczucie do mnie, zazdrosny do szaleństwa. Nie wiem, dlaczego nie rozstała się z nim. Przypuszczam, że go kiedyś kochała. Ja osobiście nigdy. Nie mógłbym. Pewnego dnia uderzył ją i wówczas wpadłem w szal, boją od dzieciństwa ubóstwiałem. Postanowiłem pozbawić go życia. I tej nocy, gdy odszedł do swego namiotu, poszedłem za nim. Przebiłem go, przebiłem arabskim nożem, który był własnością jednego ze służby. — Znowu rozpaczliwy dreszcz wstrząsnął Gaspardem. Sprawiał wrażenie, jakby miał zemdleć za chwilę. Bill podtrzymał go.

— Mów dalej! — szepnął. — Mów dalej! Ja cię słucham uważnie. Chłopak poruszył się, podniósł głowę i wrócił do przerwane go wątku.

— Ona była w przyległym namiocie i wbiegła w chwili, gdy on wytrącał mi nóż z ręki. Stała między nami, tuż przy nim i rozpoczęła się walka, aby go ode mnie oderwać. Zabiłby mnie wówczas, gdyby mógł, chociaż sam był śmiertelnie ranny. Jego krew była wszędzie, wszędzie... na mnie, na niej... na wszystkim. — Głos Gasparda stał się chrapliwym szeptem. — Końca nie widziałem. Wyszedłem oślepiony i upadłem. Prawdopodobnie zemdlałem. Później zobaczyłem Benedykta. Chorowałem bardzo długo. Nie wiem nawet, ile miesięcy. Przeniesiono mnie do Kairu i leczono. A potem, było to już o wiele, wiele później,

matka powiedziała mi, pewnej nocy, gdy nawiedziła mnie jakaś straszna senna mara, że to ona zabiła mego ojca, powiedziała mi również, że zwłoki jego zostały bezpiecznie ukryte i że gdy będę milczał, nikt się o tym nigdy nie dowie. Lecz później, gdy powróciliśmy do Francji, oskarżono ją. Nie było świadków, tylko Benedykt, a ten również milczał. Wydano wyrok uniewinniający. Ale to nie ona go zabiła, Bill. Ja to uczyniłem! Wiem, że zginął z mojej ręki. Zawsze o tym wiedziałem, lecz nie pozwolili mi zeznawać. — Opadł na kolana Billa, jakby utracił resztki sił.

Bill pochylił się i podniósł go.

— Dzięki Bogu, żeś mi o tym powiedział! — szepnął. — Teraz połóż się, a ja się zastanowię, co mogę dla ciebie uczynić!

— Nie, nie! — zawołał Gaspard. — Pozwól mi pozostać tak do chwili, gdy mi dasz rozgrzeszenie. Muszę mieć rozgrzeszenie, Bill, muszę! Czyż nie dosyć cierpiałem? Czy nie otrzymam rozgrzeszenia od ciebie?

— Mogę ci pomóc, abyś je otrzymał — odparł Bill łagodnie. — Przedtem jednak połóż się na kanapie. Jesteś wyczerpany, a w takim stanie trudno jest sprawę roztrząsać.

Gaspard nie czynił dalszych sprzeciwów. Był istotnie wyczerpany i upadł na kanapę prawie bezwładnie.

Bill począł się rozglądać po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś wzmacniającego środka. Na stole znalazł jakiś płyn w szklance i podszedł z nim do chłopaka.

— Co to jest, Gaspardzie? Gaspard podniósł ociężałe powieki.

— Miałem zamiar to wypić, gdy dostanę już od ciebie rozgrzeszenie.

— Co to jest? — nalegał Bill. Gaspard zawahał się.

— Co to jest? — powtórzył Bill, pochylając się nagle i chwytając chłopca za ramię. — Powiedz prawdę! Czy to środek nasenny?

— Tak — odrzekł Gaspard.

— Większa dawka? — zapytał Bill.

Chłopak znowu się zawahał. Bill bez słowa podszedł do najbliższego okna. Wówczas Gaspard uniósł się na poduszkach.

— O, daj spokój, daj spokój! Czy nie pojmujesz, że to jedyne wyjście



dla mnie? Gdybyś nie przyszedł w samą porę, nie mógłbym już czekać dłużej.

Ręka Billa uniosła zasłonę. Otworzył okno i wylał przez nie całą zawartość szklanki. W tej chwili uwagę jego zwrócił wysoki cień, stojący przed domem. Jakaś pochylona postać mężczyzny czy kobiety poruszała się bezszelestnie po trawniku.

W tej samej chwili usłyszał za sobą brzęk. Lampa zgasła. Teraz widział wszystko wyraźnie. Postać ludzka była w płaszczu, lecz nie była to postać Benedykta. Szybko przemknęła między krzakami i znikła. Odwrócił się do pokoju.

— Co widziałeś? — usłyszał szept Gasparda w ciemnościach. Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę.

— Dlaczego zgasił lampę? — zapytał.

— Zamknij okno! — zawołał Gaspard. — Opuść zasłonę! Tak! Teraz ja zapalę lampę. Albo nie! Ty ją lepiej zapal! Masz pewniejszą rękę.

Bill usłuchał. Uczuł dziwne zimno, gdy opuszczał zasłonę, lecz Gaspard miał słuszość, bo ręka jego nie zadrżała, gdy po chwili zapalał lampę.

Światło padło na poczerwiałą twarz chłopaka. Wyraz niesamowitego przerażenia ciał się znowu w jego oczach.

— Widziałeś go! — wyszeptał.

— Chciałbym ci dać trochę koniaku — rzekł Bill praktycznie. — Gdzie go mogę znaleźć?

Gaspard opadł z powrotem na poduszki.

— Po tamtej stronie w kredensie.

Bill znalazł butelkę. Wypłukał szklankę i napełniwszy ją koniakiem, podał Gaspardowi.

— Teraz, chłopcze, wypij to i poleż chwilę spokojnie. Nie powinieneś się bać żadnych duchów. Jesteś pod moją opieką.

Powiedział to głosem przekonywającym. Gaspard wypił koniak i spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Nie jesteś przerażony? — zapytał.

— Nie — odparł Bill.

— A widziałeś go?

— Kogoś widziałem — przyznał Bill.

— Wiem. — Gaspard położył drżącą dłoń na jego-kolanie. — Mężczyzna w płaszczu poruszający się i chodzący jak cień. Zawsze się tak ukazuje. Widziałem go już kilka razy. Raz widziałem dokładnie jego twarz. Widnieje na niej czerwona blizna, Bill, to jest... to jest ten człowiek, którego zabiłem!

— Bardzo się dziwię — mruknął Bill.

— Czemu się dziwisz? — zrozpaczone oczy Gasparda zawisły na jego twarzy.

— Tak sobie — odparł Bill. — Lepiej się teraz czujesz?

— Tak. Lepiej. Ale powiedz, o czym myślisz.

Ręka Billa zacisnęła się pieszczotliwie na dłoni chłopca.

— Sam jeszcze nie wiem, mój drogi. Zastanawiam się i to wszystko. Może dojdę do jakiegoś wniosku. Ty leż spokojnie, dobrze? Może zaśniesz.

— Więc nie masz zamiaru dać mi rozgrzeszenia? — zapytał Gaspard.

— Abyś mógł popełnić jakiś większy grzech? — uśmiechnął się Bill.

— Nie, nie! Nie dlatego, ja nie chcę umierać. Okropnie boję się śmierci. Ale nie mogę pozwolić na to, aby moja matka za mnie cierpiała. Nic nie uśmierzy jej cierpień, dopóki ja będę żył. Bill, czyż ty tego nie rozumiesz? Nie ma dla mnie innego wyjścia.

I znowu zdało się Billowi, że małe bezradne dziecko błaga go o pomoc. Siedział przez chwilę w milczeniu, po czym bardzo wolno poruszył się i, "trzymając wciąż rękę Gasparda, ukląkł przy nim.

Słowa modlitwy, które Ellen Barnet wypowiadała dzisiaj przy nim, same poczęły cisnąć mu się na usta:

— Rozjaśnij nasze mroki, błagamy Cię Panie!

Gaspard słuchał najprzód z rozpaczą, potem z wzrastającym podziwem, wreszcie z rodzącą się wiarą, którą tchnął ten człowiek klęczący przy nim.

— Czy możesz powtarzać za mną słowa modlitwy? — zapytał Bill po dłuższej chwili milczenia. — Jeśli nie możesz, to sam się za ciebie pomodłę.

Począł modlić się przyciszonym głosem, a w chwilę później usłyszał, że Gaspard szeptem powtarza wypowiedane przez niego słowa.

Bill uroczyście odmawiał modlitwę rozgrzeszenia:

— Nasz Pan, Jezus Chrystus, który dał moc Swemu Kościołowi przebaczać wszystkim grzesznikom, odczuwającym skruchę i wierzącym w Niego, i w Jego wielkie miłosierdzie, przebacza i twoje winy. W Jego Imieniu odpuszczam ci wszystkie twoje grzechy w Imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego. Amen.

— Jesteś pewien? — wyszeptał Gaspard z błyszczącym wzrokiem utkwionym w twarzy Billa.

— Jestem zupełnie pewien — odparł Bill. — On ci teraz wskaże dalszą drogę twojego postępowania.

— Mógłbym nawet w Niego uwierzyć, gdy jesteś przy mnie

— szeptał Gaspard.

— Ta wiara zawsze w tobie istniała — odrzekł Bill stanowczo.

— Możemy uciekać przed Nim, zaprzeczać Mu, bluźnić przeciwko Niemu, lecz ciągle pozostajemy w Jego mocy i On w dobroci swej nigdy nas nie opuści.

Wstał z kolan i usiadł przy Gaspardzie.

— Teraz spróbujesz zasnąć — rzekł.

— Ale ty nie odejdziesz? — wyszeptał Gaspard niespokojnie.

— Oczywiście, że nie — odparł Bill przekonywająco. Gaspard odwrócił się na bok z westchnieniem.

— Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem

— rzekł. — Tak, mam wrażenie, że zasnę. Jestem teraz zupełnie spokojny, sam nie wiem dlaczego.

— Powiem ci — szepnął Bill, pochylając się nad nim. — To spokój zesłany od Boga.

\*

\* \*

Bill niemal z radością rozpoczął nocne czuwanie, nie orientując się zupełnie, co mu ta noc przyniesie.

Był pewien, że Gaspard wkrótce zaśnie i istotnie nie mylił się. Chłopak był ogromnie zmęczony, toteż po krótkiej chwili, gdy zamknął oczy, począł oddychać miarowo i zapadł w drzemkę.

Bill siedział przy nim bez ruchu i nawet nie czuł senności. Jeszcze nigdy w życiu o tej porze nie był tak pełen energii. W głowie kłębiły się najrozmaitsze myśli, przemijające, to powracające znowu. Więc Ewa to uczyniła. Pragnęła uchronić syna, pragnęła zapewnić mu nieskazitelną przyszłość. Wspomnienie jej, tej ukochanej kobiety owładnęło nim zupełnie. Ewa miała nadzieję, że czas wyleczy Gasparda, lecz teraz prawdopodobnie zorientowała się, że to niemożliwe. Jakże musiała cierpieć!

Spokojny oddech chłopaka świadczył ó tym, że zasnął głęboko. Bill spojrzął na jego bladą twarz. Jak strasznie i on cierpiał! Męki tych czterech lat wywarły swe piętno na jego dziecięcym prawie obliczu. Piętno to nosić będzie aż do dnia śmierci.

Gdzieś w głębi domu zegar wybił północ, a Bill poruszył się, aby zmienić pozycję, gdy bicie zegara ucichło. Dopiero teraz uświadomił sobie, że w pokoju było duszno i nade wszystko zapragnął odetchnąć świeżym powietrzem.

Gaspard spał spokojnie. Oddech jego był miarowy. Wolno, aby go nie zbudzić, Bill podniósł się z fotela. Gdy to uczynił, usłyszał jakiś szmer wśród ciszy i począł bacznie nasłuchiwać. Ktoś poruszał się w korytarzu. Czyjaś dłoń dotknęła drzwi. Widocznie lampa zgasła na dole. Benedykt może ją zgasił. Przyszedł, aby czuwać przy swoim młodym paniczu. Prawdopodobnie sądził, że Gaspard już zasnął i lękał się go budzić. A jednak było coś niezwykłego, coś nieopisanego w tej błędzącej po drzwiach ludzkiej ręce. Bill znowu uczuł zimno pod skórą.

Czekał bez ruchu, słysząc, że klamka się porusza a potem już tylko odgłos czyichś kroków.

Nikt jednak nie wchodził. Cisza zapadła na nowo. Widocznie poniosła go imaginacja. Nasłuchiwał jeszcze przez kilka chwil. Czy to Benedykt był na korytarzu? A czy wiedział o jego obecności tutaj?

Wreszcie zdecydował się; cichutko przeszedł przez pokój i przekręcił klucz w zamku. Gaspard spał ciągle. Bill otworzył drzwi. Na progu spotkał się z głębokimi ciemnościami i ciszą. Stał przez chwilę usiłując wzrokiem przeniknąć te ciemności, po czym wrócił do pokoju i wziął ze stołu lampę. Wyszedł z nią na korytarz, zamykając drzwi za sobą. Na górnej platformie był stół, a nad nim na ścianie wisiało lustro. Podszedł do stołu i postawił lampę.

Gdy podniósł ją nieco wyżej, ujrzał w lustrze za sobą coś poruszającego się, jakiś cień na schodach, nic więcej, cień postaci w płaszczu, pochylonej, poruszającej się bezszelestnie. Wyteżył wzrok. Postać zniknęła.

Uczuł głośne bicie własnego serca. Po raz pierwszy w życiu odczuł prawdziwy lęk. Ciemność i cisza były niby zimne łańcuchy opasujące go silnie. Po chwili jednak z wysiłkiem otrząsnął się z tego wrażenia. Wзяł do ręki lampę i zeszedł po schodach.

Prąd zimnego powietrza powiał na niego z dołu. Widocznie drzwi wejściowe były otwarte. Płomień lampy zachwiał się i zgasł. Stał teraz w hallu tonącym w zupełnych ciemnościach.

Począł się kierować do stolika, aby zapalić lampę na nowo, lecz zanim się zbliżył, usłyszał tuż przy sobie szmer. Coś otarło się o niego, niemal dotknęło, powodując nowy przyływ strachu. Poczł dziwny nieznaný zapach.

Odwrócił się.

— Benedykt! — zawołał.

Nie było odpowiedzi. W głębi duszy wiedział, że to nie Benedykt. Instykt prowadził go w stronę otwartych drzwi. Potknął się o krzesło i postawił na nim lampę.

Znowu odczuł zimny podmuch wiatru i ujrzał pokryte gwiazdami niebo. Podeszedł bliżej, wyszedł na ganek i nagle przystanął.

Pochylona postać w płaszczu znajdowała się tam również. Chrapliwy głos przerwał ciszę.

— Pardon, monsieur! Czy pan kogoś szuka?

Nie mógł się zdobyć na odpowiedź, tak był zaskoczony. Stał bez ruchu, skamieniały niemal. Była to rzeczywistość czy sen?

— Może pan szuka pani Verlines — zapytał chrapliwy głos. Był cichszy od szeptu i sprawiał wrażenie syku żmii. — Nicznajdzie jej pan tutaj. Wyjechała i nigdy już jej pan nie zobaczy.

Coś skłoniło Billa do odezwania się, chociaż język miał sztywny, a gardło wyschnięte.

— Kim pan jesteś? — zapytał.

— Ach! Kim jestem? — syczący głos miał teraz ironiczne brzmienie. — Jestem mężem Yvonny Verlines, monsieur, człowiekiem, którego zabili. Powie pan, że to niemożliwe, że on umarł! Wróciłem z mego

grobu na pustyni. Pochowali mnie niezbyt głęboko. Piasek pustyni nie przysypał mnie dokładnie. Wstałem więc i wróciłem, aby wymierzyć sprawiedliwość mym mordercom.

— Oszalałem? — zapytał Bill z rozpaczą. — Czy ja śnię?

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że mówił głośno, lecz dziwna postać odpowiedziała mu natychmiast.

— Tak, monsieur, był pan szalony, ale to już minęło. Teraz... teraz pan śni i nigdy się pan nie zbudzi!

Słowa zamarły w potwornym rechocie, pod wpływem którego krew w żyłach Billa zakrzepła, jak wówczas gdy się przydeptuje gada. W następnym momencie ta straszna, niesamowita postać rzuciła się na Billa i proboszcz począł walczyć o własne życie.

Okropna to była walka, walka z czymś nieznanym. Trwała prawdopodobnie kilkadziesiąt sekund, które Billowi wydały się wiekiem. Miał wrażenie, że walczy z wielkim wężem, który się uczepił fałd jego płaszcza. Kilkakrotnie chwycił jakąś, część ciała ludzkiego, lecz zaraz wyslizgiwała mu się z rąk, jak płynna ciecz. Przeciwnik musiał być mniejszy od niego, lecz strach ogarnął go tak przemożny, że czuł się już prawie pokonany. Wyteżył resztki sił i wkrótce przekonał się, że zdoła zwyciężyć, byleby tylko być przytomnym do końca. Wróg był chyba słabszy niż myślał. I gdy wreszcie coś żyłastego, co miało być ludzkim ramieniem, opasało jak płaz jego szyję i coś ścisnęło go za gardło, odezwał się w nim instynkt samozachowawczy. Uderzył pięścią i wyswobodził się z uścisku.

Usłyszał przeraźliwy rechot, który zamarł w charczeniu, gdy przeciwnik upadł na ziemię. Potem nastąpiła reakcja, paniczne przerażenie wzięło go w swoje posiadanie. Przeciwnik podniósł się z ziemi i począł biec w stronę wysokich jodeł.

Dopiero wówczas Bill zorientował się, że nie było to zwierzę ani duch, lecz pochylony żywy człowiek. Zdał sobie sprawę, że pozwolił mu uciec, że przecież to ten człowiek prawdopodobnie był bohaterem owej tajemnicy, która prześladowała Gasparda. Otrząsnął się z przestachu i puścił w pogoń za znikającą postacią.

Zjawa zniknęła, gdy dotarł do wysokich jodeł, lecz słyszał jeszcze odgłos kroków w alei lipowej, wśród niskich zarośli. Żadna siła nie byłaby zdolna teraz zawrócić Billa. Postanowił za wszelką cenę schwytać uciekającego.

Najwidoczniej uciekinier znał dokładnie teren, bo co chwila znikał Billowi sprzed oczu. Nagle niebo rozjaśniło się i księżyc wyrzwał spoza chmury, wówczas Bill dojrzał w odległości może pięćdziesięciu jardów pochyloną postać, biegnącą wzdłuż szpaleru rododendronów, które otaczały różany ogród. Postać przeskoczyła niski parkan, omijając kamienne stopnie i niby strzała pomknęła w cień. Bill ruszył w tę stronę. Wkrótce zorientował się, że był na tropie swego przeciwnika, bo gdy minął kępę rozłożystych drzew i wydostał się na skalistą ścieżkę, usłyszał odgłos kroków na niższym cyplu. Wpadł do włoskiego ogrodu i począł zbiegać na dół po kamiennych schodkach. Znalazł się wreszcie na zygzakowatej dróżce, prowadzącej do basenu kąpielowego. Począł teraz biec na przełaj. Stał przed kabiną kąpielową, odnalazł znowu ścieżkę i nagle... nagle... stanął przed postacią, którą ścigał. W cieniu gęstych krzaków, tuż przy kabinie, gdzie padał jasny blask księżyca, stał Benedykt, czekając nań z wyciągniętymi ramionami!

\* \*

Podczas tej doby niespodzianek, ostatnia była najpotężniejsza. Bill cofnął się z okrzykiem i omal nie upadł. — Benedykt, to niebawale! Ale... ale... czyż to przez cały czas był Benedykt? A może to halucynacja? Może jakaś okrutna nocna mara, albo... albo dzisiejszy wstrząs popołudniowy przyprawił go o utratę zmysłów? Z rozpaczą zadawał sobie te wszystkie pytania, nie znajdując na nie odpowiedzi. Podeszedł wprost do Benedykta i zapytał:

— Co tutaj robicie?

Tamten odpowiedział mu z szacunkiem, bez odrobiny podniecenia, z twarzą, jak zwykle skamieniałą:

— Przyszedłem się wykapać, monsieur.

— Wykapać! O tej porze! — Bill otworzył szeroko usta.

— Tak, monsieur! — Ostatnie słowa były jawnym wyznaniem. Za nimi kryła się wroga niechęć, lecz Benedykt nie uczynił żadnego wymowniejszego ruchu.

**215**

Bill był już zupełnie spokojny.

— Nie wierzę wam — rzekł.

Benedykt wzruszył ramionami bardzo nieznacznie jakby w gruncie rzeczy pragnął udzielić odpowiedzi całkiem grzecznej. Począł oddychać szybko, a twarz miał jeszcze bledszą.

— Dlaczego nie czuwaliście przy paniczu Gaspardzie? — indagował Bill.

Benedykt odpowiedział chłodno, usiłując powstrzymać swój przyśpieszony oddech:

— Paniczowi Gaspardowi nie byłem potrzebny, skoro pan był przy nim, sir.

Te słowa powinny wystarczyć, ale Bill zagrzewał się do dalszej walki. Zresztą coś w zachowaniu tego człowieka wzbudzało jego podejrzenie. Zdawał się własnym ciałem bronić drzwi do kabiny kąpielowej. Bill uczeplił się tej myśli.

— Otwórzcie drzwi! — rozkazał, wskazującabinę. — Pragnę zajrzeć do środka. s

Benedykt nie zmienił swej pozycji, ale z wyrazu jego twarzy można było poznać, że takiego rozkazu nie oczekiwał.

— Kabina jest zamknięta na klucz, monsieur—odparł. — Nie mam klucza przy sobie. Pani zabrała.

Czyżby się mylił, czy słyszał lekki szmer spoza zamkniętych drzwi? Zrodzone nagle podejrzenie skłaniało Billa do działania.

— Może jednak drzwi są otwarte — zauważył. — Spróbujmy. Postąpił naprzód, lecz w tej samej chwili Benedykt zastąpił mu

drogę.

— Powiadam panu, monsieur — wyszeptał, a wąsy zadrżały mu nagle — że drzwi są zamknięte. Et puis alors, kabina jest pusta i...

— Z drogi! — zawołał Bill.

Chwycił go za ramiona, przygotowany na opór, lecz tamten nie protestował i pozwolił się usunąć na bok.

Światło księżycy padało na nich. Bill położył rękę na klamce i otworzył drzwi.

— Benedykt! Benedykt! — wyszeptał głos z wnętrza.

Bill otworzył drzwi jeszcze szerzej. Znowu buchnął nań ten dziwny zapach.



Blask księżyca wnikał przez okno w dachu. Bill dostrzegł skurczoną postać.

Usłyszał znowu ten straszny przejmujący charkot.

— Na miłość boską! — zawołał. — Ten człowiek umiera! Wszedł, nie wahając się dłużej i pochylił się nad skurczonym

bezradnie ciałem, z którym tak niedawno jeszcze stoczył walkę. Błada twarz, napiętnowana czerwoną blizną, była jeszcze bledsza w blasku księżycowych promieni. Leżący człowiek nic już nie mówił. Widocznie nie mógł. Lecz zaciśnięta pięść, niby ręka kościotrupa, podniosła się w górę i opadła na ramię Billa.

Bill ukląkł i uniół skurczoną postać.

— Prędko, prędko! — zawołał na Benedykta. — Nie macie tu nic przy sobie? Nie możecie...

Głos mu zamarł. Uścisk dłoni kościotrupa na jego ramieniu stał się słabszy. Usłyszał znowu charkot, a po chwili zapadła cisza. Bill podniósł głowę.

— Umarł! — wyszeptał.

Benedykt stał ciągle u wejścia, oddychając ciężko. Wymamrotał coś po francusku i usunął się na stronę. Bill złożył ciało na szmatach i podniósł się. Po raz drugi tej nocy odczuł wyczerpanie. Wszedł na światło księżyca i stał przez chwilę bez ruchu, usiłując odzyskać spokój. Potem zwrócił się do Francuza.

— Benedykt — rzekł surowo — dla waszego własnego dobra, ostrzegam was, że powinniście mówić prawdę. Kim był ten człowiek?

Benedykt zadrżał, lecz twarz jego pozostała bez wyrazu.

— To był mąż madame Verlines — odparł szeptem.

— Więc wyleczył się z ran? — zapytał Bill ze zdziwieniem.

— Tak, monsieur.

— Opowiedzcie mi, jak to się stało! — rozkazał Bill.

— Pozostał na pustyni i pozwolił całemu światu sądzić, że umarł. Były powody. Miał dużo długów. Posiadał nadto nałóg. Pragnął się zemścić na chłopcu i pani i wybrał właśnie ten sposób. Gdy wyzdrowiał, prześladował ich wszędzie, gdziekolwiek zamieszkali. Ale czasami największa podłość może zawieść. Wiedział, że umiera. Umierał już od kilku lat. Miał nadzieję, że panicz umrze przed nim.

— Więc wy byliście współwinowajcą! — zauważył Bill.

Wąsy Benedykta znowu zadrgały.

— Jestem sługą rodziny, monsieur — odparł z godnością.

— I spełnialiście jego rozkazy, ucząc panicza Gasparda nałogu i patrząc, jak strasznie, cierpi! — zawołał Bill.

— Spełniałem tylko rozkaz, monsieur — rzekł Benedykt. Bill spojrział nań badawczo.

— Jesteście również nałogowcem? — zapytał. Benedykt cofnął się o krok.

— Monsieur — wyszeptał z żalem. — Sam nim jestem.

Było to niezwykle. Bill zorientował się, że łatwiej przyszłoby mu poruszyć głaz, niż doprowadzić do skruchy Benedykta. Francuz spełniał skrupulatnie rozkazy i najwidoczniej dumny był z tego.

— A gdzie ten człowiek przebywał przez całe lato? — zapytał po chwili Bill. — Chyba nie tutaj?

— Nie, monsieur. Nie przez cały czas. Był w Londynie, a tutaj przyjeżdżał od czasu do czasu w nocy — brzmiała chłodna odpowiedź.

— Ach! Więc był tutaj owej nocy, kiedy szalała burza! — zawołał Bill, zrozumiałwszy nagle wszystko.

— Tak, monsieur, był wówczas — przyznał Benedykt.

Bill zamyślił się. Cała ta historia była tak niesamowita, że po prostu utracił zdolność zadawania dalszych pytań.

-Poruszył się wreszcie.

— Muszę wracać do domu. Trzeba wezwać lekarza. Należy przeprowadzić śledztwo.

— Tak, monsieur. Śledztwo! — przyznał Benedykt. — Mam dać klucz od kabiny? — zapytał gdy Bill już odchodził.

— Tak. Zamknijcieabinę i klucz mnie oddajcie!

Benedykt spełnił rozkaz. Widocznie pogodził się już z tą myślą, że Billowi należy się również posłuszeństwo.

Zachowanie jego było nacechowane jeszcze większym szacunkiem, gdy wręczał proboszczowi klucz. ,

Bill jednak nie zwrócił na to uwagi. Pomyślał o Gaspardzie, który pozostał w opuszczonym domu i przyśpieszył kroku.

Gdy oddalał się, słyszał tylko pomruk fal morskich, rozbijających się o skaliste wybrzeże, i żalosne zawodzenie jakiegoś ptaka.

W kilka dni później stary Sammy Cross siedział na swym ganku, spoglądając bystrym wzrokiem ku bramie cmentarza. Odbывał się właśnie pogrzeb, a zdaniem starego Sammy, pogrzeb był jednym z najbardziej sensacyjnych wydarzeń w jego monotonnym życiu.

Większość mieszkańców Rickaby widocznie zgadzała się z nim, bo niemal cała miejscowa ludność zebrała się u bramy cmentarnej. Pani Phipps i pięcioro jej dzieci znajdowali się także w tłumie gapiów, a Joe Pemberton po prostu wisiał na cmentarnym parkanie, żując tytoń i wytrzeszczając z zaciekawieniem oczy.

Żaden jednak z tych zainteresowanych widzów nie widział nigdy człowieka, nad zwłokami którego mr Morton odprawiał teraz żałobne nabożeństwo. Bo przecież składano dzisiaj na wieczny spoczynek szczątki legendarnego ducha z Beech Mount.

Wyjaśnienie tajemnicy znajdowało się na szpaltach zgniecionej gazety, którą trzymał w zeszywniałych pałacach stary Sammy Cross. Sammy przeczytał to wyjaśnienie uważnie przed nadejściem konduktu pogrzebowego i mógł już teraz opowiedzieć każdemu nawet najdrobniejsze szczegóły na ten temat.

*Rehabilitacja pani Verlines*, brzmiał tytuł opisywanej historii, która tego dnia obiegła całą Anglię.

„Wszyscy ci, którzy pamiętają sławny proces madame Verlines, toczący się we Francji przed pięciu laty — brzmiało wyjaśnienie — zainteresują się z pewnością nieoczekiwanym dalszym ciągiem, który wkracza niemal w dziedzinę fantazji. Od pewnego czasu w małej wiosce Rickaby, na południu naszego kraju zaczęto podawać sobie z ust do ust wiadomość o duchu, wałęsającym się po ogrodzie pewnej willi, znajdującej się na wybrzeżu morskim. Willa ta należy do pewnej wdowy i jej syna. Wdowa ta, jak się okazało, jest właśnie panią Verlines. Pojawianie się ducha dręczyło ustawicznie mieszkańców willi, gdy nagle pewnej nocy proboszcz parafii, wielbny William Quentin, postanowił zbadać tajemnicę i udało mu się istotnie zdemaskować prześladowającego wszystkich ducha, który okazał się Berengerem Verlines, jakoby przed pięciu laty zamordowanym przez żonę! Dowiedziano się dopiero teraz, że

Verlines sam przed pięciu laty dla osobistych przyczyn puścił pogłoskę o swojej śmierci. Tajemnicę tę znał tylko jego służący, który po rzekomej śmierci swego pana, opiekował się jego chorym synem. Żona Berengera Verlines do tajemnicy Jej nigdy nie była dopuszczona. Dodać należy, że Verlines był nałogowym opiumistą, a ponieważ ze względu na nałóg nie był człowiekiem zupełnie normalnym, usiłował w roli ducha tortuować swą nieszczęśliwą żonę. Widocznie jego organizm był również nadwreżony z powodu nadmiernego oddawania się nałogowi, bo wkrótce po zdemaskowaniu umarł wskutek ataku serca w kabinie kąpielowej w posiadłości żony. W toku śledztwa Berenger Verlines rozpoznany został przez własnego syna, żona bowiem przebywała chwilowo we Francji, toteż władze miejscowe wydały zaświadczenie o jego całkiem naturalnej śmierci. Miejmy nadzieję, że szczupłe grono mieszkańców Rickaby otrząśnie się wkrótce z tej sensacji i wróci do normalnego trybu codziennego życia. Pozwalamy sobie na tym miejscu złożyć szczerę powinszowanie pani Verlines, która wreszcie po tylu latach męki otrzymuje sprawiedliwe zadośćuczynienie".

Właśnie tę historię stary Sammy przeczytał skrupulatnie od początku do końca i jego pomarszczona twarz zajaśniała uśmiechem radości. Zastanowiło go teraz tylko, dlaczego proboszcza zastępował przy pogrzebie Rektor z Hatchstead.

Zasadniczo niewielu było takich, którzy potrafiliby odpowiedzieć na to pytanie. Jedną z tych niewielu była Ellen Barnet, lecz od tej kobiety trudno się było czegoś dowiedzieć. Drugim człowiekiem, znającym całą tajemnicę był Gaspard, który odegrał znaczną rolę podczas śledztwa i który teraz wsparty na ramieniu Billa pochylał się nad otwartą mogiłą.

Po skończonej ceremonii Bill zwrócił się doń przyciszonym głosem:

— Chodź, chłopcze! Już po wszystkim.

Gaspard podniósł głowę w milczeniu i obydwaj boczną furtką z cmentarza wyszli do ogrodu proboszcza.

Ostatnie noce Gaspard spędził na plebanii. Teraz z westchnieniem ulgi, gdy znaleźli się już poza bramami cmentarnymi, rozejrzał się dokoła.

— Nie wiem, co bym uczynił, gdyby ciebie nie było, Bill — rzekł z bladym uśmiechem. — Czuję się tak, jakbym dopiero wstał po długiej wyczerpującej chorobie.

— Doskonale cię rozumiem — odparł Bill łagodnie. Podprowadził chłopca do małej ławeczki pod drzewem. — Usiądź tu na chwilę! Powinieneś się przyzwyczaić do myśli, że twój prześladowca nigdy ci się już nie ukáže.

— Tyle rozmaitych rzeczy chciałbym teraz robić! — wyszeptał Gaspard. — Ty będziesz mógł mi pomóc, jeśli zechcesz.

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy — odparł Bill. Wychudzona ręka Gasparda wyciągnęła się w jego stronę.

— Bill, pamiętasz, jak pewnego dnia omal cię nie przejechałem?

— Oczywiście! — zawołał Bill, ściskając mocno rękę chłopaka.

— Ten dzień był najwspanialszym dniem w moim życiu.

— I moim również — rzekł Bill z najzupełniejszą prostotą. Gaspard spojrzał nań zdziwiony.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego?

— Najprzód pragnę usłyszeć twoje wyjaśnienie! — uśmiechnął się proboszcz.

— O, moje! — twarz Gasparda spłonęła rumieńcem. — Trudno mi powiedzieć, bo na pewno będziesz się ze mnie śmiać. Był to ten dzień, kiedy ciebie poznałem, kiedy zorientowałem się, że jestem głupcem, kiedy dałeś mi odczuć istnienie Boga. Wiesz, Bill, że ja bym także chciał zostać pastorem. Jak uważasz?

— Doskonały pomysł! — zawołał Bill. — Z pewnością potrafisz czynić dobro wokoło siebie.

— Ach! — wyszeptał Gaspard. — Dziękuję ci za te słowa!

— Nie mnie dziękuj, tylko Bogu!

— Spróbuję — odparł Gaspard szeptem.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, wreszcie Gaspard odezwał się pierwszy:

— Ty także miałeś mi coś powiedzieć. Cóż to takiego? O, wiem już. Miałeś mi powiedzieć, dlaczego właśnie tamten dzień był najwspanialszym dniem w twoim życiu?

— Ach! — uśmiechnął się nagle Bill. — Nigdy byś tego nie odgadł!

— Więc mi powiedz! Bardzo jestem ciekaw.

Bill podniósł się spokojnie i stanął ze spojrzeniem utkwionym w kwitnącym aloesie.

— Nie ciebie jednego poznałem tego dnia, Gaspardzie — wyszeptał.

— A kogóż więcej? — zdziwił się chłopak. — Chcesz powiedzieć, że poznałeś moją matkę! Bill, czy to miałeś na myśli?

Podniósł się również i stanął przed Billem rozgorączkowany.

— O tym myślałeś, Bill? — zapytał znowu.

Spojrzenie Billa spotkało się z jego wzrokiem. Proboszcz uczynił dziwny ruch.

— O czymże innym mógłbym myśleć w tej chwili? — zapytał. — Wiem, że nie byłem wart twojej matki, chociaż... chociaż ona uważała inaczej.

— Wiesz, że matka moja zawsze wie najlepiej — zawołał Gaspard z przekonaniem. — Bill, drogi przyjacielu, tak często o tym myślałem i taki teraz rad jestem. Ale dlaczego... dlaczego ona nie wraca?

— Zamierzam ją odnaleźć — rzekł Bill..

— Ty? Ale w jaki sposób? Jak? Obiecała, że do mnie napisze. Nie napisała dotychczas. — Głos Gasparda zdrzął niepokojem.

— Zamierzam ją odnaleźć — powtórzył Bill stanowczo. — Powiem ci, w jaki sposób, gdy już sam będę wiedział. Idzie do nas stary Morton! Wejdz do mieszkania i odpocznij!

Powiedziawszy te słowa skierował się w stronę furtki na spotkanie koledze.

Pan Morton miał minę pogrzebową. Uśmiech Billa powitał ze zgorszeniem.

— Mam dla was wiadomość — rzekł — z Hatchstead Place, skąd przed chwilą wyszedłem.

— O co idzie? — zapytał Bill.

Zgorszenie pana Mortona stało się jeszcze surowsze. Proboszcz z Rickaby nigdy nie umiał się zachować w smutnej sytuacji.

— Generał Farjeon jest chory — odparł chłodno — i pragnie was widzieć.

— Przypuszczam, że to pretekst — zawołał Bill. — A pan go widział?

— Widziałem — rzekł mr Morton. — Mówiąc szczerze, dni jego są już policzone.

— Tak samo jak moje! — uśmiechnął się Bill z ironią. — Ale pójdę do niego.

— Uważam, że to jest waszym obowiązkiem — oświadczył sztywno Morton.

— Nie ulega wątpliwości — przyznał Bill z westchnieniem.

— Bill, czy to pan?

Stary generał Farjeon uniósł się na poduszkach, spoglądając na drzwi, gdy dosłyszał jakiś szmer.

— Tak, sir — odparł Bill, zbliżając się doń śpiesznie. — Pan mnie wzywał. Przyszedłem natychmiast.

— Tak, wzywałem pana — rzekł generał przyciszonym głosem. — Czekałem na pana już od dawna. Miałem atak, rozumie pan? Prawdopodobnie nie umrę tak zaraz, ale takich ataków można mieć tylko trzy, jak mówią lekarze. Ten idiota, Morton patrzy na mnie tak jakby mnie już kładł do grobu. Nie wiem, po co go tu wpuszczali. Wzywałem przecież pana. Jest pan jedynym pastorem, do którego można mieć zaufanie. Niech pan siada! Czytałem o panu w gazetach. Gotów pan wkrótce zostać biskupem.

Bill usiadł i przetarł dłonią czoło. Dużo miał pracy tego ranka.

— Sądzę, że jeszcze nie tak prędko, sir — zawołał. — Bardzo mi przykro, że pan chory. Jeżeli mogę coś dla pana uczynić...

— Czy inaczej posyłałbym po pana? — wybuchnął generał. — Mogłem utracić władzę w nogach na pewien czas, ale nie zamroczyło mi jeszcze umysłu. Niech pan słucha, Bill! Chciałem panu coś powiedzieć jak człowiek człowiekowi. Będzie pan słuchał?

— Oczywiście, sir. — Bill spojrzał na starca z nagłą ciekawością.

— Otóż — ciągnął dalej generał — pogodziłem się z Staffordem i doszedłem do wniosku, że niesprawiedliwie posądzałem pana o pomoc w ich ucieczce. Stafford twierdzi, że pan w tym absolutnie nie zawinił, ja zaś nie mam specjalnych powodów nie wierzyć mu. Pragnę więc pana przeprosić. Pragnę pana przeprosić również za tę całą historię z panią Verlines. Nie przypuszczałem, że to pana tak dotknie i bardzo mi teraz przykro, drogi chłopcze.

— Już wszystko minęło, sir — rzekł Bill.

Wyciągnął rękę, a generał uścisnął ją serdecznie i nagle w jego wyblakłych oczach ukazały się łzy.

— Szlachetny z pana człowiek — rzekł po chwili, odetchnąwszy głęboko. — Zawsze to mówiłem. Jeden z najprzyzwoitszych ludzi!

Czytałem całą tę romantyczną historię i muszę przyznać, że chociaż postawił pan wszystko na jedną kartę, to szczęście i tak panu sprzyjało. Byłoby gorzej, gdyby ten łotr wówczas nie umarł, prawda?

— Prawdopodobnie — mruknął Bill. Starzec zachichotał.

— Tak, tak! Ma pan moje błogosławieństwo. Byłbym bardzo rad, gdyby się pan czuł szczęśliwy. Zasłużył pan na to. Mam nadzieję, że to szczęście właśnie panu da ona. Zawsze twierdziłem, że to szlachetna kobieta, a zasadniczo rzadko kiedy się myłę. Chłopaka też pan wyratował, jak słyszałem?

— Robiłem, co mogłem. Jesteśmy przyjaciółmi, — odparł Bill.

— Ha! Mniej więcej tak samo, jak ze mną. Przebaczyłem już Staffordowi. — Zachichotał znowu. — Staremu trzeba ustępować z tego świata. Spisałem dzisiaj testament, zapisując oczywiście cały swój majątek Molly. Już ona sobie ze Staffordem poradzi.

Bill spojrzał nań z niepokojem.

— Czy pan naprawdę tak się źle czuje, sir? — zapytał. Starzec opadł na poduszki, marszcząc brwi.

— Widzę, że się zupełnie nie znasz na żartach, mój chłopcze — zawołał. — Zakochani ludzie zawsze są nieprzytomni. Dajmy już temu spokój! Idź i ożeń się lepiej ze swoją madame Verlines! A jak odzyskasz przytomność, przyjdź znów do mnie.

Bill wyszedł bez żalu, pozostawiając starca nadaśanego. Dręczyła go znowu jedna tylko myśl. Jak ją odnaleźć? Rozstała się z nim przed sześciu dniami i od tego czasu nie dawała znaku życia. Zdawać się mogło, że miłość ich przestała istnieć, a przecież jego dusza wyrywała się do niej z tęsknotą. Może ona go nigdy nie kochała? Może to była tylko jego imaginacja? Czy naprawdę trzymał ją kiedyś w swych objęciach? A może słusznie powiedziała, że wszystko było tylko snem? Wszystko snem!

— Bóg mi dopomoże ją odnaleźć! — rzekł, jadąc do domu. Wieczór już zapadł, gdy się zbliżał do plebanii i ostatnie promienie

zachodzącego słońca rzucały refleksy na jego zmęczoną twarz. Po pochyłości pagórka ktoś szedł w jego stronę, lecz on myślami był bardzo daleko. Jak ją odnaleźć? Jak się z nią spotkać? Czy może opuścić parafię chociaż na kilka dni?



— Pojadę do pani Winch — zdecydował nagle. Lecz nim dotarł do bramy, spotkał po drodze Ellen. Powitała go zadyszana. Było to ich pierwsze spotkanie po owej rozmowie w kościele, która przecież odbyła się już tak dawno.

— Właśnie byłam u pana, — rzekła. — Pani Winch pozwoliła mi wyjść, bo sama jest bardzo przeziębiona. Bill zeskoczył z siodła.

— O, jakże mi przykro — zawołał. — Czy nie mógłbym w czymś pomóc?

— Nie, dziękuję panu — odparła Ellen. — Tak bardzo źle się nie czuję. Ale pomyślałam... pani Winch myślała, a właściwie myślałyśmy obydwie, że należałoby panu powiedzieć o tym, że widziałyśmy powóz zdążający z Hatchstead do Beech Mount. W powozie była... ona. Widziałam ją dokładnie z okna sypialni pani Winch. Bill oniemiał na chwilę.

— Jest pani pewna? — zapytał.

— Tak, najzupełniej. Niech pan się nie gniewa, że pani Winch odgadła całą tajemnicę. Wyczytała ją z pańskiej twarzy dzisiaj po południu. Kazała panu przekazać serdeczne życzenia.

— To wszystko pani zasługa — szepnął Bill.

— O nie! — zaprotestowała nagle. — Pani Winch jest w gruncie rzeczy bardzo dobrą kobietą. Ale teraz nie będę pana zatrzymywać! Mało pan ma czasu, a ja także już muszę wracać. Do widzenia!

Ręka jej spoczywała w dłoni Billa.

— Ellen — szepnął. — Nie wiem, co pani mam powiedzieć, nie wiem, jak się odwdzięczę...

— Proszę, proszę — zawołała — o tym nie może być mowy między przyjaciółmi. Zresztą nic takiego nie uczyniłam i nie zasłużyłam na wdzięczność. Czy pójdzie pan tam teraz? Niech pan idzie!

Głos jej był nagły. Bill uśmiechnął się tylko i odszedł.

Po dziesięciu minutach znalazł się w Beech Mount, gdzie przywiązał konia do gałęzi jednej z lip. Drzwi hallu były otwarte. Wszedł bez wahania jak człowiek mający do tego prawo.

Drzwi salonu zastał uchylone. Otworzył je.

— Ewo! — zawołał.

Siedziała przy swym biurku tam, gdzie zastał ją owej nocy, gdy po raz pierwszy wyznała, że go kocha.

Zerwała się z okrzykiem i chwyciła poręcz krzesła.

— Nie słyszałam! — jak pan wchodził — wyszeptała. Zbliżył się do niej i odsunął krzesło.

— Dlaczegoś to uczyniła? — zapytał. Wyciągnęła ręce błagalnie.

— Ach, bo nie po to wróciłam. Wróciłam po Gasparda. Wiem, że jest u ciebie, pisałam, aby ci podziękować za wszystko. Tutaj jest list.

Podawała mu arkusik papieru drżącą ręką. Wziął go i położył na stole. Twarz jego w tej chwili była smutna.

— Jak ci już niegdyś powiedziałem — rzekł — nie chcę żadnych listów. Pragnę ciebie. Ewo, dlaczego odeszłaś?

Potrząsnęła głową, zmuszając się do śmiechu.

— Wiesz, dlaczego wyjechałam. Nie mogłam ci spojrzeć w oczy po tym... po tym... — umilkła, lecz po chwili mówiła dalej. — Nie mogłam wrócić, aby sprowadzić na ciebie hańbę. Ale gdy się dowiedziałam o wszystkim, że Benedykt... Gdzie jest Benedykt?

Ręce jej drżały, a oczy, te piękne oczy o złocistych blaskach, unikały wyraźnie jego wzroku.

— Benedykt zniknął — odparł. Zniknął tej samej nocy, kiedy nastąpiło to odkrycie, kiedyś ty wyjechała. Boże święty! Przecież to było dopiero tydzień temu! Gdzie byłaś?

— W Paryżu. Zamierzam tam teraz wrócić.

— A dlaczego nie napisałaś nawet do Gasparda? Odpowiadała mu jak więzień stojący na baczność przed sędzią.

— Chciałam, żebyś nic o mnie nie wiedział, przynajmniej z początku. Przesłałabym swój adres Benedyktowi, gdyby nie to, że przeczytałam we francuskich gazetach o tym, co się tutaj stało.

— I nawet wówczas nie chciałaś wrócić? — zapytał.

— Nie — odparła mu tym samym tonem. — Nie orientowałam się, jak mam postąpić. Był to dla mnie wstrząs, którego nie oczekiwałam. Później domyśliłam się, że zaopiekujesz się Gaspardem, więc czekałam.

— A sądziłaś, że ja zdobędę się również na taką cierpliwość? Spojrzała mu nagle prosto w oczy.

— Przyjacielu drogi — zawołała — przecież tylko ze względu na

ciebie nie wróciłam natychmiast. Chciałam ci zaoszczędzić bólu. Przecież to wszystko minęło tego popołudnia. Orientowałam się doskonale.

— Co minęło?

— Nasza letnia idylla.

— Więc idyllą nazywasz naszą miłość? — zawołał. Pochyliła głowę.

— Wkrótce przestanie ona istnieć.

— Tak sądzisz?

Ciągnęła dalej, jakby on nic nie wyrzekł:

— Poślubisz kobietę godną siebie i zapomnisz o mnie. Ja wrócę z Gaspardem do Francji i będę żyła dla niego, jak żyłam przez całe te długie lata od chwili, gdy moja dziewczęca miłość zgasła. Przecież tak będzie lepiej. Nigdy nie byłam dla ciebie odpowiednia. To wszystko było tylko snem.

— Tylko snem! — powtórzył wolno, jakby zastanawiając się, czy dobrze słyszał jej słowa. — Mam ci powiedzieć, czym to było dla mnie? Uczyniła ruch protestu.

— Czy nie lepiej zapomnieć o tym teraz, kiedy już minęło?

— Ewo!

— Czy nie orientujesz się, że to jedyne wyjście? — nalegała.

— Chociaż wszystko się wyjaśniło i otrzymałam zadośćuczynienie, nie sprawiło to jednak żadnej różnicy.

Wspomnienie zostanie, a dla człowieka na twoim stanowisku, dla człowieka, który się musi liczyć z opinią, odpowiedzialnego przed Bogiem...

Przerwał jej nagle.

— O Boże w niebie — zawołał — spraw, aby zrozumiała! Zbliżył się do niej z tymi słowy i po chwili trzymał ją już w objęciach.

— Czy nie pojmujesz — szeptał — że nasza miłość jest darem Boga i żadna siła nie może temu przeszkodzić? On tę miłość nam zesłał. Powinniśmy przyjąć ją z wdzięcznością i zachować w głębi naszych serc. Czy nie pojmujesz tego? Odnalazłbym cię wszędzie, bo wiem... wiem, że taka Jego Wola.

— Skąd wiesz? — zapytała, podnosząc ku niemu bladą twarz.

— Skąd wiesz, że nie popełnisz omyłki?

Odpowiedział spokojnie głosem pełnym przeświadczenia:

— To jest jedyne błogosławieństwo sługi bożego, Ewo. Nie można się mylić, skoro się wierzy w to, że Bóg jest naszym przewodnikiem aż do śmierci. — Przytulił ją mocniej do siebie, a ona już nie protestowała. — Czy teraz jeszcze nazwiesz to snem? — zapytał.

Zaśmiała się srebrzyście tym śmiechem, który zdobył jego serce przy pierwszym spotkaniu.

— Mój najdroższy — wyszeptała. — Taki sen raz w życiu musi się urzeczywistnić. Raz w życiu, ukochany, tak samo, jak twój aloes raz w życiu tylko zakwita!

Gdy ją całował, dostrzegł w jej oczach łzy prawdziwego szczęścia.

KONIEC